

[KRASZEWSKI I. J.]

DZIADUNIO.



OBRAZKI NASZYCH CZASÓW

przez

B. Bolesławitę.

All is true.

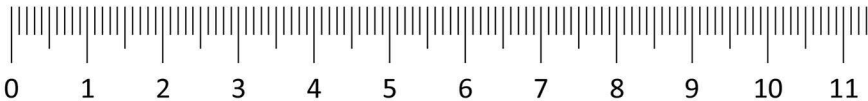


POZNAŃ.

Nakładem księgarni Jana Konst. Żupańskiego.

1869.

W. J. P. = 51.



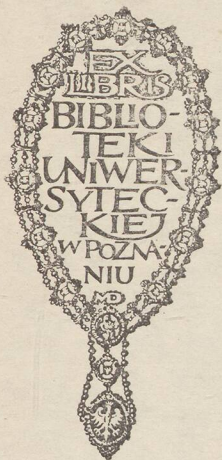
DZIADUNIO.



OBRAZKI NASZYCH CZASÓW

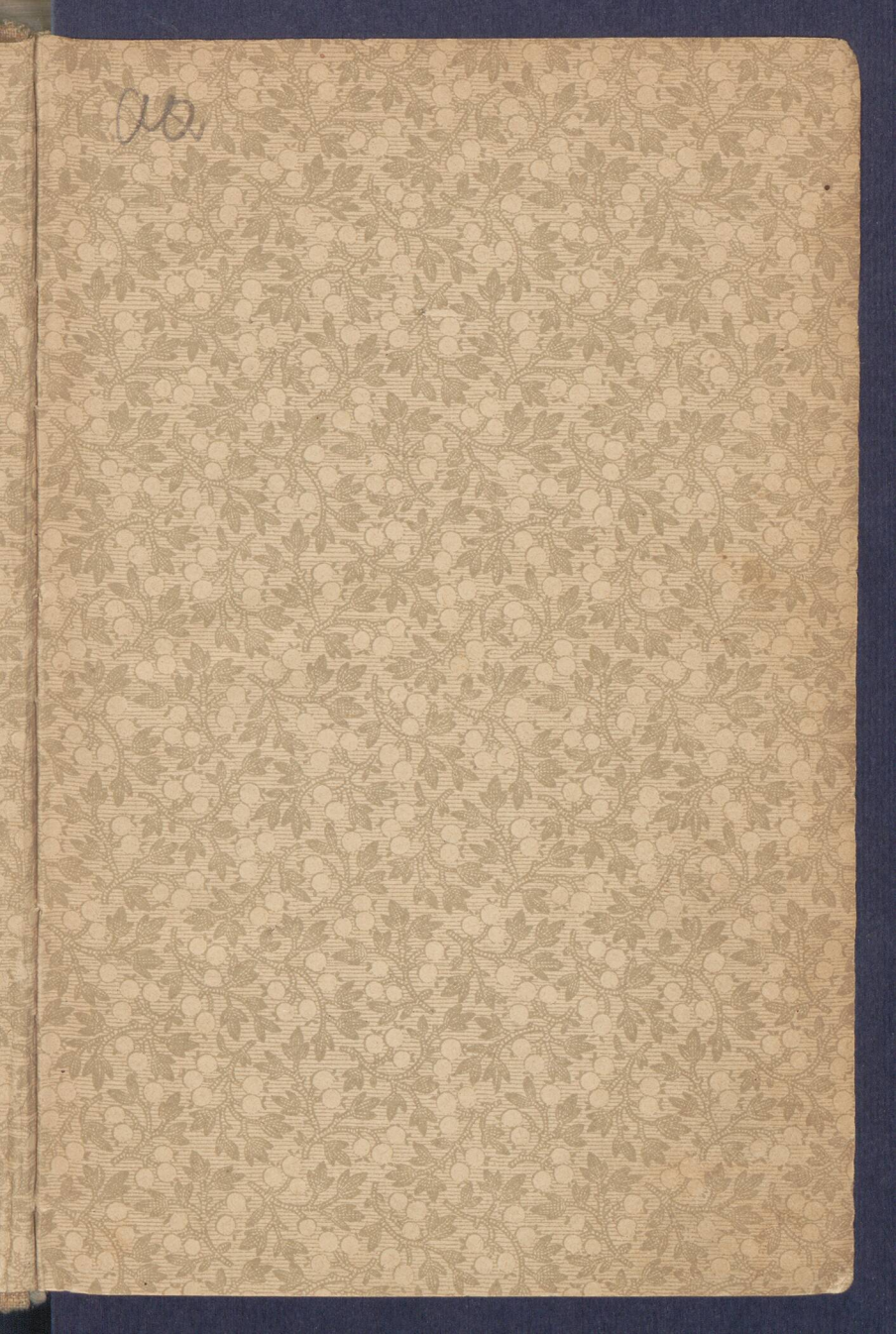
PRZEZ

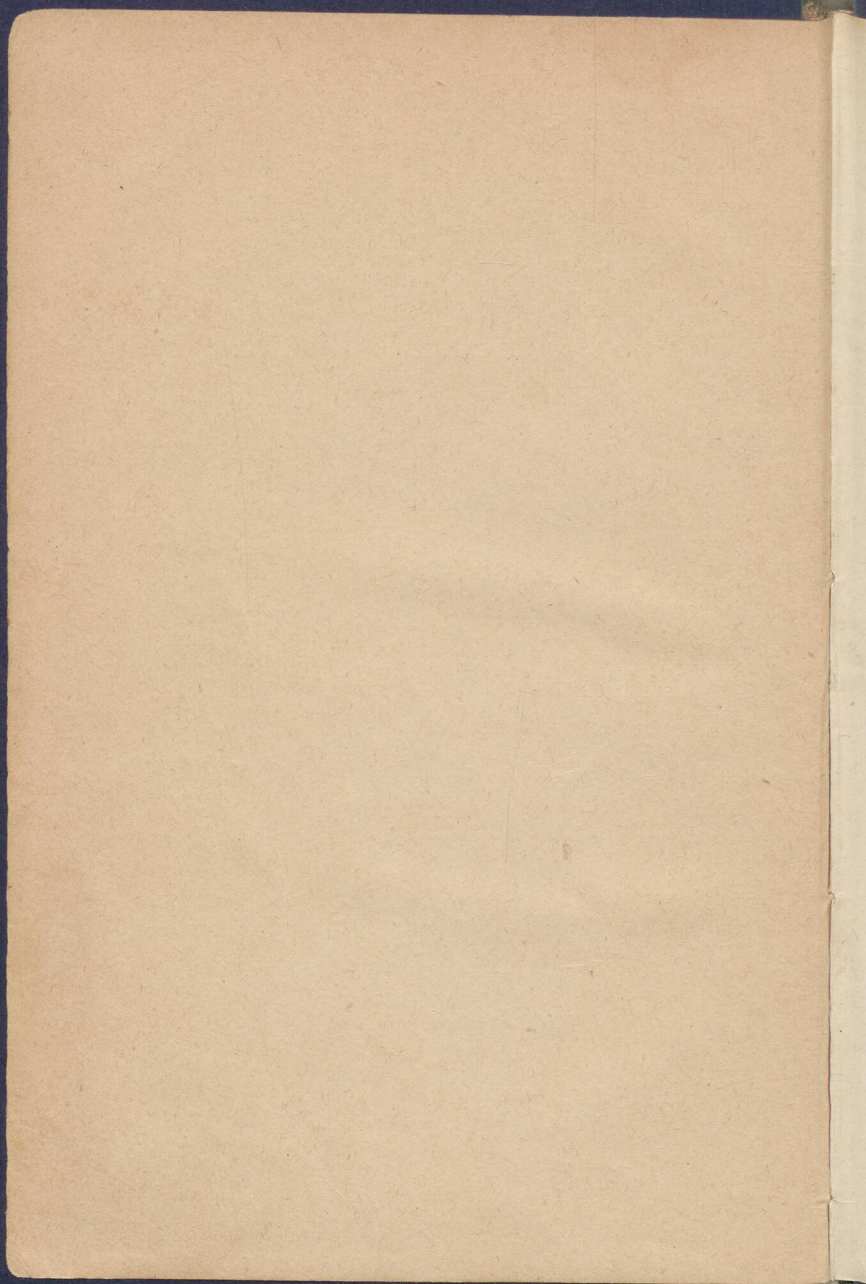
B. Bolesławite



EX
LIBRIS
BIBLIOTEKI
UNIWERSYTECKIEJ
W POZNA-
NIU

10





Stempmeira

1441644

[KRASZEWSKI I. J.]

DZIADUNIO.



OBRAZKI NASZYCH CZASÓW

przez

B. Bolesławitę.

All is true.



POZNAŃ.

Nakładem księgarni Jana Konst. Żupańskiego.

1869.

1869. 10. 18. P. = 51.



11916771

Druk J. Buszczyńskiego w Toruniu.

Bibl. UAM
81002

PRZEDMOWA.

Przedmowa?? tak jest, przedmowa. Pojmujemy wstępną do tego rodzaju preludjów, ale niekiedy stają się one koniecznymi. Literaturze naszej brak właśnie krytyki, niedostaje jej pośrednika między czytelnikiem i pisarzem, poważniejszych studyów i sumiennych *sine ira et studio* badań nad tem co piśmiennictwo przynosi codziennie; — pisarz więc musi jak ów gość którego niema komu zaprezentować, sam się przedstawić publiczności. — Złośliwi powiedzieć mogą że brak krytyki jest skutkiem ubóstwa literatury niezasługującej na studia i rozbiory, ale w najniezwyklejszym stanie piśmiennictwa powołanie krytyka, ohowiązki sędziego są zawsze niezmiernej wagi. Na nie-

szcęście zesłiśmy, skutkiem wielu przyczyn nie dających się tu szerzej wyjaśnić, na zupełną pod tym względem nieudolność, na niemoc absolutną. Brak nam ludzi myślących, beznamiętnych, natchnionych obywatelską troskliwością o dobro literatury i jej wzrost, ukształconych tak by swój sąd na głębszej znajomości przedmiotu oprzeć potrafili. Krytyka jest doraźną, fantazyjną, słuca wstretów i przyjaźni *a priori* obudzonych imieniem autora, obchodzą ją ludzie nie sprawa. — Wielu studentów co nie zdali *maturitatis* egzaminu, poświęca się literaturze, a ci arystarchowie naturalnie skłonni są do lekceważenia wszystkiego, aby jakkolwiek wiarę w swoją powagę obudzili. Najlepszym ku temu środkiem zdaje się im pomiatanie wszystkim... a szczególnie powieścią jako formą błahą i... tylko dla zabawy próżnujących a pokarmienia tłumu przeznaczoną... W takim stanie rzeczy nieszczęśliwy powieściopisarz musi się tłumaczyć sam przed ludźmi, aby jako tako został zrozumianym.

Pojedyńczo wzięte studia nasze współczesne w formie powieści mogą wielu zarzutom ulegać. Są to obrazy pod natchnieniem wypadków i kwestyi nastęrczających się co dzień pisane w celu, aby usposobienie umysłów, pogląd na sprawę, charakterystykę obyczajów i ludzi historycznie zachowały. — Ztąd w całym ciągu opowiadań naszych z dziejów Polski od r. 1863. znajdują się nawet pozorne sprzeczności, koloryt różny, pogląd niejednaki, namiętniejsze i chłodniejsze sądy... Znajdzie się oddźwięk tego cośmy przeżyli, przecierpieli, nasze boleści i troski, nadzieje i nadaremne podźwignienia próby, nasze zniechęcenie i zwątpienie. Autor w nich jak najmniej był i chciał być sobą. Starał się być wiernym tłumaczem tego co go otaczało i wziął sobie za główne zadanie, nie wyrokowanie o epoce, ale odwzorowanie jej wierne. Czy w wyborze opowiadań, postaci, stron z których patrzył na wypadki, był zawsze szczęśliwym? — Na to nie do nas należy odpowiedź. Dadzą ją lata późniejsze może, jeśli

w naszych szpargałach i bibule rozpatrywać się zechcą. Nie będziemy utyskiwali wcale na wyrządzone nam krzywdy przez współczesną krytykę; — ulegała ona przewidzianym z góry wpływom... a pocieszyć by nas mogło wielce to, że ogół czytelników inne dla tych opowiadań okazał usposobienie i inny całę sąd wydał o nich niżeli dziennikarstwo nasze. — Krytyka nie zdoła go ani zwichnąć, ani ku nam zniechęcić.

Każdy pisarz zresztą wcześniej przygotowanym być powinien na sądy wszelakie a przede-wszystkiem na krzywe i powierzchowne jakim my nieraz z uśmiechem na ustach — uledz musieliśmy...

Nie zraziło nas to od dalszych studyów nad obyczajami współczesnemi pod których szatą lekką mało kto poważniejszej myśli chciał dostrzedz. Powieściopisarstwo u nas stoi w tej chwili na stanowisku przeważnem, ale z niego korzystać nie umie. Z wyjątkiem kilku, pisarzy powieści są bazarzami zabawiającemi chci-

wych czytania, nie troszczącemi się o to jaki pokarm im przyniosą, byle zabawił i rozerwał chwilowo. Ani artystyczne wykonanie, ani pomysł nie odznaczają pospiesznych improwizacyi, wiecznie jeden świat i jedne jego strony odwzorowujących, których pełne są pisma peryodyczne. Nie chcemy przywozić żadnego z tych zbiorów które mamy na myśli, ale w nich przebiegając trzy powieści, trudno rozpoznać trzech pisarzy, trzy pióra, — zdaje się, iż jeden człowiek wyrobił to wszystko na jedno kopyto. — Brak oryginalności, często brak idei, która musi być powieści duszą, brak naostatek stylu i formy... Zarzucićby jeszcze można i to, że zamiast czytelników powolnie wciągać w sfery coraz wznioślejszych idei, zamiast zmuszać ich do myślenia, autorowie powiastek hołdują ich lekkomyślności i bawią fantazją tylko... Ale — niegodzi się nam tu czynić zarzutów drugim, raczej byśmy powinni tłumaczyć się z tych jakie nam czynią. I to wszakże byłoby przedwczesnem. — Mówmy więc o zadaniu powieści.

Nikt nie zaprzeczy, iż od r. 1863 do 1868, w którym jesteśmy, nie tylko w Polsce, ale w całej Europie idee powszedniego użytku, zasady, poglądy, uległy nadzwyczajnym zmianom. Uległa im polityka, pojęcia prawa i sprawiedliwości, poszanowaniu narodowych praw, zobowiązań międzynarodowych i t. p. Płynąc z tym prądem gorącym, częstośmy sami sobie sprawy zdać nie mogli jak się wyrobiły nowe pewniki, prawidła postępowania i jak to cośmy byli nawykli zwać świętem a nietykalnem, zmieniło się w lekceważone i podrzędne. Pod ciężeniem idei przekształciły się obyczaje, fizyognomia społeczna, elementa składowe narodu, zjawyły się postacie u nas niebywałe — inne znikły bezpowrotnie. — Sądziłyśmy patrząc na tę fantasmogoryę straszna, gorączkowa, z szybkością pary przerabiającą stare na nieznanne a dziwne, iż niektóre przynajmniej fazy kalejdoskopu tego należało zanotować i dla pamiątki zachować. Należą one do dziejów tych wewnętrzznego żywota narodu, które po upływie pewnego czasu

już odtworzyć trudno. Tak powstały: Dziecię starego miasta — Szpieg — Para Czerwona — Moskal — My i Oni — Na Wschodzie — Żyd — Tułacze — Hybrydy — Dziadunio i t. d. — Nic na pozór mniej z sobą związanego nad te powieści — nie w istocie silniej w myśli naszej z jednego źródła płynącego, nad nie. — Nie stajemy w obronie wykonania, którego niedostatków bronić nie będziemy, ale tłumaczymy co nas zniewoliło, co natchnęło do wydania tych obrazów. Od Dziecięcia Starego Miasta do Dziadunia, dostrzedz łatwo ile lat ubiegło, — od Na Wschodzie do niego mniej-sza jest przestrzeń, a jednak różnica pojęć jest wielka.

Zadanie jest bliskie pierwszemu, ale widziane z innej strony, pojęte w inny sposób. Dziadunio przedstawia epizodycznie zetknięcie się dwóch tych żywiołów polskiego i giermańskiego, ale już na polu nie tak zajadłej walki, choć rozstrój dwu światów ogromny. — Walka

przenosi się w szranki pracy i wykształcenia... obok cywilizacji Germanii staje uczucie polskie wykołysane wiekami rycerskiego bohaterstwa. Oprócz tego przeszłość z wyrobionym swojego życia trybem i zasobami, — staje obok terażniejszości zwątlonej przesilenia chwilą, na którą padło jej wychowanie; niepewnej siebie, dobrych chęci a zastygłego serca. W Dziaduniu dogorywa co było najenergiczniejszego w przeszłości... w rodzinie jego porywy tylko widzimy, walkę, pragnienie podniesienia się i bezsilność.

Te smutne symptomata niestety — w życiu, co krok spotykamy. — Nie zbywa nam na dobrych chęciach, nie brak pojęcia naszego programu. — Nie mamy siły do wykonania. Wszystko rozpływa się w słowa, wszystko rozwiewa w rozprawach, rozprasza po kartach, ulatnia w mowach świetnych... jesteśmy jak załoga okrętowa w chwili gdy statek tonie, spierająca się jakich użyć środków ratunku... zamiast stać u pomp, rudla i masztów.

Niedoleźstwo współczesne, przeraża patrzącego na rzeczywistość, za słabo ono jeszcze maluje się w powieści. — Niema jednego znacznieszego przedsięwzięcia krajowego, finansowego, fabrycznego, przemysłowego, literackiego, któreby, choć najlepiej pomyślane albo w kolebce nie zmarło lub na paskach chodząc głowy nie rozbiło, albo młodzieństwa nie doszedłszy w wodę nie wpadło. Mamyż przywozić fakta? Stowarzyszenia przemysłowe, wydawnicze, fabryczne... oświaty ludu... żeglugi... wyrobów żelaza i drukowania książek? Wszystko to nader świetnie się zapowiadało, rozpocząło i roztopiło w niedostrzeżony strumyczek, który wsiąkł w piaski. Dziadunio jest typem starej epoki, nie oglądającej się na stowarzyszenia, a pracującej w swym kręgu, o własnej sile wytrwale — *usque ad finem*. — Otaczające go postacie... marzyciele, ludzie poczciwi a słabi... zobojętnieli, chłodni... nie dobrze widzą, gdzie iść, gdzie zająć i po co? — Idea ta niedość może wyraziście w po-

wieści wypowiedziana, rozjaśni się w jednym ze studyów następnych, którego przedmiotem będzie człowiek pojedynczy i Stowarzyszenie. Myśmy, zdaje się, od idei spółki za wiele wymagali... za wiele na nią kładli, a brakło nam żywiółów zdolnych do jej złożenia; pewien stopień wyrobienia społecznego jest tu niezbędnie potrzebnym.

Nie chcielibyśmy odejmować młodości uroku, jaki ją otacza... potęgą jest młodość, ale nie trzeba zapominać, iż jest jedną z sił działających świata a nie jedyną. Regulatorem dla niej musi być druga część społeczeństwa, dojrzałsza, stanowiąca przeciwwagę niezbędną. Dziś domagania się młodzieży są wielkie — wykształcenie mniejsze niż kiedy — a ostatecznie sprężyny czynu działają w niej nie regularnie, wybuchowo... nie trwale. — Lada niepowodzenie odrętwia, lada powodzenie oszala — nad pojęciem celu nie mozoli się też wcale.

Kwestye te przedstawiają się w Dziaduniu nierozwinięte, napomknięte tylko tak aby czytelnik sam je rozmyśłem dopełnił. — Zestawiliśmy tu typy z żywego świata, pobrane w ten sposób, iż idee te następują, ale nie myśleliśmy tendencyjnie wyciągać z nich wniosków wedle naszego upodobania. Życie wzięte w pojedynczych swych objawach małego rozmiaru nie może stanowić skończonego obrazu którego by wniosek ostateczny był widomy i pełny. Dla tego i od powieści wymagać nie można, aby *la morale de la fable*, leżała jak na dłoni — znać by w tem było naciąganie i sztukę urągającą się prawdzie żywota.

Nie będą nam mieli za złe czytelnicy... spodziewamy się tych kilku słów, rzuconych na papier w chwili osamotnienia, z potrzeby poufnego zwierzenia się przed niemi... Gdybyście wy szczęśliwi — którzy macie dom, rodzinę, przyjaciół, spokojne jutro wysłane puchem, ogrzane sercem, zstąpili myślą kiedy w te ciemne głębie z których my odzywamy

się do was? Zaprawdę, zaprawdę zrozumieliście by nas lepiej i przebaczyli nam wiele... Wśród obcych, na ziemi wygnania, z troską o jutro, z tęsknotą za dniem wczorajszym... pod naciskiem terażniejszości... ciężko nam, smutno... trudno... Ten kawał papieru i myśl co go zapełnia stanowią ciasne koło w którym poruszać się musimy, aby nie zetknąć z rzeczywistością, i zapomnieć co boli. — Pomyślicież wy szczęśliwi... gdy karty książki przebiegać będziecie, że to owoce boleści...

B. Bolesławita.

Pod koniec 1862 roku, na granicy Królestwa od Wielkiego Księstwa Poznańskiego, niedaleko od miasta Kalisza, w starej majątności familijnej, którą niegdyś podział kraju rozplątał na dwoje, czyniąc ją równie korzystną z pewnych względów jak z wielu innych niedogodną — mieszkał staruszek zwany powszechnie Dziaduniem w okolicy. Przeszłego wieku dziecię i wychowaniec, niegdyś za młodych lat szambelan króla polskiego, od dawna już wieśniak i gospodarz, mimo podeszłego wieku żywy, czynny, pełen energii, prześcigał nie jednego młodzieniaszka wytrwałą pracą i siłą umysłu. Zwał się Jan Stanisław Zegrzda. Dwa te imiona dozwalały mu kilka razy do roku przyjmować powinszowania całej okolicy, w której miał tylu przyjaciół co znajomych. A że Dziadunio od towarzystwa nie stronił, z ludźmi żyć umiał i lubił, żadnego się Stanisława nie zapierał, i Jana nie odtrącał. Butelczyna starego węgryna wychodziła z piwnicy, kucharz nizał kur-

częta na olbrzymi rożen, siekano zrazy, bito śmietankę, pieczono andruty, i nigdy głodnym ztąd nikt nie odjechał, ale też nikogo Dziadek nie spoił.

W różowych humorach, syci i rozweseleni odjeżdżali goście... Stary u wielu uchodził za skąpego, w istocie rządym był tylko.

Pod wszelkimi względami była to postać oryginalna i niepospolita. Jedną z najsmutniejszych katastrof którym człowiek ulega, jest powolny z wiekiem upadek na umyśle i duchu, gaśnięcie stopniowe intelligencji, zamieranie pamięci, ostyganie serca... ten, możnaby rzec, rozkład duchowy, który zwiastuje śmierć, i poprzedza ją... często trupem czyniąc żywego jeszcze człowieka. Ale — z małym wyjątkiem, to co jakiś lekarz mówił o obłąkanych, że szaleją ci tylko co dobrowolnie szalu się dopuszczają — możnaby rzec o starych: starzeje ten tylko, kto sobie zestarzyć dozwala. Pewna higiena ciała i ducha do ostatniej godziny dozwala wybranym zachować siły umysłu, zdrowie duszy.

Pan Jan Stanisław Zegrzda znać dobrze o tem wiedzieć musiał, bo choć już miał prawnuka i najstarszym był w okolicy... nie stracił ani rzeźwości umysłu ani krzepkości ciała... Pamięcią wyprzedzał młodych, niezmordowaną czynnością ich zawstydział.

Gdy inni rówieśnicy jego po większej części z pochodem uroczystym wieku idą tylko do pewnej stacyi i znużeni na niej zostają, dając się młodszym wyprzedzać — a resztę dni powtarzają tę strofę pieśni na której niegdyś stanęli, Dziadunio szedł z postępem ciągle i nie wierzył jeszcze w to, żeby świat dla tego miał iść już za daleko, iż on z nim posunąć dalej się nie mógł. — Obdarzony tą błogosławioną ciekawością, która wiedzy pragnie, wytrwałością co się pracy nie wzdraga... żył jeszcze całą piersią czerpiąc żywot otaczający... W ciągu długich lat jego exystencji zmieniał się świat, pojęcia, język, ludzie, nauka, społeczeństwo. Dziadek umiał trafnie wybrać drogę dobrą i zastosować się do wszystkich metamorfoz wieku.

Nie był nigdy uczonym ani chorował na rozum... był po prostu światłym człowiekiem, dobrym gospodarzem, a obywatelem wedle dawnych pojęć polskich... Bolało go wszystko co kraj obchodziło, cieszył się dobrem, czuł w obowiązku czynnego udziału do każdej sprawy publicznej...

Dziwne przechowanie sił a jędrność tego starca, bardziej jeszcze zdumiewajacem było dla tych co znali jego dzieje — nie był to człowiek szczęśliwy... ciosy jedne po drugich próbowały go, harto-

wały może — kogo innego dawnoby one obaliły, on się krzepił i cicho znosił je po rycersku nie szukając z tego chluby. — Charakterem, co rzadko, stał równie jak umysłem wysoko... przeżył on i pochował wielką część swej rodziny, z rówieśników i przyjaciół został ostatnim... otoczony grobami... żył wszakże z nową generacją umiając się pogodzić.

Rodzina z której Zegrzda pochodził stara była i niegdyś zamożna bardzo, ale Dziad po ojeu swym odziedziczył dobra ofiarami odłużone, złem gospodarstwem zniszczone... Gdy po wyposażeniu siostry ojcowskiej dostały mu się Rajwola, Zarebie i Krymno... trzy klucze obszerne... ludziom się zdało niepodobieństwem prawie, aby się mógł przy nich utrzymać. — Długów na nich z różnych epok i różnej natury było bez miary, grosza na polepszenie żadnego, kredyt trudny, budowle w ruinie, inwentarz nędzny... stan włościan okropny — najżyczliwsi Szambelanowi radzili mu pozbyć się dwóch kluczków, aby pozostać przy trzecim przynajmniej — i to nie bez — grzeszków. — Dziadek był wówczas bardzo młodym jeszcze, gdy zajrzawszy w inwentarze zobaczył iż dobra te od lat przeszło trzech set były w posiadaniu rodziny — żał mu się zrobiło puścić je na obce ręce. Ziemią wówczas

frymarczyć nikomu na myśl nie przychodziło. Była ona dla głębiej widzących czemś więcej niż warstwą pracy, bo spójnią z ludem i narodem...

Wiele dziś, i po części słusznie, zarzucają przeszłości naszej — ale nie była ona tak czarna jak się w świetle nowych idei wydawać może; znacznie-sza przynajmniej część szlachty czuła a rozumiała swe powołanie wedle pojęć ówczesnych... Dziadek nie przypuszczał, żeby bez ostatecznej konieczności spadku po rodzinie wyrzec się można dla ocalenia trochy spokoju lub zyskania swobody. — Pomyśleć nie mógł by człowiek nowy, obcy zawładnął tym ludem, ziemią i chłodną stopą deptał drogie pamiatki. Jął się więc mężnie pracy jak parobek, jak ekonom, wyrzekając się dobrowolnie swobodniejszego życia, zakopał się na wsi, ograniczył potrzeby do ostateczności, stał się skąpym i powoli... powoli majątek oczyszczać zaczął. Radzono mu ożenić się i posagiem wyratować, ale na samą myśl takiego frymarku oburzywszy się zaklął, że póty żony nie weźmie póki choć grosz długu mieć będzie. Miał mało co więcej nad trzydzieści lat, gdy po spłaceniu ostatniego kredytora... mógł sobie towarzyszkę poszukać. Serce świeże, uczucie niewyczerpane, obyczaj surowy dozwoliły mu pokochać, znaleźć

serce i ożenić się z przywiązania. Ale szczęście trwało krótko, w losie tego człowieka było nieustannie ulegać katastrofom i przemianom.

Najdroższa Magdusia, którą kochał nad życie, przeżywszy z nim lat parę umarła zostawując mu po sobie córkę jedyną. W chwili zgonu biedna stygnącymi usty ucałowałszy dziecinę, złożyła ją na rękach ojcowskich, błagającym wzrokiem żądając, aby jej na obce nie zdawał. — Nie oddawaj jej nikomu, niech się przy tobie wychowa, ty tylko matkę możesz zastąpić... Szepcząc te słowa... zamknęła oczy; a Dziadek zrozumiał i wolę tę i obowiązek jaki nań spadał wziął do serca. — Zajął się wychowaniem dziecka z tą gorliwością która go nigdy nie opuszczała... Zdawał się dziedziczyć instynkt matki, jej troskliwość macierzyńską... i mógł się dziełem swem pochlubić, bo mu dziewczę wyrosło śliczne, roztropne, a pocziwe. Marynka była ideałem polskiej dziewczicy... Ale tak ubrana starannie do uczyt życia... obok kogo zająć miała miejsce...??.. pozostawało najcięższem... ostatniem zadaniem. Przyszła chwila wydania jej za męż. Ojciec przewidział wczesnie niebezpieczeństwo, nie zawiózł córki nigdzie nie dowiedziawszy się wprzód kogo tam spotka, w wyborze towarzystwa był aż do

zbytku ostrożnym. Los wszakże zażartował z tych zabiegów.

Na jednej z tych zabaw do których się więcej nóg niż głów zaprasza — spotkała Marynia pana Floryana... syna jednego z możnych niegdyś obywateli okolicznych. Chłopak był ładny, wesół, dowcipny, trochę pusty... Tego wieczora on rej wodził na baliku, kilkanaście godzin zabawy starczyły by olśnić, zachwycić, podbić serce Maryni... P. Floryan nie był wcale złym człowiekiem, ale wszystkie cnoty staropolskie miał w sobie tak dalece posunięte, że się w nim stawały wadami. Szlachetnego i litościwego serca był niepomiarkowanie rozrzutnym, ludzki był a! łatwowierny i bez wyboru wierzył pierwszemu lepszemu intrygantowi, w patriotyzmie padał ofiarą tych, co się doń odezwali, grzeszność jego przeradzała się w słabość i chęć służenia ludziom w bezmyślną dobroduszość, której nadużywano. Kochali go wszyscy niezmiernie, ale nikt nie brał na seryo, posługiwano się nim bez litości. Łatwo było przewidzieć, że ten najlepszy człowiek w świecie ani dobrym mężem ani ojcem familii być nie potrafi... Dziadek był przeciwnym temu małżeństwu, choć Floryana lubił, opierał się związkowi ale Marya kochała... jedynaczka bladła, schła,

plakała, musiano ją w końcu wydać za pana Floryana... Stary westchnął, teraz podwójnie wziął się do pracy, za zięcia i za siebie, musiał go strzedz, pilnować, kierować nim. Nic to nie pomagało wszakże, poczeiwe człeczysko strzelało bąki co chwila, darli go wszyscy, rozchwytywano majątek, dobrzy przyjaciele ogrywali, wciągano go w nienajlepsze towarzystwa, bałamucono, miotano biedakiem.

Przez słabość rozpoczęty jakiś niepotrzebny romansik zakłócił spokój domowy, Floryan nie umiał się oprzeć intrygom, dał się uwikłać, a gdy żona ze śtrapienia śmiertelnie zachorowała, powrócił do niej za późno... Miała mu czas przebaczyć i wkrótce potem umarła.

Był to nowy, straszny cios dla ojca... Z małżeństwa pozostało dwoje dzieci, syn i córka, dziad wiedząc co je czeka, jeśli przy Floryanie zostaną, zaproponował mu oddanie ich... sobie na wychowanie... Ale przyjaciele pana Floryana widzieli w tem moralną krzywdę jego, namówili do oporu, poróżnili go z teściem. Wdowiec z dziećmi wyjechał do miasta... pod pozorem edukacyi, starzec pozostał na wsi. W Warszawie majątek coraz szybciej topnieć począł, a co gorzej, sam Floryan

wpadłszy w wesołe towarzystwo dobrych ludzi, rozpróżnował się i rozhulał, tak że sieroty na ręce najemne porzucił. Ściskali go, całowali, obsypywali pochwałami przy kielichach, serdeczni jego przyjaciele, nie zwano go inaczej jak *pocziwym* panem Floryanem... ale mu się upamiętać nie dano na najświętsze obowiązki.

Ta hulanka nie wiadomo do czego by była doprowadziła, bo już szeptano że się chciał żenić z artystką baletu, która miała być bardzo dystyngowaną i utalentowaną osobą (choć po dwakroć zaszczycona została naszymi i bransoletą przez N. Pana) gdy szczęściem po jakiejś zbyt przedłużonej wieczery p. Floryan zapadł na gorączkę gastryczną i umarł w kwiecie wieku. Tysiące osób towarzyszyły orszakowi pogrzebowemu, Dziadek przybiegł także aby zapłacić długi i odebrać wnuki..., które z nim razem pojechały do Rajwoli. — Smutna to rzecz gdy sieroctwo trzeba za szczęśliwy rachować wypadek. Dziadek jał się teraz gorliwego wychowania wnuka i wnuczki, pewien będąc że z nich uczyni co zechce. Chłopak zajmował go szczególnie... I on i siostrzyczka jego najpiękniejsze zrazu dawali nadzieje.

Nie żalowano nic dla wykształcenia obojga...

niestety... Dziadek musiał znowu doznać zawodu, mając do czynienia z pierwszymi niezgluzowanymi wrażeniami i z samą naturą wnuków. — Stasiak, syn pana Floryana z małą odmianą, miał całą poczciwość i słabość ojcowską; więcej nauki, rozsądku, świadomości skutków, a ten sam brak sprężystości w charakterze, łagodność i dobroć posunięta do upokarzającego ubezwładnienia. Nie umiał się oprzeć złemu najczęściej dla tego, żeby przykrości komuś wypowiedzeniem przekonania nie uczynić... a postępowaniem swem nie zawstydzić... Dziadek pracował aby hart nadać duszy, zmęczył go i nie zmienił.

Chociaż Stanisław bardzo był jeszcze młodym, Dziadek na swe długie nie mogąc rachować życie, a widząc potrzebę opieki nad nim, silniejszego, rozsądnego a kochającego towarzysza... sam postanowił mu wybrać żonę. To jedno mu się powiodło, trafił szczęśliwie, poprowadził ich do ołtarza tak zręcznie jakby doń szli z własnej woli. Panna Halina Przyrowianka pełna była uroku, dobra, łagodna, ale charakter miała niezłomny i powodujący się tylko przekonaniem wewnętrznym. Małżeństwo wnuka stało się Dziadunia pociechą i chlubą. Stanisław był szczęśliwym, oboje kochali się naj-

czulej, a dwie te istoty nawzajem się dopełniające, żyły w niezakłóconej harmonii i zgodzie.

Stanisławowstwo wzięli do siebie na dopełnienie jej wychowania Justysię. W ich domu rozkwitło to dziecko, śliczne, miłe, ale... trzpiotek niepohamowany, swawolnica która nie znając świata, zdawała się go przeczuwać i zgadywać. Po ojcu widać odziedziczyła to pragnienie życia, palące gorączką w dzieciństwie. W kobiecie te wcześnie rozbudzone pragnienia były straszniejszym niż dla mężczyzny symptomem przyszłości. Mając lat trzynaście była już zalotna, marzyła o szerszym horyzoncie, o wielkim teatrze, niecierpliwiąc się że jej z gniazdka wylecieć nie dawano. W piętnastym roku dojrzała przedwcześnie... Nie myślano jeszcze wcale o wydaniu za mąż bogatej dziedziczki... gdy... na jednym z tych polowań tłumnych, na które się całe sąsiedztwo do Stanisława zjeżdżało, zjawił się człowiek przeznaczenia... Był on już wielu znanym z odgłosu, chociaż mało kto w sąsiedztwie znał go osobiście. Majętny niegdyś i jeszcze za majątnego uchodzący pan Apollinary Szymbor, dziedzic pięknej włości jak dobra Zegrzdów granicą nową przedzielonej, był świetnie wychowany, bardzo przystojny i wsławił się przygodami na wielkim świecie. Dobry

szlachcie, gdzieś w podróżach po niemieckich stolicach chwycił podejrzanę hrabstwo, do którego się czasem nie przyznawał, niekiedy je przyjmował.

Bawiąc chwilowo w dobrach swoich, już naówczas odłużonych straszliwie, pan Apollinary, zwany pospolicie Apollinem, a nawet Belwederskim przez młodzież złotą, z powodu bardzo pięknej budowy — w niedostatku właściwszego towarzystwa, raczył zstąpić ku prostym wieśniakom i zaszczycić bytnością swą łowy u pana Stanisława. Uważano to za nadzwyczajną łaskę z jego strony, bo w Poznaniu, w Warszawie, Berlinie liczył się do śmietanki najwykwintniejszego towarzystwa, był lwem pięknych pań i ulubieńcem młodzieży. Mówiono cuda o jego sukcesach, talentach, rozumie, dowcipie, grzeszczęśliwej, koniach angielskich i różnych awanturkach alkowy, podnoszących w oczach tłumu. Szymbor miał stosunki arystokratyczne znakomite. Nikt się nie domyślał że po kilku próbach niefortunnych w wyższych sferach, myślał już o wyszukaniu sobie na wsi bogatej dziedziczki, któraby zapłaciła długi i grzechy młodości. Znalazł się niby przypadkiem, raczył zaprosić się z nudów...

Samo oznajmienie o tem, że Apollo Belwederski będzie na polowaniu ściągnęło mnóstwo, ciekawych,

przyjazd poprzedziły opowiadania... historye, nieprawdopodobne... Nareszcie bohater ów ukazał się na angielskim koniu z jockeyem, wystrojony jak dziennik mód... uzbrojony tak że od torby do różka każda fraszka jego przyboru była nowością i ciekawością. Wszystko co miał na sobie było rodem z Paryża, Londynu.

Elegancją, dowcipem, śmiałością i swobodą obejścia zachwycił płochą Justysię... wydał się jej ideałem. Stanisław Zegrzda który go widział w życiu po raz drugi, powziął do niego od pierwszego wejrzenia wstręt instynktowy... mimo najbardziej ujmującej powierzchowności czuć było chłód i fałsz od tej pięknej lalki, której uśmiech szyderski sprzeczał się z niezmierną łagodnością, wyrobioną sztucznie. Dziadek na widok jego doznał tego samego wrażenia. Zgadzała się oba ze Stanisławem iż jak od jadowitego stworzenia coś odpychało od tego człowieka, chociaż usiłował pociągnąć, coś w nim straszło... Chelpliwe kłamstwo, pochlebstwo, grzeczność upokarzająca... dowcip zjadliwy czyniły go miłym, a obawiać się kazały. Do głębi tego człowieka tak kwiecisto wyglądającego dostać się nie było można, wszystko w nim obrachowane dla oka, kryło jakąś przepaść niezbadaną... Żartem

zbywał najpoważniejsze kwestye, a jeśli mu się żywsze słowo wyrwało było, jak sztylet zimne i przyszywające.

Dzień ten na śniadaniu, polowaniu, obiedzie spędzony w Zarebiu u pana Stanisława, był stanowczym dla Justyny. Powiedziała sobie — ten lub żaden... pokochała go wprzódę głową i wyobraźnią niż sercem, a ze wszystkich miłości... namiętność którą fantazya rodzi jest może najniebezpieczniejszą.

Nie trwa ona długo, ale łamie zapory... dla odczarowania.

Apollo ów kaliski mając już zapewne usnuty projekcik, był dla pań nadskakująco grzecznym, dla Dziadka pełnym najgłębszego poszanowania, dla wszystkich zaś najlepszym koleżką... szło mu o to widocznie aby się podobać. Popisywał się z całym jaskrawym zasobem nałykanych po świecie dowcipów... szczególnie zwracając się ku Dziaduniowi, którego nadaremnie usiłował odgadnąć, aby w jego ton zagrać, ale Dziadek był zimny, ostrożny, milczący.

Nareszcie nadszedł wieczór i goście się porozjeżdżali, Dziadek i pan Stanisław odetchnęli... towarzystwo zostało pod czarem i urokiem bohatera... Pocięchą dla Dziada było, że go więcej nie zobaczy.

Nazajutrz wszakże dowiedziano się, że lew stolic postanowił upodobawszy sobie spokój wiejski, pozostać jeszcze czas jakiś w tem miłym ustroniu.

W parę dni potem zjawił się z odwiedzinami u państwa Stanisławowstwa... przyjęto go zimno... tylko Justysia bardzo żywo okazać się starała jakie na niej uczynił wrażenie... on też szczególnie się nią zajmował.

Po tej wizycie mógł już na pewne rachować zwycięstwo, a dorozumiawszy się iż prostą drogą ciężko mu będzie dojść do celu nie wahał się puścić mánowcami. Poprzekupywał sługi... poczęły chodzić liściki potajemne, później Justysia siadywała w ogrodowej altanie, pod którą on podjeżdżał konno, stawał i godzinami całemi z nią rozmawiał. Bez przywiązania, na zimno, chłodny intrygant rachował na prostotę dziecka wychowanego na wsi, nie znającego świata i łatwowernego...

Gdy się stosunki podpatrzone nareszcie wydały, serce biednego dziewczęcia było już w mocy tego człowieka. Stanisław zgryziony, gniewny, naradziwszy się z Dziaduniem z polecenia jego, gdy Apollo przybył w odwiedzinę — dał mu na osobności grzecznie do zrozumienia, iż życzeniem jest rodziny, aby w domu ich bywać poprzestał.

Lew uśmiechnął się na to. —

— Spodziewam się, rzekł, iż pan niewątpisz że się do życzeń tych zastosuję. Szanuję wielce węzły rodzinne i powagę rodziny... ale rozkazy jej nie mają władzy nad sercem mojem. Odgadliście państwo że ono jest zajęte panną Justyną... będzie więc zmuszone szukać dróg i środków właściwych, ... aby... nawet mimo rodziny... pragnienia swe... zaspokoilo... szczęście osiągnęło.

Jest to wypowiedzenie wojny, które pojmuję... dodał, ale teraz nie będąc już związany niczem, czując się *hors la loi*, banitą... będę postępował jak mi podyktuje uczucie bez względu na nic...

To mówiąc niby szydersko, niby smutnie ale chłodno zawsze, uklonił się i odjechał. Groźba ta zastraszyła Stanisława... pobiegł znowu na poradę i po rozkazy do Dziadka.

Szambelan nie tracąc chwili pojechał i zabrał Justynę do siebie, a że poodmieniano sługi, i domyślając się konszachtów potajemnych a stosunków, zdwojono strażę, nie spuszczano na chwilę z oka Justyny — zdało się że wszystko zerwać się musi. — Dziewczę trochę płakało, zmizerniało bardzo ale rozwinął się w niem żelazny upór i zdwoiła namiętność. Dziadek rachował nieco na kuracęwą cza-

su... na tę chronopatya, która jest najskuteczniejszym ze wszystkich leków, gdy jednego dnia niespodziewanie zjawił się w Rajwoli Szymbor, — gość niebywały... nie mówił on jeszcze z Dziadem otwarcie, ale domyśleć się mógł łatwo jego usposobienia.

Dziadek byłby go nie przyjął zapewne, nie spodziewając się wszakże tych odwiedzin, zaskoczony przed domem, ledwie miał czas przez ochmi-strzynią wysłać rozkaz, ażeby Justysia w czasie bytności gościa pokazywać się nie ośmieliła.

Szymbor z niezmierną uniżonością, łagodnie bardzo powitał zachmurzonego Szambelana, który nie zapraszając go do domu, pełen obawy niezręcznie dosyć wyrwał się z zapytaniem... Jakiby szanowny sąsiad miał do niego interes — ?

— Panie Szambelanie dobrodzieju, odparł zręczny gość — jest to tak niezwyčajnem w polskim domu aby w progu pytano kogo o interes, że z ust pańskich ten wyraz waży dla mnie za oznakę jego usposobienia, niemal jako odprawa... Szambelan nie możesz niewiedzieć o moich uczuciach dla panny Justyny.

— Wiem o tem co pan nazywasz uczuciem, a co ja nazwałbym projektem, odparł Dziadek kła-

niając się, i właśnie by mu oszczędzić próżnych nadziei... mam honor oświadczyć, iż cała rodzina a ja jako jej głowa mariażu tego nie uważam za właściwy.

— Czy wolno mi spytać choć o przyczynę?

— Ani charaktery, ani położenie towarzyskie, ani warunki wszelkie stósowne się nam nie zdają.

— Szanuję wielce każde przekonanie, rzekł Szymbor, ale ośmielałam się dodać że tego niepodzielam... a któż wie? panna Justyna także może się zapatruje na to inaczej. Zdaje mi się zaś, że my dwoje najwłaściwiej byśmy w tem wyrokować powinni.

— Niekoniecznie, rzekł dziad chłodno... źle się często zapatruje na własną sprawę. A z kąd pan wiedzieć możesz o uczuciach Justyny?

Szymbor się uśmiechnął.

— Mam powody pewne mniemać iż nie jest dla mnie obojętną.

— Nie będzie to z chlubą dla pana, żeś się o tem drogą niewłaściwą chciał dowiadywać i starać.

— Szczerze przywiązanie wszystko uniewinnia, zawołał Szymbor.

— W książkach, odparł Dziad, w życiu ono, jeśli jest szlachetnem tylko szlachetnemi chodzi drogami.

— Z innych ust uważałbym to za ostrą przy-
mówkę.

— W istocie wyraziłem się niepobłażająco, ale
słów moich nie cofam...

— A ja je znoszę... przerwał Szymbor grzecznie.

— Powtarzam panu, iż my w tym związku
szczęścia nie widzimy... dodał stary...

— Nie mogę się o to sprzeczać, zawołał Szym-
bor, chociaż mógłbym coś za sobą powiedzieć. Po-
dobne przedwczesne, wieszce poglądy na przyszłość
dyktuje serce, argumentami ich zbijać nie podobna.
Zatem nie pozostaje mi tylko się odwołać do przy-
szłości i czekać. — Skłonił się.

Dziad za odchodzącym postąpił kilka kroków
i dodał w sposób bardzo grzeczny prośbę, aby sta-
rań nadaremnych chciał poprzestać — i wyrzekł
się wszelkiej nadziei.

— Nadziei! nigdy, zawołał gość — należę do
tych ludzi, którzy mają wolę niezłomną, wytrwa-
łość niezmożoną, cierpliwość niewyczerpaną... i to
czego pragną... osiągnąć muszą.

Dziad już się był zarumienił i przyszłoby może
do żywszych wyrazów, gdy w tej chwili niespo-
dzianie wyrwawszy się ochmistrzyni wbiegła na
ganek Justysia, z rozpuszczonemi włosami, z zała-

manemi rękami, rzucając się do nóg Dziadowi, i wołając dramatycznie:

— Dziadziu, ja umrę... nie będę niczyja tylko jego!

Scena ta widocznie była naprzód ułożoną, Dziad oburzył się straszliwie, na rękach prawie wyniósł wnuczkę z ganku i nie odpowiadając nic, skinieniem głowy, bladego Adonisa pożegnał...

Kto inny na jego miejscu byłby wybuchnął, rozgniewał się, uniósł... on się uśmiechał zimno pewien siebie, niewzruszony. Nie bez przerażenia zauważał Dziadunio tę zimną krew zakochanego młodzieńca, który skłoniwszy się grzecznie z wyrazem szyderskiego politowania na ustach — odjechał — zapaliwszy na bryczce cygaro...

Na pozór tedy wszystko zostało zerwane; pani Stanisławowa zabrawszy z sobą Justysię wyjechała wkrótce do wód... Lekarze obawiając się o piersi młodego dziewczęcia, przepisali zmianę powietrza... ale wycieczka ta zupełnie się nie powiodła, gdziekolwiek przybyły panie, znajdowały za sobą w ślad goniącego pretendenta, który się zjawił nazajutrz i ścigał bez miłosierdzia. Pozbyć się go nie było podobna. Justyna skutkiem tych wzruszeń zapadła gorzej na zdrowiu, powrócić musiały do domu. Szymbor za niemi.

Dziad niepokojący się o los wnuczki choć jeszcze nie przypuszczał aby ją miał wydać za człowieka wstręt i obawę budzącego, bliżej się jednak o nim rozpytywać począł, a ściągnięte wiadomości malowały go wcale niepochlebnie. Mówiono głośno o bliskiej majątkowej ruinie, skandale przeszłości nie dozwalały wiele wróżyć na przyszłość.

Walka ta z obu stron prowadzona uparcie trwała długo. Justyny przywiązanie, które się zdawało jej samej szczerem, a obiecywało być wiekuistym, rozstrzygnęło nareście: Dziad się dał złamać łzom, uległ... Szymbor ożenił się... Justyna ozdrowiała, rozkwitła... była na chwilę szczęśliwą.

Ledwie odeszli od starca, majątek p. Apolliniego runął, zmuszonym był oddać go wierzycielom, nie pozostało mu nic... Młodzi państwo przenieśli się do Krymna, które Dziad wypuścił ale go nie oddał... Nie przeszkadzało to, ani smutne doświadczenie, wieść Apollinarem do życia do jakiego był nawykły..., żona równie jak on płoża, żadna zabawy, świata... towarzystwa, ciągnęła go jeszcze...

Nim dwa lata upłynęły... ta czuła para turkawek... rozstała się niemal... i zobojętniała... Szymbor bawił się zakładaniem ogrodu, budowaniem pałacyku, wycieczkami po miastach, żona

jeździła do wód, stroiła się... wiodła za sobą roje wielbicieli... Oboje wiele się na świat i ludzi nie oglądali dogadzając fantazyom, Szymbor zostawiał żonie aż do zbytku swobody, ale jej też nieograniczonej dla siebie wymagał. Tajemne jakieś zapewne pakta zawarte zostały.

Napróżno nieszczęśliwy Dziad, brat, bratowa usiłowali opamiętać Justynę, nauczyła się ona od męża zbywać wszystko śmiechem i wyrobiła już sobie swoją teorią życia i moralność specyficzną, której odstąpić nie chciała... Doprowadziło ją to do najdrażliwszych z rodziną stosunków, do niechęci i zobojętnienia Dziada.

Przywiedziony niemal do rozpacz Szambelan... nie widział już na to ratunku; za każdym spotkaniem wrzały spory, wymówki... bezskuteczne... Szymbor niezmiernie grzecznie tłumaczył się, uniewinniał, ale swoje robił. — Stanisław łagodny zwykle do zbytku, co jedno zarzucić mu było można, z Szymborem od pierwszego poznania był krzywo; miał do niego wstręt nieprzełamany, coś niewytłumaczonego co mu krew na widok jego burzyło.

Szwagier mu płacił tem samem uczuciem nienawiści, każde ich spotkanie zwiększało wstręt, rozchodzili się gniewni, a że Szymbor był dowcipny

i umiał się miarkować, odnosił pozorne zwycięstwo, które spokojnego Stanisława do rozpaczyny przyprowadzało. Unikali już później zbliżenia się, ale traf płała figle, a Szymbor wiedząc że dokuczy, szukał do tego zręczności i wyśmiewał się nielitościwie z poczciwego pana Stanisława. Wojna ta dochodząc do coraz niebezpieczniejszych wybuchów, wzrastała ciągle, tak że w końcu bywać u siebie i widywać się całkiem przestali, a kilka razy mogło się zdawać że przyjdzie do pojedynku. Dziad parzył na to z trwogą, bo oceniał siły nieprzyjaciela, z obawy więc o wnuka podał myśl choć pozornego ich przejednania. Na jakimś zjeździe w sąsiedztwie zmuszono ich że sobie ręce podali, zapito sprawę... pocałowali się wrogowie, ale w uścisku słyhać było szept złowrogi a w oczach dostrzegli przytomni groźnego błysku...

Upłynęło spokojniej kilka miesięcy, nadeszła jesień... stosunki były chłodne, ceremonialne ale znosne... Stanisław zawołany myśliwy zebrał całe sąsiedztwo na wilki... przybył i zaproszony Szymbor...

Knieje były opatrzone, stanowiska powyznaczone, myśliwi zobowiązali się ich pilnować i w gąszcze przeciwko psom nie podchodzić. Nikt później dokładnie oznaczyć nie mógł gdzie stanął gospodarz

który wyznaczał miejsca i wprowadzał gości, ani jak daleko od niego był Szymbor. Wśród wrzawy myśliwskiej oba jakoś naraz znikli. Wypadki tego dnia mimo badań najtroskliwszych pozostały okryte tajemnicą... Wedle zeznań świadków Apollinary zjawił się pod koniec polowania blady, niespokojny... narzekając na znużenie i niepowodzenie, kazał sobie podać konia i nie wracając już do Zarebia wprost z lasu udał się do domu.

Myśliwi pod wieczór zebrawszy się czekali długo na gospodarza, o którym nikt nic nie wiedział, od rana... Ze zbliżającą się nocą coraz niespokojniejsi ludzie rozbiegli się jedni szukając go we dworze, gdzie się nie pokazał, drudzy poszli w las szukać, bo myśleli że osłabł lub zabłądził... Nareszcie późno już bardzo jeden ze strzelców znalazł go leżącego pod krzakiem... okrwawionego, bez ducha już, z piersią przestreloną... w położeniu takim jakby sam na sobie popełnił samobójstwo...

Dano natychmiast znać Dziadowi, nieszczęśliwej żonie!.. zbiegły się tłumy, posłano i po Symbora, który późno dość nadbiegł przestraszony, drżący... bezmowny.

Mimo pozorów samobójstwa, wypadek był niezrozumiały dla tych co znali bliżej Stanisława

Zegrzędę, jego życie, charakter, szczęście domowe, przywiązanie najczulsze do żony i dziecięcia... Niepodobna było wytłumaczyć sobie coby go do tego skłonić mogło... Zrana jeszcze był weselszy niż kiedykolwiek... Tymczasem lekarz, sędziowie uznali z położenia ciała, strzelby... że sam sobie śmierć zadał,... ani chciał kto badać głębiej tajemnicy. Dziad milczący opatrzył wszystko, podniósł drogic zwłoki oblewając je cichemi łzami... nie mówił słowa ale gdy przybył Szymbor, wzrokiem piorunowym go przeszył wskazując mu oczyma wnuka... Szymbor drżał, płakał, łamał ręce... wzrok miał obłąkany, ale żadne podejrzenie uzasadnione paść nań nie mogło.

W duszy tylko starca zastrzegła straszliwa wątpliwość.

Przed pogrzebem Dziad poszedł z lekarzem do ciała, wydobył kulę z niego pod pozorem iż ją miał schować na pamiątkę... nikt nie wiedział że tejże nocy zmierzył ją ze strzelbą leżącą przy Stanisławie i przekonał się że z niej wypaść nie mogła.

Pochowano zwłoki powszechnie ukochanego człowieka, żal po nim był niezmierny a tragiczna śmierć, zagadkowa, jeszcze go zwiększała. Długo sądzono

że wdowa umrze lub dostanie obłąkania, ale starania Dziada utrzymały ją przy życiu...

Nic na pozór nie zmieniło się w stosunkach Szambelana z Szymborem... stary zdawał się okazywać mu nawet więcej przyjaźnego usposobienia, mówił z nim często, w długie puszczał się rozmowy... ale czuć było że na dnie duszy tkwiła jakaś myśl, osnuty był plan.... czekano chwili sposobnej. Szymbor był greczny nadzwyczaj, trochę z razu Dziada unikał, potem jakby uspokojony wrócił do pierwszego obyczaju...

Od tego wypadku dość długi przeciąg czasu upłynął... Dziad zajęty był teraz opieką nad wdową i wychowaniem najgoręcej ukochanego prawnuka Władzia. Choć Szymbor z żadnego tytułu ani do majątku i interesów, ani do edukacji młodego człowieka mieszać się nie mógł... zdawało się podejrzliwemu Dziadkowi, iż potajemnie mu wszędzie plany jego krzyżował, szkodził, a nawet wpływ pewien starał się na prawnuka wywierać.

Ale potrzeba było cierpieć, bronić się i milczeć, unikając skandalu w rodzinie.

Wzajemnie patrzano na się z nieufnością, z obawą, niechęcią... Szymbor z latami roś w odwagę,

a raczej w zuchwalstwo pokryte pozorem najmilszej grzeczności dla dziecka. Stary cierpiał a bronił się.

Władysław Zegrzda kończył już w tym roku uniwersytet w Berlinie. Był to młody chłopak pięknie wychowany, więcej niż miłej bo klassycznie pięknej powierzchowności; serdeczny, odważny... ale gorączka i trochę szalenciec. Zdawało się Dziadowi, że aby mieć siły do walki ze światem w życiu późniejszym nie szkodzi w młodości ich nadmiar nawet... i zbytek ognia... Wedle dawnego obyczaju od dzieciństwa prawie dodano Władkowi towarzysza, rówieśnika, który teraz także studia odbywał w Berlinie. Była to sierota, chłopak jak mówiono, wzięty ze wsi... ale o rodzinie jego nikt nie wiedział, a o pochodzeniu różne chodziły plotki, choć nieuzasadnione.

Antek Siekierka, kolega Władka, był w swoim rodzaju także niepospolitym chłopakiem... ale z nimi obu zaraz bliżej się zapoznamy...

Był wieczór lipcowy gorący, ale wiatr przewiewał od wschodu i rzeźwiącem swem tchnieniem skwar kanikularny łagodził. Wczesna a obfita rosa zdawała się zapowiadać pogodę, tu i owdzie po ciemnie-

jącem ku schyłkowi dnia niebie przeciągały chmury złociste, zarumienione, ponastrzepiane groźnie choć oderwane i nie grożące burzą.

Na zachodzie też oświecone jaskrawo kłębiły się i skupiały obłoki, lecz zaokrąglone ich wierzchy zwolna wiatr wygładzał... i w szeregi układały się do snu. W całej naturze czuć już było tę tęskną ciszę wieczora, która jeśli duszy nie budzi do modlitwy, to ją niewypowiedzianym smutkiem zalewa. Na starych olszynach klekotały bociany powracające z żeru, w krzaczach bzu i zaroślach leszczyny drobna czeladź ptasza wrzawliwie kłócąc się o pościółkę spać się kładła. W dali słychać było wiejską fujarę pastuszą i grzechotanie drewnianych dzwonek, z którymi było do domu powraca.

Komuż nie są pamiętne te wiejskie wieczorne godziny młodości nim jeszcze na świat z kąta się rodzinnego wydobył? Ileż to one marzeń, nadziei i tęsknot budziły w duszy rozpragnionej... a przeczcuciami mierzącej świat i ludzi..?

Na starość taki wieczór to modlitwa, albo sceptyczny uśmiech pytający ciszy do czego wiedzie to życie, ranki, noce, młodość i zgrzybiałość... miłość i śmierć?

Cisza jak sfinks kamienny milczeniem szyderskim się uśmiecha...

W ganku starego dworu, na ławce przed stołem drewnianym (bo ganek mieścił aż dwa długie stoliki malowane biało) siedział niemłody mężczyzna, wyglądający oryginalnie, milczący ze spuszczoną głową, wiążąc siatkę szarą na niewód...

Był to Dziadunio, postać nie naszego wieku, mały, trochę wiekiem przygarbiony, szczupły, suchy, twarz miał zwiędłą, żółkłą od trosk, na której nic jasno wyczytać nie było można, gdy nie dopuszczał, ale przejrzystą, jak woda czysta, jeśli ją rozjaśnił z dobrej woli — wielkie brwi siwe wisiały nad maleńkimi oczkami skrytymi pod łukiem skroni, — usta wpadłe kryły się w fałdach oblicza, nos orli, suchy, rzucał cień na nie. Dwoje wystających uszu białych i trochę siniejącego włosa widać było z pod aksamitnej czapeczki. Na nosie miał okulary srebrne, ciężkie, kowane widocznie przez nieumiejętną dłoń parafialnego jakiegoś złotnika, na szyi biała chustka z piękną rozetą starannie zawiązana, o końcach haftowanych, przytrzymywała głowę już nieco ciężką.

Ubiór dziadunia był bez daty... nie dzisiejszy, ani taki jak dawniej noszono... coś pośredniego,

właściwego... Kamizelka pikowa dostatnia występowała ponad kołnierz ku uszom, spodnie szaraczkowe wpadały do butów długich po kolana z węgierska przykrojonych. Na to wszystko popielaty spencer który mało co sięgał za pas prawdopodobnie wykrojony z dymisyonowanego fraka, zarzucony był niedbale. Dodano mu tylko po obu bokach kieszenie które miały co dźwigać... bo obie były dobrze ponapychane... Z jednej z nich wywieszono końce kraciatej chustki zdradzały, że Dziadunio musiał czasem zażywać tabakę, z drugiej wisiał zgrabny toczony wałeczek należący do kluczków... Było to narzędzie mające je bronić od zaguby.

Dziadunio zdawał się mocno zajęty swą siatką, robił ją szybko, wprawnie, machinalnie, ale po fałdzistem czole znać było że więcej dumał o czemś innem. Sieć tylko zajmowała ręce niespokojne... umysł pracował gdzieindziej.

Ukośne słońca promienie wkradały się coraz niedyskretniej na ganek; padły wreszcie na głowę i lice starego, i przypiekać zaczęły; tak że siatkę rzuciwszy wstał, wyciągnął się i począł dobywszy tabakierki przechadzać się po ganku...

Sucha jego figurka z cienkimi nóżkami, z tym spencerkiem, okularami i czarną czapeczką — wy-

glądała teraz pocieszniej jeszcze... prawie z cudzoziemska... oblicze ani się rozchmurzyło ani stało wyrazistszem... Smutek i troska okrywały je... Chwilami z pod brwi błysnęło oko szare i skryło się pod powieką — czasem usta zdawały się uśmiechać — ale ten półuśmiech niknął zaraz w jakimś skrzywieniu nieodgadnionem. Zażywszy tabaki chodził długo założywszy ręce na plecy — potem przystanął w pośrodku ganku i rozpatrywał się po okolicy.

Krajobraz to był czysto polski... płaszczyna szeroko się rozlegająca, okolona lasami, których długie pasma odgadywać było można po za czarnym rąbem najbliższych... Gdzieniedzie w dali, sinawo ponad ich wierzchy, porosłe podnosiły się wzgórza. I powietrze było jakim tylko na równinach wśród puszczy się oddycha... wilgocią roślinną przejęte... wonią liści zaprawne. Przybity opadającą rosą dym rozkładał się po dolinie... łąki rozgrzane parowały, dymiły — lekkie mgły osłaniały ten smętny przestwór na którego tle zielonawem, to kupki drzew ciemniejszych, to pasma chat szarych, jak wysepki wyglądały. Gdzieniedzie z za gałęzi i dachów, krzyż, to znamię polskiego kraju, czarne ramiona wyciągał błogosławiąc ziemię — na męczeństwo.

W tym obrazie tak jednostajnym, z tak prostych

żywiółów złożonym, było coś uroczystego... wielkiego, silnie mówiącego doduszy.

Stary patrzył nań długo — niby ła zakreśliła mu się w oku... temi lasami szła linia co rozetrzęła na dwoje ziemię jedną, — ale otarł żywo kroplę wyrywającą się, rzucił ręką i poszedł jakby obraniając się myślom natrętnym do porzuconej siatki, którą jak najstaranniej ułożyć się starał..

W tej chwili na bocznej drodze osłoniętej kłombami, nie widocznej z ganku, zaturkotało. — Stary podniósł głowę... poznał gdy zahuczało na mostku że to nie była furka włościańska ale powóz cięższy o kutych kołach... stanął w ganku... czekał. W bramie ukazał się właśnie spuszczonego koczka, zaprzężony w cztery ładne konie, a służący zeskoczywszy z kozłów, począł otwierać wrota. W powoziku siedziały dwie osoby — kobieta i mężczyzna. Nie potrzebował im przypatrywać się stary... i ledwie rzuciwszy okiem, jakby zawiedziony, z wyrazem nieukontentowania w głąb nieco się cofnął. — Dopiero gdy koczka stanął przed gankiem wyszedł naprzeciw swych gości z pośpiechem jakimś przymuszonym...

Z powozu wysiadła naprzód kobieta średniego wieku, wcale jeszcze piękna, widocznie dbała bardzo

o swoje wdzięki; jej twarzyczka zeszlaczona, ubielona mączką ryżową, uśmiechała się z przesadną czułością. Była to wnuczka Dziadunia... pani Justyna Szymborowa... znana u wszystkich niemal wód i kąpielni pod nazwiskiem „*Comtesse de Chimbor*“... Za nią wyskoczył z młodzieńczą jeszcze szybkością, z powozu pan Apollinary, równie starannie i modnie chociaż po wiejsku ubrany...

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak bardzo popolity stary szalawila, zbudowany raczej na Herkulesa niż na Apollina, którego imię nosił... ale głębiej wejrząwszy w twarz bladą, szyderstwem napiętnowaną, pełną pochowanych w fałdach fałszów, a słodką i niby miłą... można się jej było nastraszyć... Oblicze to także młodem uczynić się starał właściciel, ale zarumienione powieki, wypieczone na policzkach plamy, łzawe oczy, usta opasane marszczkami... zdradzały pięćdziesiątkę; choć wąsik wysmarowany podnosił się do góry, i włos na głowie starał zamaskować łysinę... dość też wystający brzuszek mimo sznurówki i przepasania zaokrąglął już niegdyś bardzo piękną kibić Apollina.

— Kochanego Dziadunia! zawołał cisnąc się do przywitania... które stary rad był widocznie zbyć jak najkrócej...

— Kochanego Dziadunia — odezwała się Justyna niby wesoło i czuło... kiedy Dziadek na nas nie łaskaw, to my musieliśmy choć na chwilkę zajrzeć do Rajwoli... aby zobaczyć, przekonać się jak też drogie jego zdrowie... Pocałowała starego w ramię, on ją w głowę i mruknął coś całę niezrozumiałego.

— Bylibyśmy wcześniej przyjechali, dodał mężczyzna ocierając pot z twarzy a z za chustki wpatrując się bacznie w starego — ale niepodobna było wyruszyć... skwar dziś mieliśmy niewypowiedziany, neapolitański, afrykański, senegambijski, indyjski... piekielny... ledwie od godziny nieco się zaczęło robić znośniej.

— A tak! tak!... cichym głosem rzekł gospodarz krzątając się około samej pani... która poprawiając toaletę powoli... szukała miejsca... Dokądże mam prosić was, czy tu? czy do pokojów?... Gdzie będzie wygodniej.

— Wszędzie dobrze! zostańmy tu... siadając na ławie odezwał się Szymbor — powietrze to wśród drzew bardzo miłe... jest cokolwiek przewiewu... Wszak i Dziadunio tu siedział, siatka poświęca...

— Proszę się rozgościć — kłaniając się dodał

gospodarz głosem ułagodzonym ale ani zbyt czułym ani nadto zachęcającym... konie do stajni...

— Mogłyby postać — przerwał mężczyzna, bo my gdy księżyc zajdzie, wrócić musimy do domu.

— A! musicie!!

— Tak... dodała kobieta... mamy tyle do czynienia przed wyjazdem... za granicę.

— Za granicę! powtórzył Dziadek obojętnie... ale konie popaść mogą! To mówiąc skinął na woźnicę a służba posłuszna zwróciła ku stajniom gościnnym... Szymbor zawołał do nich — popaść i zaprzęgać.

Dziadek widocznie odetchnął.

— Czemże by służyć można? spytał, co pozwolicie?

Kobieta skłoniła głowę — to wszystko jedno... co łaska... u Dziadunia doskonała rzecz każda...

— Może kawą?

Odwrócił się do Szymbora — albo wina kieliszkiem?

Na wspomnienie wina mimowolnie rozjaśniło się oblicze gościa i usta zadrgały.

— Na to gorąco w istocie nie ma nic lepszego nad starego, wytrawnego kieliszek... a u Dziadunia o to nie trudno! I jakie wino! jakie wino!

— Nic osobliwego...

— A! to stare... odświętne...

— Z chęcią go przynieść każę! pośpiesznie rzekł Dziadunio.

Kobieta spojrzała na męża jakby z wymówką i przestrogą, na którą on nie zważając, ruszył tylko ramionami.

— A dla Justysi poziomek i kawy? nieprawdaż? dodał stary.

— Co łaska! byle jak najmniej zachodu, — o! mnie wszystko jedno.

— Pozwolicie więc, rzekł stary dobywając klucze z kieszeni... że pójdę, zadysponuję... i wracam w momencie.

To mówiąc wyszedł pośpiesznie w głąb domu... przybyłe małżeństwo które obrało sobie siedzenie na dwóch przeciwnych ganku krańcach, pozostało w milczeniu.

Szymbor wyciągnął się na ławie wygodniej, podparł, założył nogi jedną na drugą i ziewnął głośno. Pani spoglądała po okolicy z jakimś smutkiem rzewnym, a po chwilce ozwała się cicho.

— Że też ty Polciu, musisz zawsze coś Dziadkowi zrobić na przekór, wiesz jak starego wino

dawać nie lubi... Rozgniewasz go i nasza prośba... nie poskutkuje...

— Ja i tak nie wiele mam nadziei na starym... dobrze że mu choć trochę dokuczę!.. Umyślniem to zrobił wiedząc że się na mnie pogniewa... a łyknę dobrego wina kieliszek... *C'est autant de gagné.*

Uśmiechnął się.

— Że też wy, baby, nie możecie się nigdy powstrzymać od komenderowania nawet gdy [wiecie iż waszej komendy słuchać nie myślą.

Co ci do tego jakie ja mam rachuby... Życzę lepiej osnuć plan jak pieniędzy od Dziadka dostać.. Kaszlaj!, skarz się na piersi, może go tem rozczulisz... Mnie choćbym i krwią pluć grosza nie da.

— Bo go nieustannie drażnisz! nie samże temu winien jesteś?

— No! no! bez wymówek i rekryminacyi... jestem dlań grzeczny i słodki aż do znudzenia... nie chybiam nigdy, a jeśli czasem staremu kutwie zaleję za skórę!, to tak że musi się uśmiechnąć, bo wiem do czego przyczepić.

— Proszę cię Polciu — dość tego.

— Dość! nadto! skąpiec obrzydły, sknera paskudny, ale twój rodzony Dziadunio — szanuję go, dodał szydersko... Jeśli znajdujesz że ja nie

jestem trafny, daj dowód większej zręczności i taktu a wymóż na nim pieniądze. Uznam twą wyższość nad sobą...! Dla Haliny i Władka dałby wiele zażądają, ale dla nas.

Kobieta westchnęła... zaczęła szarpać niecierpliwie cienką chusteczkę od nosa..., to — to prawda!, szepnęła... ja we wszystkim jestem nieszczęśliwą...

Łza zakręciła się w jej oku... a trzeba ją było otrzeć co rychlej, aby spływając nie zostawiła śladów na ubielonej twarzy. Ale mąż zwrócony w stronę przeciwną, nie widział nic, a nie wiele by go to obeszło, gdyby był zobaczył. — Chwilę [znowu milczeli. Szymbor ziewnął, splunął i pociął nucić

Le Donne son mobile...

— Prawdziwie nie rozumiem, ozwał się wpół do siebie, na pół do żony — jak ten stary grzyb zaschły — tylko co nie powiedziałem muchomor... może tak sam jeden prawie, cały Boży rok sobie wystarczyć...

Żona nic nie odpowiedziała.

— Oryginalne życie! siatkę wiązać, ryby łapać, chodzić, gderać, szpiegować, kwasem swym drugich zakwaszać i groszaki ściągać do sakiew... Że gadać nie zapomniał a przynajmniej nie nauczył się jąkać,

...to dziwna, bo ci co długo w więzieniu siedzą milczący, jakają się potem...

Obejrzał się do koła z westchnieniem.

— Rezydencya... z której surowego materiału, drzew i wody człowiek z gustem, jak ja, wiele mógłby zrobić i *grandioso*, ale stary!!

Właśnie się Dziadunio ukazał na progu, odchrząkując umyślnie aby nie zejść z nienacka, ujrawszy go wcale niezmiészany tem Szymbor kończył z dwuznacznym uśmiechem.

— Ukazywałem kochanej Stysi piękności tej rezydencyi Dziadunia... tak ślicznie i smakownie utrzymanej, w całym dawnym narodowym charakterze i unosiłem się nad tem życiem spokojnego filozofa... zaciszą, błogą ustronią.

— Tak! tak! dołożył żywo Dziadunio — to dla mnie ładne, bom stary, ale gdyby to tak człowiek z lepszym gustem urządził, jak wy panie Apollinary... dopiero by Rajwola była przepyszną.

Czy Dziadunio podsłuchał, czy odgadł tylko, nie wiadomo — Szymbor nieco wargi zagryzł, Justyna spojrzała nań z ukosa, stary kończył.

— Ale ja... nie mam gustu do przerabiania, u mnie co stare to święte... sam [stary mam za najmilejsze co ze mną przestarzało i lepsze przypo-

mina czasy. — Wiem ja że mojej nikt nie posażuje pamięci, ale cóż ludzkiego wiecznem być może?

— Mój Dziaduniu — któżby śmiał? przrwała Justyna zmięszana.

Stary głową potrząsł, ramionami ruszył, uśmiechnął się półszydersko, i zwrócił gwałtownie mowę od drażliwego przedmiotu.

— Ale mi nie mówicie... czy niema tam co na świecie nowego?

— U nas Dziaduniu dobrodzieju, ozwał się mężczyzna poprawiając na ławce — cisza i spokój błogi! Słyszać tylko turkot wodnego młyna pod dworem, czasem trochę wrzasku we wsi i przyjemne ryki bydła powracającego z pola a skrzypienie wrót które mu otwierają!... dla różności niekiedy solo beczącej owcy lub kwik fantastyczny enharmoniczny nierogacizny... Zwykle to wiejskie koncerty... których — ja — szczerze wyznam, nie jestem zbyt wielkim miłośnikiem.

— A masz waćpan racją — odparł najmniejszego nie okazując wzruszenia Dziaduniu — w mieście jest daleko przyjemniej... turkot powozów na bruku, bicie we dzwony, tłuczenie w bębny, świsty,

wrzaski, hałasy uliczne... stanowią lepiej zorganizowaną całość.

— Dziadunio sobie zawsze żartuje... podchwycił Szymbor... ależ miasto daje pewne kompensacye... wieczorna opera... towarzystwo, koncerta.

— A masz waćpan racją — dokończył stary, nie licząc konkluzyi tego odpustu... kolacyjki z truflami i szampanem, która nie jest bez uroku... Je się sobie, pije, o niczem nie myśli, bawi wesoło... życie dalipan wyśmienite, gdyby długo trwać mogło.

— Długo zapewne byłoby szkodliwem i nużącym, dodał Szymbor... ale wedle zasady... czy Huffelanda, czy nie wiem którego znakomitego higienisty... dla zdrowia nawet potrzeba czasem excessu! kawałek zimy w mieście...

— Tak! tak! trochę zimy w mieście, nieco wiosny na willi pod miastem, lato u wód!, jesień w drodze... byle nie w domu, nieprawdaż! — to obyczaj wieku, mówił Dziadunio. — Jest rzeczą dowiedzioną że porządni ludzie inaczej żyć nie mogą... Wprawdzie ja tego nie rozumiem, ale ja jestem starą kłódką, zdziczałą, na której się nigdy żadna moda zaszcześcić nie mogła... wegetuję w mojej dziurze.

— Jużciż i wiek odpoczynku potrzebuje — rzekł

Szymbor, a zresztą pan Szambelan ma tę potrzebę pracy, której nam płocze nasze wychowanie nie dało... Litować się należy nad nami, nie żartować.

— Żartować!! alboż bym śmiał — zawołał Dzia-
dunio — jestem wyrozumiały i gdybym ślimaki lubił
nigdybym nimi nie częstował gwałtem. *Suum cuique.*

Nikomu! nigdy się nie sprzeciwiam, z nikogo
nieszydę, nie przerabiam ludzi... zgadzam się
na wszystko co chcecie... każdy niech robi z czem
mu lepiej... tylko znów *hanc veniam petimus vi-*
cissim... jam stary, zostawcie mnie przy mojem...
Smutno domówił wyrazów ostatnich, gdy służący
nie wielkiego wzrostu, krągławy, szpakowaty staru-
szek, tak prawie jak pan ubrany, w nankinowym
spencerze, przy zegarku z ogromnemi dewizkami —
prawdziwy typ poufałego sługi przyjaciela — wsunął
się niosąc tacę, a na niej w staroświeckim imbryku
srebrnym kawę... i omszoną wiekiem butelkę...

Na widok jej lice p. Apollinarego nieco się roz-
chmurzyło, wiedział on dobrze iż te zewnętrzne
starości oznaki nie były fikcją i sztuką..., że pa-
jęczyny i gruba warstwa pyłu, nie były malowniczą
ornamentacją fałszowanego płynu... jak po garkuch-
niach paryskich... powstał więc na spotkanie czci-
godnej staruszki.

— A! Szambelanie dobrodzieju! zawołał, pozwól mi się tej matronie przypatrzeć i pokłonić żywemu wspomnieniu lepszych piwnic i lepszych czasów... Co za koloryt!

— I lepszych ludzi, szepnął bardzo cicho Dziadunio!

— Panie Szczepanie — odezwał się Apollinary — na miłość Bożą, gdy będziecie odkorkowywali... ostróżnie aby mętów ze snu nie obudzić... Nie wiecie może iż we Francyi taką butelkę przynoszą leżącą na boku w koszyczku, niby uśpione dziecię w kolebce i dobywając ją nie trącą nawet... aby lagry i fusy nie uderzyły do głowy.

Szczepan podniósł oczy, popatrzał, nie jest pewna czy zrozumiał, ale fiaskę wziął między kolana i korka z niej dobył po staroświecku...

P. Apollinary który na to czyhać się zdawał, pospieszył z nosem do otworu butelki... pochwycił emanacyą nektaru i pogładził się po piersiach w uroczystem milczeniu. — Dziadunio tym czasem zajmował się kawą, nie patrząc na tę komedię.

— Nie słyszeliście państwo co o Władziu? zapytał z cicha, tak aby mąż nie słyszał — nie moge się go dotąd doczekać.

Ale doskonały słuch czy domysłność Szymbora, dozwoliły mu wtrącić odpowiedź na pytanie.

— Dziadunio dopytuje o swego faworyta, który jest także moim, zawołał, ja też oczekuję nań z niecierpliwością, ale, o ile wiem, nie przybył jeszcze. Konie, jak mi powiadano, stoją na stacyi... chyba może dziś przyjechał... o czem wątpię.

Dziadek odwrócił się i rozmowę urwał, znać było, że mu się ze strony Szymbora troskliwość ta o Władzia nie podobała.

Szymbor był natomiast rozmowny, trzymał już kieliszek w ręku pełen płynu bursztynowego i uśmiechał się doń.

— Młodzież ma swe prawa, mówił powoli: — co dziwnego, że się chłopak nieco zabałamuci po drodze. Ej! Dziaduniu kochany, albośmy to nie byli też młodzi??

— Czekaj asan dobrodziej — przerwał Szambelan — waćpan na ten sposób podobno dotąd jesteś młodym, a co ja to dalipan nigdy nim czasu być nie miałem. Zestarzałem nim dorosłem.

— Ale któż też z waćpanem dobrodziejem, który jesteś wzorem dla wszystkich, mierzyć się może? odparł Szymbor z udaną pokorą, myśmy prości, ułomni ludzie.

— Kadzisz mi w nos trybularzem.

— Nie, nie, wstawiam się tylko na wszelki wypadek za tym moim droгим Władziem. Pan Szambelan nie uznajesz praw młodości.

— A masz waćpan racya, zawsze mi się zdaje, że te prawa łacniej by się bezprawiami nazywać powinny.

Szymbor się uśmiechał.

— Ze stanowiska zakonnego ale po ziemsku i po ludzku... Nie bądźcie też tak surowemi dla Władka... jedynaczek, pieszczoszek, młody, śliczny, nie zasuszajcie go, zlitujcie się! Znam jego gorącą, szlachetną naturę, temperament ognisty, trudno to młodemu z tem walczyć. Gdyby tu mojej żony nie było, powiedziałbym więcej. Mogę tylko Dziadunia upewnić, że smak ma dobry i że jako dziecię wieku równouprawnienie uznaje, człek postępowy, choćby cyganka byle młoda i ładna, kieliszek też połknie gładko, a może i szlachetna walka z losem przez karty nie jest mu obojętna, trzeba się temu wszystkiemu dać wyszumieć. Prosta rzecz. Co gospodynie robią, gdy chcą odszumować? przystawiają garnek do ognia. Ja powiadam, że to najlepszy sposób.

Szambelan słuchał z czołem chmurnem, pogrą-

żony, drżący, oko mu czasem wewnętrznym ogniem błysnęło, ale się powstrzymał.

— I tej teorii wujaszek się trzyma podobno — odrzekł powoli — droga to rzecz nauczyciel, który ma tyle doświadczenia, jednakże lepiej by może naturze zostawić edukacją.

— Tak Dziadunio sądzi? spytał Apollinary.

— Tak bym życzył, mniej się lękam najgorętszej młodości, niż przedwczesnego rozczarowania.

— Ja zaś, dodał chłodno Szymbor, powtarzam, że młodości co prędzej się należy pozbywać, a na to sposób właśnie rozczarowanie.

Dziad rzucił nań wejrzenie przejęte gniewem, ale głos spokojny wzruszenia nie zdradził.

— Są — rzekł — natury tak poczciwe, że z ognia wychodzą całe jak salamandry.

— Salamandra, mythus! śmiejąc się zawołał Szymbor, palą się one, jak wszystko co w ogień pada.

Wśród tej rozmowy prowadzonej z obu stron na przekorę wzajemną, ale głosem grzeczności pełnym i w formach żartobliwych, żona próżno dawała znaki mężowi, aby poprzestał drażnić Dziada. Szymbor się uwziął.

Dziad patrzył nań z chłodną krwią, dolewał

kieliszka i udawał, że się uśmiecha, po chwili Apolinary zapaliwszy cygaro, spojrział na żonę i ze śpiewką ganek opuścił.

Stary powiódł za nim oczyma, potem spojrział na wnuczkę, która siedziała niespokojna usiłując się uśmiechać.

— Twój Polcio, rzekł, — w wyśmienitym dziś humorze.

— Tak... w istocie... jest wesół, może aż nadto, szepnęła Justyna, ale ja takiej wesołości nie lubię, zawsze to znak jakiegoś podrażnienia. A wstrzymać go już niepodobna.

— Cóż go mogło podrażnić?

— Niewiem, chyba może te nieszczęśliwe zawsze interesa nasze, odpowiedziała Justyna. Potrzebujemy wyjechać trochę, oderwać się.

— Rozerwać się.

— Tak, zapewne.

— No to jedźcie.

— Ale to tak trudno! tak trudno!

Dziad spuścił głowę, już zrozumiał o co chodziło.

— Prawda! rzekł, niezmiernie trudno, nigdy jeszcze nam tak nie było... nie wiem komu dziś łatwo... miarkuję po sobie.

— Czyżby i Dziadunio miał tego doświadczyć?

— Kto bardziej nademnie! Kto bardziej! nie uwierzycie, w jakich jestem interesach!!

— Przyznam się, żem trochę na pomoc Dziadka dla nas rachowała.

— Ale z duszy serca! dałbym, dał, zawołał, cóż, kiedy nie mam! nigdy jeszcze nie byłem tak bez grosza, jak święty turecki. A wam, gdybyście pojechali we dwojgo, co zapewne jest w projekcie, potrzeba wiele! wiele! Zkąd tu wziąć pod te ciężkie czasy.

Justyna zakaszłała.

— Lekarz mi każe piersi ratować.

— A mąż? czy także na piersi?

— Nie, ale wszakże by chciał być ze mną!

— A! to bardzo przykładnie! tak być w istocie powinno! ja myślę, dodał Dziadunio, że bądź co bądź, nie tu to tu pieniędzy dostaniecie. Jaka to szkoda, że ja nie mogę.

Justyna spojrzała nań niedowierzająco.

— Sądzisz, że mówię to przez skępstwo, że nie chcę? wy wszyscy mnie macie za Krezusa, przekonacie się kiedyś, że nie tak mi szło szczęśliwie, jak się zdaje; potrzeby i wydatki wielkie, nie ze wszystkich mogę się wam tłumaczyć.

Wnuczka zamilkła.

— Przepraszam, rzekła po chwili, iż się z tem śmiałam naprzykrzać, ale w istocie, lekarz mijechać każe, a Apollinary kredytu nie ma.

— Na to się nie skarż, szepnął Dziad, może by dla was lepiej było, gdyby mniej go miał i używał.

W czasie tej krótkiej rozmowy, Apollinary z cygarem w ustach chodził zdala po dziedzińcu śledząc żonę i Dziadunia, z których twarzy czytał zdala bardzo trafnie; dopatrzywszy końca i zrozumiawszy odmowę, zżymał się, ale hamując, wesoło znowu podstąpił do ganku. Justyna wstawiała właśnie.

— Pójdę, przywitam się ze starą Zubrzycką (była to ochmistrzyni Dziadunia), rzekła półgłosem. Na wschodkach rozminęła się z powracającym mężem, który zamieniwszy z nią wejrzenie, o nic już pytać nie potrzebował.

Dziadek stał zamyślony i po tabakierce bębnił palcami, układając usta do uśmiechu, domyślał się, że atak Justyny miał być poparty nowym szturmem Szymbora — był do niego przygotowanym.

Szymbor naprzód usta umoczył w kieliszku.

— Dziadunio, rzekł, tak dla nas zawsze łaskaw i dobry, tyleśmy mu winni, iż do niego jak do je-

dynego dobroczyńcy w każdym złym udajemy się razie.

— Mój mości dobrodzieju! szepnął kłaniając się stary — nie zasłużyłem.

— Nam to wiedzieć, kończył Szymbor — Czy Dziadunio uważał Justynę?

— Albo co?

— Ona kaszle! ona ma niedobry kaszel. Radziłem się lekarza... radzi i każe zmienić klimat, do wód jechać.

— Nie wątpię, że jako troskliwy mąż, tak przywiązany i czuły, zastosujesz się do tej rady.

— Niewątpliwie bym to uczynił, rzekł Szymbor, ale na nieszczęście właśnie gdy są najpotrzebniejsze nie mamy pieniędzy.

— Proszę, jakże to może być, ażebyście wy nie mieli pieniędzy! Dziwna rzecz... dobra tak piękne, dzieci Bóg nie dał — i pieniędzy nie ma... to osobliwsza rzecz...

— Złe czasy... okropne czasy...

— To prawda! czasy, jakich nie bywało... stagnacya, cen żadnych i tak dalece niema co sprzedać... ja też coś wiem o tem.

— Jakto? wie pan dobrodziej? dobra tak piękne... sam jeden...

— Przepraszam cię, panie Apollinary... nie mam dzieci własnych to prawda, ale wnuki... prawnuki... i dużo innych...

— Jakto? są inne? podchwycił Szymbor.

Po twarzy starego przebiegła krew i płomień, ale się uśmiechnął.

— A Władek! Władek! rzekł, ten nieszczęśliwy sierota... w tak tragiczny sposób pozbawiony ojca opieki...

Spojrzał na Szymbora, ten był blady jak chusta i chciał się śmiać, ale mu się tylko wargi trzęsły.

— Mam i inne wydatki — dodał powoli Dziadunio, a w kasie pustki... Zkąd tu wziąć!

Apollinary wypił wino.

— Prawdziwie — odezwał się — trudno by temu uwierzyć, gdybyś pan Szambelan sam nie mówił, że i u niego brak zapasu... My jesteśmy ludzie nieopatrzni, nieco ekspensowni... ale Dziadunio do brodziej.....

— Ja jestem skąpy i nie mam nic.

— Chyba kapitały zaklęte... żelazne.

Dziad zmilczał.

— Których, ażeby nie wydawać, lokuje się je tak, aby nigdy odebrane być nie mogły.

— To się trafia, szepnął Dziadek. Jeśli ja ich

nie odzyskam to może ktoś po mnie, komu się bardzo przydać mogą.

— Niechże nas pan Szambelan o to nie posądza, abyśmy czyhać mieli.

— A! nie, was nie! przerwał Dziad — wy życiem szafujecie, jakbyście się po nikim już nic nie spodziewali, ale uchowajże Boże nieszczęścia jakiego... I zamilkł nagle, spoglądając na Szymbora.

— Zresztą dodał, są pewne w familiach fatalizmy... od wielu pokoleń u nas kobiety prawie zawsze przeżywały mężów. Masz dowód na tej nieszczęśliwej Halinie. Ktoby się mógł spodziewać, że Stanisław... i jeszcze w taki nieodgadnięty sposób skończy.

Szymbor pobił głowę.

— Są fatalizmy, kończył Dziadunio... jednego zabija szal... przypadek... drugiego samo życie... wewnętrzna zgrzyzota...

I znowu na siebie spojrzeli.

— Nigdy nie doświadczałeś co to walka z sumieniem? mówił dalej niby obojętnie.

— A Dziadunio?

— Ja — owszem, miałem wiele przygód w życiu, wiele popełniłem błędów... i pókim się z nich nie oczyścił...

Szymbor dziwnie się uśmiechał.

— Dotąd — rzekł, jakoś z sumieniem dosyć byłem w zgodzie.

— To bardzo szczęśliwie dla waćpana, mówił stary. Czasem ono śpi długo... milczy lata... ale gdy się rozbudzi... gryzie wewnątrz i toczy robakiem.

— Tak! wiem, jest to wyrażenie znane mi z kazań, dodał Szymbor.

— I bardzo trafne.

— Bardzo trafne w istocie... ale widzę, że Dziadunio na łup sumienia mnie chce oddać, nie dopomagając mi do spełnienia obowiązku. Justysia seryo chora... wody jej są potrzebne... a pieniędzy... ani dostać.

— Niezmiernie o nie trudno! co chcesz... nie mam.

— Mógłby dla nas Dziadunio pożyczyć.

— Zaprzysiągłem się, że pożyczać nie będę.

— Lub zaręczyć!

— Uchowaj Boże!... nie ręczę nigdy za nikogo.

— Cóż tu począć? spytał Szymbor.

— Prawdziwie nie wiem co począć! rada trudna... ale wy, kochany panie, wprawniejsi jesteście odemnie w odkopywaniu grosza.... w środku po-

życzenia... macie doświadczenie i wprawę. Możecie znaleźć ubogiego naprzykład szlacheca, który dwadzieścia lat w pocie czoła dobijał się kapitaliku... uśmiechnąć się do niego, zaprosić na śniadanie, posadzić go na fotelu w salonie, utraktować panem bratem i... wydobyć ów węzełek z pod serca.

— Jak Dziadunio sobie z nas żartuje... rzekł Szymbor.

— Czy tak nie bywało? he? spytał stary.

— Chociażby... na raz jeden sztuka, zamruzczał Apollinary.

— O! w tem się mylicie, nie ma stworzenia, któreby po szkodzie nawet łatwiej się oszukiwać dało nad człowieka, zwłaszcza gdy się trafia w jego słabość.

— Gdybym wiedział słabość Dziadunia dobrodzieja? uśmiechając się, spytał Szymbor.

Szambellan zmierzył go oczyma.

— Nie pytajże mnie o niego.

— Myślałem, że słabość Justysi będzie słabością Dziadka.

— Gdyby była wdową, bez opieki, ale oddawszy ją w czułe ręce takiego męża, mogeż być o los jej niespokojnym?

Rozmowę ciężką przerwał powrót Justyny.

Wracała ona z wiązką kwiatów w ręku i twarzą istotnie zmienioną wyrazem tęsknoty, którą obudziły wspomnienia młodszych lat, czystszych uczuć, marzeń jaśniejszych. Dziadek widząc wypróżniony kieliszek, jako grzeczny gospodarz, dolał jeszcze, ale Szymbor siedział zamyślony i sztywny, kiedy niekiedy uśmiechał się sam do siebie.

— Doskonałe wino, rzekł po długiej pauzie, wracając do węgryzna, wiele to jeszcze pan Szambelan ma tych szacownych zabytków przeszłości?

— Jest tam tego coś jeszcze, nie wiem dokładnie... pilnuję tylko, abyście ostatnie wypili na moim pogrzebie.

— Niechże zestarzeje... grzecznie dorzucił Szymbor.

— A Dziadunio nie pije? zapytała Justyna.

— Nie, ja mam moje godziny na wszystko.

— To i lepiej, bo ja sam butelkę wysącę.

— Ale żeby ci nie zaszkodziła? pokaszlując przerwała żona.

— Wino? mnie? Jakem żyw, nie prócz wody nigdy mi nie zaszkodziło. Woda! woda to rzecz niebezpieczna, rodzaj powolnej trucizny... ale wino, antidot przeciwko wszystkim chorobom.

— Nawet moralnym, szepnął Dziad, bo zalewa pamięć i zgryzoty.

— Wino by nieboszczyka wskrzesiło, mówił Szymbor.

— Poczująca się do obowiązku, bo zabiło też nie jednego.

— To są plotki tych co wódkę wolą... zażartował Szymbor. Wino nie zabiło nikogo.

— Ma dobrego w waćpanu obrońcę... wszakże nie jedna ręka, która lękała się zadrzeć przy spełnieniu morderstwa, szukała siły w tym napoju... więc wino, jeśli nie zbójcą jest, to współnikiem.

Słowa te wymówione były łagodnie i żartobliwie, ale niezmierne i niepojęte uczyniły wrażenie na Szymborze; począł się śmiać konwulsyjnie, dziko, sucho, przymuszonym jakimś głosem, podczas gdy oczy jego pały ogniem nadzwyczajnym, na chwilę się porwał z ławy i opadł na nią, hamując gwałtowne jakieś uczucie.

— Co ci jest? zawołała Justyna.

— Widzisz! śmieję się! serdecznie się śmieję... Dziadunio napadł tak gwałtownie na najszlachetniejszy napój w świecie! I tak seryo! cha! cha!

Szymbor się spłakał widocznie, Dziadek bacznie się w niego wpatrywał, widać było na twarzy jego

jakby dziwny odbłysek zadowolenienia z podchwyconego jakiegoś uczucia, wyrazu... poszlaki dawno szukanej. Justyna, która lepiej знаła męża, mrugnęła na starego, ażeby mu już nie dolewał wina.

— To mu szkodzi, szepnęła.

— Bądź spokojną, wylałem ostatni kieliszek... idź się przejść nieco, ja go tu uspokoję, bo w istocie zdaje mi się podrażniony.

Kobieta wstawiała już, aby spełnić wolę Dziada i usunąć się, gdy skinienie męża groźne, rozkazujące, przykuło ją do ganku. Był zmieniony, prawie straszny, obłąkanym wzrokiem wodził w koło, a usta nałogowo krzywił do uśmiechu, nie mogąc się jednak uśmiechnąć.

— Jak też to księżyc dziś nierychło wschodzi! rzekł, oddychając głośno, jakby go co dusiło.

— Nie spieszczie się tak, odparł Dziad, do Krymna nie daleko, lepiej dojechać chłodem, gdy się powietrze ostudzi. Prawda, że nocą przez tę knieję ja jeździć nie lubię, bo właśnie droga prowadzi około krzyża, któryśmy na pamiątkę niešťczęśliwego Stanisława mego postawili. O kilka kroków od niego ciało jego znaleziono.

Szymbor obcinał nowe cygaro, Dziadek westchnął.

— Mój ty Boże, odezwał się, tyle lat, a ten wypadek krwawy jeszcze jakby wczorajszy stoi mi w pamięci. Nierozjaśniona tajemnica.

— Hm! mnie się zdaje, przerwał Szymbor, że jest dostatecznie jasną... biedny Stanisław w przystępie jakiegoś szału... zastrzelił się...

— Tak sądzisz? spytał Dziad.

— Chociaż tam nie byłem, bom zmordowany wcześniej do domu powrócił, ale z tego co później widziałem, com słyszał...

— Znałeś przecie Stanisława! dodał Dziad.

— Miewał przystępy dziwne.

— Jam ich nigdy nie dostrzegł... Jest wreszcie jedna okoliczność, której rozgłaszać nie chciałem, przekonywująca, że on sam zastrzelić się nie mógł.

W tej chwili spojrział na Szymbora, zapalającego cygaro. Blask siarniczki, zmrużone oczy, ściągnięta twarz dostrzedz nie dawały, jakie wrażenie to wyznanie uczyniło na nim, ręce tylko się trzęsły.

— Jest okoliczność? zapytał przez zęby, nigdy o niej nie słyszałem, to dziwna.

— Nie mogąc nic do badać, dodał Dziad, nie chciałem dostarczać plotkom żeru.

— Jest okoliczność, mruzczał Szymbor, któremu cygaro jakoś zapalić się i ciągnąć nie chciało.

— Nie rozpowiadajcie tylko o tem, kończył stary, jam się poświęcił wykryciu tej tajemnicy, dojdę jej może kiedyś, jeśli mi Bóg życia dozwoli. Mam poszlakę ważną, wyjętą przy świadkach kulę z piersi... kula ta...

Patrzył na Szymbora, który gorączkowo palił siarniczki, zniecierpliwiony ich gaśnięciem i winem nieco rozgrzany, błysk jego oczów ugodził w starca.

— Kula ta, mówił dalej cicho, zniżając głos Szambelan, nie przychodzi do strzelby Stanisława.

Dłuższe milczenie nastąpiło po tem wyznaniu. Szymbor nic nie mówił, zdawał się przygotowywać.

— Przyznam się, odparł, odejmując nareszcie od ust cygaro, że nie pojmuję, byś waćpan dobrodziej mógł tyle lat tak ważną tać okoliczność, odkrycie stanowcze, któreby mogło doprowadzić, tak, doprowadzić do wysledzenia zabójcy.

— Bądź spokojny — odezwał się stary, miałem powody, zem tego dotąd nie rozgłaszał i mam dziś przyczynę, dla której dłużej tać nie potrzebuję.

Szymbor spojrział na Dziada.

— Ha? zapytał sucho... przyczynę?...

— Ja taki nudziarz jestem we wszystkim, idę powoli, cichaczem do celu, dopóki go nie osiągnę.

— Jak to? czyżbyś pan... Szambelan...

— O tem się później dowiecie.

— Wstał Dziadek na pozór spokojny, zostawiając Szymbora na ławie jak wkutego. Justyna nie słyszała ostatku cichej rozmowy, uderzyła ją tylko blada, zmęczona twarz męża, który zdawał się cierpieć.

— Polciu! czy ci może co nie zaszkodziło? Jesteś tak blady!

— Blady? a może być! w istocie, to wino mocne, bardzo mocne, rozebrało mnie jakoś... zdradziecko... Ale to nic... przejdzie...

— Wody byś się może napił?

— Nie, chyba wódki! odparł śmiejąc się i nagle wstając z ławy. Otarł pot z czoła.

— Gorąco! rzekł, wieczór parny. Wypiłem całą butelkę, trochę nadto, ale jak się oprzeć urokowi tego wina i gościnności prawdziwie staropolskiej Dziadunia.

Począł się śmiać, usiłując wyjść z za stołu. Zaczynało zmierzchać. W tem tentent rozpuszczonego czwałem konia dał się słyszeć na drodze. Dziadek żywo wyskoczył na pierwszy wschód ganku.

— Jakem pocziw — zawołał — ktoś jedzie... do... do dworu... i czwałem.

Szymbor się uśmiechnął.

— Wiem co to pan Szambelan sobie myśli..., czy nie Władek? Ale ja prędzej bym sądził, że spóźniony pisarz policzywszy kopy powraca, aby mu wieczera nie ostygła.

Dziadek nie słuchał i nie słyszał już odpowiedzi — miał jakby jakieś przeczucie, zszedł po stopniach z ganku, przykładając do czoła dłoń, która widocznie drżała.

Na drodze naprzeciw dworu w półmroku wieczora ukazał się tuman pyłu, potem z obłoku tego głowa konia zasapanego, a ponad nią podniesiona ręka, która wiewała czapeczką.

Dziadek obie ręce położywszy na kolanach, aż przysiadł... z radości.

— Dalipan! jakem pocziw! Władek! on—on sam!

I plasnął w ręce, chciał pobiedz, ale go drżące nogi wstrzymały.

Jeździec się zbliżał — wrota zastawszy zamknięte, a obok płot nie wysoki, spiął wierzchowca, przesadził przeszkodę i w galopie zatoczywszy przed ganek, nagle wstrzymał konia tak, że go jak wrytym w miejscu osadził.

— Jakem pocziw, choć go szoldry uczyli, ale

jeździ po polsku! zawołał Dziad — co chwát, to chwát!

Na hałas i tentent nadbiegli dworscy. Chłopak na nich z wierzchowcem nie czekał, zarzucił mu cugle i pianą okryty siwek z wolna prychając, rozglądając się, instynktowo pokroczył ku stajni.

Apollinary chwyciwszy próżny kieliszek do ręki, Justyna z żywym rumieńcem na twarzy, Dziadunio otwartem objęciem witali gościa. Stary drząc go całował, a patrzył, a napatrzeć się nie mógł.

Gość to był śliczny, chłopię do malowania, słuszny, dorodny, gibki, twarz nieco opalona, ale jeszcze świeżości pełna, oko ciemne, wyraziste, płomiennie, usta różowe, świecące wesołym uśmiechem ząbków perłowych, czoło jasne, słowem — jak lalka. Byłby pięknym nawet na kobietę, na mężczyznę wydawał się do zbytku urodziwym. Twarz cała, oczy, usta, gorzały żądzą życia, rozpragnieniem, namiętnością, szalem, gorączką młodości. Strach było patrzeć na zuchwalca, tak obcessowo rwącego się do walki śmiertelnej i mimowoli przychodziło na myśl, że Władek był anachronizmem, że ten trzpiot powinien się być urodzić na lepsze, na lżejsze czasy, nie na dźwiganie brzemion, jakie na nasze barki wkładają.

Rzucił się naprzód do Dziadka, ale nie po staroświecku z onym respektem dawnym do kolan, wprost jak staremu poufałemu przyjacielowi na szyję, śmiejąc się, pieszcząc go, całując. Dziadek wzruszony ze szczęścia mało nie omdlał, chwycił go, przycisnął do piersi i rozplakał się.

Władek wyrwał się prędko z jego objęcia, poskoczył na wschódki, z uśmiechem podał rękę Szymborowi, który stał blady jeszcze, zdając się niepewnym jak go przywitać i gorąco chwycił dłoń chłopca.

Justyna zarumieniona, z wyrazem radości i pomieszania wyciągnęła doń obie ręce. Nim się te przywitania odbyły, Dziadek go niecierpliwym dopędził i zazdrosny o swój skarb, objął znowu w ramiona.

— Władku! pocałuj mnie jeszcze.

— Sto razy! kochany Dziaduniu.

— A teraz siadaj, zmęczony jesteś, głodny — począł stary drżącym głosem. Po co było sadzić przez płot, a nużby się konisko było splątało.

— O! przerwał młody chłopak, mojego siwka tak pewny jestem jak siebie.

— Co będziesz jadł? pił? mów.

— Wie Dziaduniu co? wtrącił Apollinary z przymuszonym śmiechem, jeszcze buteleczynę takiego wi-

na, a ja mu ją pomogę wysączyć, po podróży nie tak nie restauruje, jak stare wino węgierskie.

— A dajże mu pokój! ofuknął się Dziadek, tyś stary wyga... w niego takie wino lać to oliwy do ognia... Śliczny mi doradzca.

— Jestem logiczny w moim systemie.... niech się młody pali, aby prędzej wygorzał! Rozśmiał się Szymbor i błysnął okiem pełnym jakby zazdro-snej niechęci spoglądając na Władka uśmiechniętego serdecznie.

— Kiedyżeś przybył? jak? mów! dodał Dzia-dek — co robi matka? jak się ma?

— Mama trochę niedomaga, ale to nic. Kataru nieco, rzekł Władek. Ja przyleciałem dziś rano i nie mogłem wytrzymać, żeby Dziadka nie uścisnąć, ale powrócę do niej nocą.

— O! o! jak to? tylkoś się ukazał i zaraz miałbyś odjechać.

— Ale muszę.

— Co to muszę! albow to ja nie głowa rodziny i nie gospodarz w domu, to ci siwka zamknąć każe.

— Matka! matka kazała.

— No! no! na to poradzimy, ale dalipan, jeśli mi się zerwiesz jechać, to chyba ja z tobą!

— Co? konno? zaśmiał się Apollinary, rad-
bym też widział Szambelana w galopie.

— Bądź pewny — odwracając się, odpowiedział
stary, że i temu bym dał radę, gdyby była potrzeba.

Władzio tymczasem rozpatrywał się, uśmiechał
do wszystkich, poszedł do Justyny, aby z nią je-
szcze się przywitać i widać było w rozrzuconem
oku, jak całą kochał rodzinę, jak był szczęśliwym
z powrotu. Gospodarz ścigał go wejrzeniem prawie
macierzyńskim, patrzył w niego jak w tęczę.

— Dzięki Bogu! mruczał półgłosem, co za krasa
i świeżość młodzieńcza! jaki ogień w oczach, pierś
bucha... a silny, zdrów, a śmiały!

Władek mimowolnie podsłuchiwał ten wykrzyknik,
odwrócił się wesoło, poszedł i jeszcze raz uściskał
rozczulonego starca.

— O! żem ja młody i zdrów, to nie sztuka...
z waszej łaski dobrze mi na świecie! Mnie miło
spojrzeć, że i Dziadek, dzięki Bogu, dobrze wy-
gląda, świeżo, czerstwo, ani jedna marszczka, ani
jeden włos siwy nie przybył.

— Tak! tak! bo jak zapamiętasz, mój Władku,
włosy wszystkie były białe, marszczki też na swo-
jem miejscu, a tego nie dostrzeżesz, że je znacznie
czas pogłębił, dodał wzdychając.

Zmierzchać się zaczynało coraz bardziej, stary Szczepan wszedł na ganek niosąc lampę i na drugim stole począł się krzątać około nakrycia do wieczery, gdy Władek go zobaczył i wesoło z okrzykiem pobiegł uściskać.

Byli to starzy dobrzy przyjaciele. Szczepan niegdyś strugał mu koniki, biczyki wiązał, na prawdziwego konia go sadzał. Oba się rozczulili.

— Panicz kochany.

— Szczepan pocziwy. I poczęli się ścisnąć, ten za szyję go obejmując, ów do kolan się chyłąc, a Dziadek łzę ocierał.

— Cóż to za złote chłopię!

Szymbor usta zaciął patrząc z ukosa, w niesmak mu szła ta poufałość ze sługą. Władek ożywiony był naiwnie powrotem jak dziecko, mówił razem do wszystkich, biegał, oglądał, cieszył się.

— A stary Tyras jeszcze żyje! i bocian mój na swem gnieździe, jak gdyby ten sam co dawniej!

— Jeśli nie ten sam, to niechybnie potomek jego, rzekł Dziadek, bo u nich gniazda idą dziedzictwem i nie sprzedają obcym, a jeśli się uzurpator jaki wkradnie, dziobem go pospolite ruszenie precz wyżenie.

Władek w wysmienitym humorze latał zagłąda-

jąc w każdy kątek, nagle przypomniał sobie starą ochmistrzynią Zubrzycką, która ich wszystkich potroszę wychowywała i puścił się do niej, nie wiedząc, że ona już z za progu od kilku minut mu się przypatrywała. Była to kobiecina podżyła, otyła, w czepcu białym ze szlaczkami obfitemi, z pod którego chusteczka w szafranie farbowana (od bólów głowy) wyglądała. Małe jej oczki świeciły do jedynaczka, a on, gdy ją zobaczył, bez ceremonii uściśnął.

— Biegłem do Zubrzysi! zawołał.

— A ja do was... odparła śmiejąc się i łyzy ocierając stara... no pokaż że mi się jak wyglądasz... Dalipan, chłopiec jak malowany! Mój miły Boże, a to się na rękę maleństwem nosiło...

— Przywiozłem coś Zubrzysi... ale nie mam z sobą.

— Bóg zapłać za pamięć... a teraz nie będę was odrywać.

I przeżegnawszy go zdala znikła.

Władek usiadł na ławce.

— Nigdzie a nigdzie nie jest mi tak dobrze i miło jak tu! zawołał...

— Przymawia się żeby mu Dziadek Rajwołą

zapisał — szepnął Apollinary do żony — sprytny chłopiec!!

— U nas, u mamy, kończył Władek, w Zarebiu miło też i ładnie, w Krymnie u wujaszka i ślicznie i po pańsku, ale w Rajwoli jak temu bocianowi na własnem gnieździe... Odleciawszy tylko się do niego tęskni.

Dziadek go ścisnął i w uścisku coś mu szeptał śmiejąc się — i dokończył głośno.

— To dobrze, to dobrze mój chłopcze — tęskniąc do Rajwoli musisz też zatęsknić i do mnie... Wszyscy niemal tuście się pohodowali, dzieci, wnuki i ty mój jedyny prawnuczku. Dobrze jest że ci serce do miejsca przyrasta, bo nie daj Boże takich co do niczego i do nikogo przywiązać się nie umieją.

Z ukosa uderzył spojrzaniem w pana Apolliniego, który bardzo nieznacznie jakby dziękując za komplement głowę skłonił...

— Dwa razy w życiu, rzekł grzecznie, przyrasta człowiek do miejsca, w młodości i na starość, ale w wieku średnim byłoby idiotyzmem przykuć się do ciemnego kąta i obezwładnić. Ręczę Dziaduniowi że choć Władzio teraz wita się czule z Zubrzycką i z bocianami, po pięciu dniach będzie tęsknił... nawet do Berlina... No, chybaby...

Nie dokończył tylko uśmiechem i wejrzeniem złośliwym.

— A! czyż do Berlina! zaprotestował Władzio. Wujaszku, do Berlina się nie tęskni, jak do wygodnej gospody... bo któż w oberży może się rozmiłować? — stolice to wielkie karawan-seraje... Przyznaję dla młodego trudno czasem w miejscu usiedzieć... wyrwałbym się... ale chyba do podróży długiej, nowych krajów, przygód, ludzi, dla niespodzianek losu... do czynniejszego życia.

— Niespodzianek! tak! tak! szeptał Apollinary... niespodzianka jest rodzaju żeńskiego... jaki to język pełen znaczenia!!

— Mój Władku, przerwał Dziadek, mówiłeś zda mi się o czynnem życiu; alboważ sądzisz że na wsi i w swoim kątku czynnym być nie można?

— Prawda Dziaduniu, prawda, ale pozwolił mi powiedzieć szczerze? to życie czynne trochę będzie podobne do żywota konia na deptaku. Młodemu potrzeba ruchu, powietrza, swobody, przygód...

— I niespodzianek rodzaju żeńskiego... wtrącił Szymbor którego nikt nie słuchał.

Stary nieco głowę zwiesił.

— A no tak, rzekł — stara bajka o gołębiach

aby ciszę i dom pokochać, trzeba biedę zaznać i skrzydeł bujając nadłamać...

Już miano podawać wieczerzę, gdy konie państwa Apollinarowstwa zabiegły przed ganek. Justyna pierwsza wstała się żegnać; smutna czegoś, spoglądała melancholicznie na pięknego Władka, który się do niej uśmiechał... i z cicha poprosiła go ażeby o nich nie zapomniał.

Szymbor także ścisnął go, szeptał mu coś i zapraszał.

Dziadek bardzo uprzejmie usiłował wstrzymać na wieczerzę... póki by księżyc wyżej się nie podniósł... jednakże nadaremnie tym razem, p. Apollinary nie wiele rachował na skromną wieczerzę Dziadunia; był podrażniony, zmęczony i stanowczo objawił że jada.

W chwili gdy Szczepan wchodził z półmiskiem kurecząt i sałatą przyprawioną metodą Zubrzyckiej, Szymbor zapalił ostatnie cygaro... i konie ruszyły.

Dziadek zobaczywszy ich u wrót, swobodniej odetchnął... i począł od tego że po raz dziesiąty najmniej Władka uściskał...

Nie usiedli jeszcze gdy Szczepan wziął na stronę starego, postawiwszy półmisek w rogu stołu; dobył korzystając ze sposobności tabakierkę w której machinalnie Dziadek też palce umoczył i rzekł cicho.

— Proszę jaśnie pana... co ja tu mam począć? będzie temu z godzinę może jak znowu przyjechał ten... ten... jegomość wiesz... starowina... półwaryata... pono krewny jasnych państwa... Czekał tylko żeby goście odjechali, a no koniecznie się domaga widzenia z jasnym panem. Może by mu tam dać wieszczę a zostawić go na jutro, bo będzie nudził...?

Dziadek zrazu nie dosłyszał czy nie zrozumiał.

— Kto taki? kto?

— A no... z pozwoleniem jaśnie pana... król Madagaskaru...

Stary parsknął śmiechem.

— Władziu! słyszysz... jest stary Beniowski...

Władek w ręce uderzył...

— A to będzie zabawne!! wszak go Dziadunio prosić każe?

— Proś go Szczepanie... więcej on ma czasem rozumu w swoim bałamuctwie niż ci co się z niego śmieją... Szczepan przykrył kurczęta i poszedł spiesznie.

W chwilę potem przez główne wschody od ganku, z powagą wielką wszedł powoli ogromnego wzrostu ze spiczastą głową okrytą zrudziałą peruką, mężczyzna lat, jak się zdawało, sześćdziesięciu kilku. Wyprostowany, sztywny, ubrany był cały czarno, we fraku, który jak reszta ubioru miejscami świecił się od wynoszenia. — Okrągły kapelusz połamany i wytarty niósł w rękę razem z chustką która przed miesiącem białą być mogła. Z lewej strony na piersi miał jakiś znaczek blaszany jakby gwiazdę przeciętą krzyżem, a u dziurki od fraka... rozmaitego koloru wstążeczki... Twarz Beniowskiego była długa, blada, rysów dosyć szlachetnych, wyrazu poważnego, z oczyma niebieskimi mocno wypukłemi i orlim nosem... Nic oprócz uroczystej do zbytku postawy nie zdradzało w nim obłąkanego... Buty tylko i rękawiczki były oznaką że nie wiele wiedział co miał na sobie... pierwsze otwarcie były dziurawe, drugie cynicznie pobrukane i podarte.

Wchodząc na ganek, skłonił głowę przed Dziadkiem, podał mu rękę i odezwał się cicho.

— Beniowski, król Madagaskaru... ale zawsze jeszcze w najściślejszem *incognito*.

Dodamy tu tylko że ów Beniowski, imiennik czy krewny sławnego konfederata... obałamucił się

uroiwszy sobie, że po stryjecznym Dziadzie bezpotomnie zmarłym miał prawo do królestwa Madagaskaru. Był to człowiek niegdyś bardzo światły, professor szkół wyższych, filolog i historyk... ale bzika tego dostawszy, puścił się w świat z nim... przygotowując zawsze z flotą, którą ekwipował na odzyskanie przodków spuścizny. Znano go w okolicy, litowano się nad nim a po troszę bawiono, o błąkanie jego było łagodne, spokojne, poważne... nieszkodliwe... ale że u ludzi nie dość czynną znajdował pomoc, miał do nich pretensją i z goryczy płynęły mu czasem nielitościwe sarkazmy przeciwko wiekowi, czasom, obyczajom i t. p...

Beniowski całemi godzinami niekiedy mówił tak rozsądnie, sądził tak zdrowo, że gdyby nie owa gwiazda na piersiach wzięłoby go można za zupełnie przytomnego i niepospolicie udarowanego człowieka... na nieszczęście wśród takiej rozmowy właśnie... nagle wtrącił zawsze coś tak niespodzianego... dzikiego, iż w złudzeniu tem długo trwać nie dozwolił.

— Najściślejsze *incognito*, rzekł do Dziada... proszę mnie nie zdradzać... po prostu Beniowski Karol bez żadnego tytułu... jakkolwiek jestem Karolem II.

— To na cóż order włożyłeś? spytał Dziadunio.

— Order mój — odparł król — nie zdradza mnie, mogę być osobą partykularną przyozdobioną za zasługi orderem Gwiazdokrzyża przez Karola II. Dla gawiedzi zaś insignia te zawsze coś znaczą... zwłaszcza jeśli buty są dziurawe...

Spojrzał na nogi.

— A niezaprzeczenie są dziurawe... gdyż jestem dystrakt... i czynię to dla uspokojenia rewolucyjnych nagniotków. Są to koncessye, które im dają...

— Znasz Władysława mego wnuka...?

— Jeśli się nie mylę był mi prezentowany, nie oficjalnie, rzekł król, ale jako osobie prywatnej...

— Siadajże... proszę... odezwał się Dziadek po powitaniu...

— *Incognito* siadam... gdziekolwiek bądź... rzekł Karol II, nie zważajcie...

— Zkądże to Pan Bóg prowadzi? zapytał Dziadunio...

— Oczekując aż się moje interessa wyklarują, co wkrótce nastąpić musi, odbywam podróż naukową po kraju...

— Naukową? przerwał Władek — w jakim mianowicie celu?

— Bardzo ważnym... mówił Beniowski biorąc się po królewsku do kurczęąt, bardzo ważnym... oto szukam mości dobrodzieju śladów choćby jednego człowieka w przeszłości i terażniejszości naszej, który by bzika nie miał... i nie mogę znaleźć.

Nie tajno jest, panu Szambelanowi, dodał, iż ludzie zazdrośni i intryganci nasyłani za mną przez terażniejszą królową Madagaskaru... głoszą powszechnie iż ja... ja... mam jakoby ówieczek w głowie. Nie potrzebuję nawet dowodzić jak dalece to jest potwarzą i śmiesznością... Ale we wszystkim człowiek głęboko myślący, jakim ja jestem niezaprzeczenie — znajdzie nasienie pożytku dusznego. Wpadłem na myśl poszukiwania czy też wszyscy są przy zdrowych zmysłach... no, i zareczam państwu, że chwilami trafia się człowiek przytomny, ale nie ma ani jednego coby nim był całe życie... Wszyscy są po troszę waryaci — oprócz mnie.

— A ja? spytał Dziadek bardzo spokojnie.

— Gdybyś nie miał bzika, który cię przy życiu i zdrowiu utrzymuje odrywając od smutnej rzeczywistości, czyżbyś dożył tych lat? Zjadły by cię smutki i utrapienia.

Dziadek zamiast rozśmiać się westchnął.

— U mnie wszystko zapisane — dodał Beniowski.

Straciłeś żonę, córkę którą kochałeś, zięcia który nie był bardzo zły; wnuka który był bardzo dobry... no... i...

Spojrzał na Władka i wstrzymał się.

— Kochany Szambelanie, skończył, nie mogę dokładnie oznaczyć natury twojego bzika, ale go musisz mieć. — Ze skutków wnoszę o przyczynie... żyjesz... Wszyscy jeneralnie są obłąkani... ale Pan Bóg im daje w pilniejszych potrzebach chwilową przytomność.

Dziadek się uśmiechnął smutnie...

— Czy i z przeszłością robiłeś studia? zapytał.

— A jakże! a jakże! zawołał Beniowski... jednego nie mieliśmy bohatera bez ćwieczka... tylko jeden czapką drugi wieńcem jak cesarz łysinę, inny koroną ćwieczek przykrywał... Wydam o tem dzieło... ale gdy już będę w domu.

— Kiedyż w podróż? mówił Dziad.

— Wprędce... ściagam fundusze na zakupienie statków w Ameryce... kłopotów mnóstwo... a wszystko na mojej głowie...

— Zkądże jedziesz teraz?

— Z Poznańskiego — rzekł wdychając Beniowski... ale tam już germania taka że jak pod płótem

z pokrzywy z pośrodka parzących niemców wydobyć się trudno...

— Wiesz co — dodał Dziadek, to są ludzie przedsiębiorczego umysłu i do stowarzyszeń ochotni, mógłbyś u nich zaciągnąć pożyczkę jak Bey tune-
tański... we Francyi i... akcjami się dostać do Ma-
dagaskaru.

— Tsy! Jestem *incognito*! nie wiemy o tem, traktuję z Rotszyldami, ale chcę słono odemnie. Potrzebuję najmniej sto milionów franków aby sta-
nąć na nogach...

— Jakto? dług by cię postawił...

— Ale tak! Czyż nie rozumiesz tego że gdy będę miał sto milionów długu, to mnie ci bronić muszą, którym winien zostanę? — Tak robią i inni monarchowie — na tem świat stoi...

Władek się uśmiechnął, Dziadek także.

Beniowski dobrał jeszcze pół kurczęcia.

— Nigdy Polacy polityki nie mieli, rzekł, nie byłoby ich lepiej nic od rozbioru obroniło nad długi...

Nagle urwał i zadumał się.

— Ale, ale, rzekł — mianowałem Szambelana wielkim komandorem mojego Gwiazdokrzyża, patent podpiszę...



— Bardzo ci dziękuję — odparł Szambelan — niech to będzie na później.

— Szymborowi nie dam choćby sobie życzył dekoracyi, nie lubię go... Jest on podobno mężem wnuczki waszej, ale mimo to otwarcie powiem, że go nie cierpię.

— Z przyczyny? spytał Dziad.

— Najdziwniejsza rzecz, odparł król, że nie mam do tego przyczyny żadnej, albo raczej przyczyna ta we mnie jest, ale się schowała w taki kąt że nie mogę jej dobyć... Miły człowiek, wesół, de-syć grzeczny, tytułuje mnie zawsze królewską mością, nie chybia mi, ale coś ma w sobie...

— Dajmy temu pokój — przerwał Dziad, to drażliwa materya...

— Każda familia widzisz asindziej, dodał król, musi mieć dwie rzeczy, brylanta familii i wrzód... brylant świeci jej na czole a wrzód boli... przypuśćmy na plecach...

Władek się rozśmiał...

— Królu a panie, rzekł, są przecież rody, którym szczęściem obojga braknie.

— Nigdy, mój młodzieńcze... zawołał Beniowski... chyba już rodzina zejdzie na jednego znoska...



Posłuchaj tylko... brylantem się chwalać... a wrzodu musisz się sam domacać...

Znowu zamilkł na chwilę, sięgnawszy po salate...

— To wielkie szczęście — rzekł sam do siebie

— to wielkie szczęście...

— Co takiego? spytał Dziad...

Król pochylił mu się do ucha.

— Szambelan znasz moją wnuczkę?

— Widziałem ją... tak... tak... widziałem —

— Otóż to szczęście że jej tu niema...

— Dla czego? spytał Dziad?

— Ten wasz wnuk ma takie oczy żeby mi ją mógł oczarować, a postanowiłem nie wydawać jej tylko za pretendenta do tronu w Madagaskarze... Muszę... muszę ją dać na ofiarę polityce... Cel wyższy... szczęście moich ludów zniewala mnie do tego... Unikam więc wszystkiego... coby jej serce zaniepokoić mogło... A wasz wnuk jest chłopiec niebezpieczny...

Pochylił się do ucha Szambelanowi.

— Jak ci się zdaje, czyby go nie zrobić prostym kawalerem Gwiazdokrzyża?

— Zawczasie, rzekł Dziadunio...

— No, więc poczekamy... Ale ty go wypraw ztąd...

— A to dla czego?

— Dwa tygodnie jak się włóczę po okolicy... wnuczka pewnie o mnie niespokojna, gotowa tu dogonić... a jak się zetkną...

Dziadek ruszył ramionami...

— Nie bój się, jedzie po wieczery...

— A ja? czy mam także jechać po wieczery? spytał Beniowski.

— Sądzę że przenocujesz *incognito* i odpoczniez u mnie.

— Mogę, mogę to uczynić... ale będę prosił o papier i pióro, gdyż muszę ekspedyować depesze do ministryum i listy do bankierów...

Mieli już wstawać od stołu, gdy Beniowski podparł się na łokciu zadumany.

— A wiesz asan dobrodziej? rzekł do Dziada... że ja obawiając się go nastraszyć całej prawdy mu nie powiedziałem...

— O Madagaskarze?, spytał Dziadunio.

— Ale ba! o sobie... Ja się do pana Szambelana schroniłem przed pogonią.

— Uchowaj Boże, nie policyiprzynajmniej? spytał Dziad.

— Nie, to przed tą wnuczką moją własną, która ma manią ścigania mnie i zamykania we dworku

w Kaliszu, pod pozorem że się niepotrzebnie włóczę... Zwyczajnie kobieta... wyższych celów pojąć nie jest w stanie... O włoś, żem się dziś przed nią zdołał uchronić, a myślę że tu mnie nie doścignie; w razie zaś, gdyby to nastąpiło, bo niewiasty są uparte, bądź łaskaw Szambelanie ukryć mnie i nie wydawać!

Mówił to właśnie gdy oczy Władka, który siedział naprzeciw wnijścia na ganek uderzyło zjawisko niezwykajne... łatwo mu się domyślić było, że ta nieznana postać niewieścia jawiąca się w mroku musiała być wnuczką Beniowskiego, przed którą król Madagaskaru uciekał. Ani Beniowski ani Szambelan nie mogli jej widzieć, gdyż jeden plecami, drugi bokiem do niej był zwrócony...

Szła powoli, zatrzymując się na palcach, jak czasem dziecię się skrada po cichu aby motyla pochwycić.

Z cieniów pół przezroczystych tej nocy księżycowej, oświetlona odbłaskiem lampy od ganku, występowała przed Władkiem jak czarowne widmo jakieś... jak dziewczica z ballady lub pieśni. Postępowała zwolna, smutno, rozglądając się do koła, zmieszana widocznie tą rolą którą odegrać musiała z rękami zwieszonemi, z wyrazem bólu i rezygna

W dłoniach trzymała prosty słomkowy kapelusz... zdjęty z głowy pięknej rysunkiem a nadewszystko wyrazem.

W rysach twarzy regularnych malowała się już ciężko wypróbowana życiem dusza, ale pełna energii i niezłamana... oczy jej patrzyły tęsknie ale śmiało... Czysto polskie to było dziecko z tym wdziękiem jakie tylko kwiaty naszej ziemi mają... wysmukła, giętka, wdzięczna bez wiedzy i starania o wdzięk... Szafirowe jej oczy skierowane były z ciekawością na Władka, zdawała się niemi prosić wcześniej o współczucie... i mówić — Jam biedna... szanujcie mnie. Już się zbliżała do ostatniego wschodu i jakby jej odwagi zabrakło... wstrzymała się, ręką powiodłszy po czole, nie wiedząc od czego począć... jak się wytłumaczyć...

Beniowski domawiał ostatnich wyrazów gdy spojrzawszy na Władka po jego oczach wlepionych w dal ciemną, domyślił się że je coś zwrócić musiało — obejrzał się przelękły i zobaczył wnuczkę, stojącą jeszcze ze zwieszonemi i załamaniem rękami...

Władek z bijącym sercem wpatrzył się w obrazek... który na całe życie w pamięci jego miał pozostać.

Król załamał ręce tragicznie.

— A co? zawołał — nie mówiłem! *Deus ex machina!* Wilk za płotem! Jest! sama na zgubę swą śpieszy...

Rękami wskazał ją Dziadkowi który się żywo z krzesła poruszył z oznakami współczucia i poszanowania.

— Nie mówiłem!... czułem że mnie goni! Chce koniecznie zrobić ze mnie profesora emeryta na li-chej pensyjce kończącego przed laty rozpoczęte tłumaczenie Tytusa Liviusza? Każe mi żyć zrazami z cebulą... i kaszą!! Jako wołu posłusznego chce mnie zaprządz do rydwanu rzeczywistości... abym go ciągnął a w nim... śmiecie żywota.

Prezentuję ją państwu... Hanna... wnuczka moja ale opiekuje się mną jakby była prababką.

Tymczasem Hanna się przysunęła ucałować jego rękę, a stary czule ją uścisnął.

— Takie to czasy, dodał wdychając — co ja-bym jej miał pilnować i rozkazywać, to ona mnie w niewoli trzyma. Waćpaństwo nie uważacie że starość zniedołężniała... ona co królowała wieki, dała sobie wyrwać berło z rąk i... poszła w parobki emancypowanych dzieci...

Hannie Dziadunio troskliwie wraz z Władkiem zrobili miejsce. Biedne dziewczę uśmiechało się, rumieniło, nie wiedziało co mówić... ale niedola domowa nauczyła ją znosić mężnie los i stawić mu czoło z odwagą... Po chwili lice jej pogodnie rozchmurzać się zaczęło.

— Ej! Dziadku kochany, rzekła... nas dwoje tylko jest na świecie... a ty mnie samę opuszczasz... i błądzisz po okolicy... czy to się tak godzi?

— Dziecko krótkowidzące, odparł Beniowski — ty mnie chcesz mierzyć miarą pospolitych ludzi... w tem omyłka... olbrzymów łokciem się nie mierzy lecz na sąźnie... Tobie się zawsze zdaje że ja stary emeryt niedołęga... który powinien siedzieć w szlafroku... a ja czuję w sobie powołanie do zbroi, berła i korony... Jesteście rażeni ślepotą. Chcecie bym Liviusza dokończył! wiesz co? niechże się on cały znajdzie wprzód! Na stoczerdzieści ksiąg oryginału, posiadamy ich tylko trzydzieści i cztery... ja takiego tam fragmentu przekładać nie myślę...

Tryumfująco spojrział na wnuczkę... która podparta na rękę patrzyła nań z czułością dziecięcą i ozwała się głosem pełnym świeżości...

— Nie o Liviusza chodzi... Dziadku drogi ale o ciebie... Czyż twojemu sercu brak czego w tym

cichym, ubogim dworku naszym w którym nam tak dobrze? czyż ci nie żal tego kątko który Bóg dał... a trochę i tej wnuczki co cię tak kocha?

— Otóż jest! kobieta. Zaraz za serce chce ciągnąć... Zawołał Beniowski, alem je zapieczęto- wał... nie dostaniesz mi się do niego... Liviusz i ty... wzięliście odprawę... Są ważniejsze cele i wznioślejsze idee które mną rządzą. Ja mam po- słannictwo wielkie, mam opiekę nad ludami którym niosę błogosławieństwa cywilizacyi...

Hanna spuściła głowę smutnie.

— Słuchaj no przerwał Szambelan czy pewien jesteś że cywilizacya dana im tak ryczałtowo — ich nie zadławi?

— Zakrztuszą się ale ją przelkną, rzekł Be- niowski.

— Mój królu, — kończył gospodarz — do cy- wilizacyi ażeby była zdrową i posilną potrzeba się dobijać pracą powolną, stopniową o własnych si- łach. Patrz na Moskali... jak fatalnie ich zdęło że się pożyczanej objedli.

— Cyt! o Moskalach milczenie głębokie! prze- rwał Beniowski... mam względem nich pewne za- miary... Spodziewam się że mnie nie wydacie. Jak tylko obejmę moje królestwo Madagaskaru, natych-

miast zbieram wojsko, flotę, pościagam sprzymierzeńców... i daję wam słowo że odbuduję Polskę...

Dziadek smutnie z kolei spojrział na króla; przyszło mu na myśl że podobnie nie jeden już raz tę nieszczęśliwą Polskę odbudowywano, Beniowski nie był śmieszniejszym od innych...

— Ale wszystkie moje najświetniejsze pomysły — dodał król, rozbijają się o co? [oto... o parę tych oczek błagających i usta uśmiechnięte, które mnie nazad do dworku w Kaliszu na rekolekcyę prowadzą.

— Czyż ci tam tak źle? spytała wnuczka.

— Źle mi nie jest... uśmiechnął się do niej stary... boś ty święta i dobre dziecko... ale razem cicha istota, poziomka różowa wyrosła na grzędce i kochająca trawę w której się kryje, myśl twoja nie może sięgnąć do dębu wierzchołka...

A masz asińdzka taką siłę... że póki mnie pilnujesz i o Madagaskarze i o posłannictwie mojem zapominam... przecież tak być nie powinno! Co mi po królestwie dla mnie?... jestem stary... nawykłem żyć biedą... ale sięgam urzeczywistnienia wielkiej idei... chcę moje ludy uszczęśliwić, czyniąc od tego że je zrazu przetrzebię... potem świat przetworzę... nową epokę ufunduję... Polskę

wskrzeszę... O! ho! nie zbywa mi na planach i programmie... a ty chcesz bym zrazy z kaszą jadt i Liviusza tłumaczył!!

— Ja chcę... abyś uspokoił się, spoczął, odetchnął i mnie więcej kochał... przerwała Hanna. Ludzie widząc cię na rozdrożach, myślą że ci źle w naszym domku, że ja nie umiem osłodzić ci życia i ortograficznie pisać pod dyktowaniem.

— Ludzie są złośliwi... ty piszesz jak professor, w domu jak w uchu rzekł Beniowski (kwestya czy w uchu tak bardzo wesoło, kiedy tam wszystkie głupie świata hałasują mają prawo zaglądać)... ale moja mościa Hanno... idea! posłannictwo! Madagaskar! połączenie demokracji łagodnej z arystokracją pokorną... E! co wam to mówić! niezrozumiecie!

Stary ręką zamachnął...

— Wyście istoty poziome... a ja! ja!

Uderzył się w pierś... i sam rozśmiał natychmiast... Hannie łzy zakręciły się w oku... Władek uczuł że mu się one także zebrały pod powieką... gniewał się prawie na starego szaleńca.

— Dziadku — przerwała po chwili Hanna, wielkie myśli rzucić możesz jak ziarna na papier, podejmy je ludzie i cześć ci one przyniosą... Nie

każdemu dano myśl połączyć z czynem... ludzie słowa jak ty mają posłannictwo prorocze... drugim dano miecz w ręce, by je czynem wcielili.

Oko jej ożywiło się...

— Mnie biednej poziomej istocie, rzekła ośmielając się powoli... nie godzi się zwrócić twojej uwagi na to... że mylisz się może posłannictwo słowa biorąc za inne... do którego twa szlachetna dusza nie była stworzoną... Czyn i siła... ślepe narzędzie idei której nie znają, którą dla nich symbol w pieluchach obwija... muszą stąpać przez góry trupów i rzeki krwi... Jesteś ty do tego stworzony?

Słuchając tych natchnionych wyrazów pięknej Hanny, Dziadowi oczy zabłyśły.

— A co? rzekł wskazując ją... albowiem to ją źle wychował? czy nie godna jest być królową Madagaskaru! Słyszeliście jak to mówi?

Hanna się zarumieniła, przelatujący jej wzrok schwycił na twarzy Władka rozplamiony zachwytem... Młody chłopak gorzał już cały... z tych ślicznych ust, tak naturalnie, z taką prostotą płynęły myśli... o które jej nawet nie śmiał by był posądzić. Zastosowanie przecie dowodziło, że ich nie powtarzała pożyczony, że się w niej samej zrodziły.

— Otóż wam powiem, dodał król... że ta ko-

bieta ma taką władzę nademną, że czasem gotów jestem wyrzec się posłannictwa i sądzę się starym professorem... Czarownica! Szczęściem!... że gdy pozostanę sam zaraz się opamiętam.

— Dziadku... przerwała Hanna... Trzy tygodnie upływa jak błazisz tak bez celu.

Beniowski uśmiechnął się z politowaniem.

— Wróćże choć spocząć do domu...

— Tak! tak! a ty mnie zamkniesz i przykujesz...

— Czyż byłeś kiedy zamkniętym?...

— Zamykasz mnie na progu kładąc łyzy swoje! zawołał professor, tego ja nie chcę... wolności potrzebuję...

— Ale choć spocznij! błagała Hanna, widać na twarzy twojej znużenie, w oczach gorączkę... daj mi słowo że ze mną jutro do Kalisza powrócisz...

— Dobrze! dobrze! odparł z niechęcią Beniowski... Każesz... pojedę... ale Liviusza tłumaczyć nigdy! To fragment! Przy tem w Kaliszu nikt mnie nie uznaje... choć incognito lubię aby Karol II obudzał pewne uszanowanie... lada professorzyna ma się za równego ze mną. Raz się z tego wyłamać potrzeba... Wszyscy wchodzą bez meldowania się.

— Ja będę meldować... szepnęła Hanna...

Król nadąsany zamilkł... ale w jednej chwili zwinęła się myśl w jego biednej głowie, podniósł oczy i zapytał.

— Czy Przerębski odniósł historią Müllera?

Hanna się uśmiechnęła.

— W całości... i niepoplamioną...

— Postawiłaś ją na trzeciej pułce przy historykach niemieckich?

— Według numeru...

— Cóż mówił? pytał o mnie?

— Czeka na szachy...

— Nie mogę z nim grać, bije królowę... tego nie znoszę...

— Przrzekł poprawę...

— A Muthauer co porabia?

— Zmartwiony bardzo wycieczką waszą... i niepokojny o zdrowie...

— E! to waryat... zwołał Beniowski... doktor jest i zdaje mu się że wszyscy chorzy... choćby zabić byle mu kurować... Temu to się nikt nie wywinie... Jeżeliś zdrów da ci lekarstwo żebyś nie był chory... a zawsze nie przepuści sucho... ja się go boję...

— A taki dobry człowiek! dodała Hanna.

— Gdyby nie był waryat... rzekł król... ale widocznie ma bzika...

I na chwilę zapomniawszy o Madagaskarze czule wypytywał o Kalisz, o staruszkę gospodynią, o faworyta psa Nerona który całemi tygodniami czekał na niego w ganku...

Hannie rozjaśniło się lice... odpowiadała wesoło, starała się go przyciągnąć do tego dworku cichego...

— Żebyś wiedział jak ładnie w naszym ogródku, jak rozkwitłe lipy pachną... jak malin pełno i truskawek... jakie kwiaty przed oknami twemi, jak wszystko tęskni i niepokoje się tobą... jakby ci tam dobrze być mogło...

— Niewiasto! przerwał w końcu przechodząc do surowszego wyrazu twarzy biedny król — niewiasto! nie powinno iść o to człowiekowi gdzie mu dobrze być może... ale gdzie ma spełnić włożony nań obowiązek... Gdyby się tylko szło do szczęścia trzebaby nieraz po kolana w błoto za nim wędrować...

— Święte są słowa twoje — odpowiedziała mu Hanna z uśmiechem... ale doprawdy dziadku mój, masz obowiązki i pod tą strzechą ubogą... dla tego serca które cię kocha...

Beniowski wstał i pocałował ją w czoło.

— Prawda, rzekł — i dla tego cię wydam za pretendenta, będę abdykował i zrobię królową...

— Mamy na to czas — uśmiechając się smutnie — szepnęła Hanna — wolę być twoją wnuczką... i dawać w mieście lekcye dzieciakom.

— W tem nie widzę nic zdrożnego — zawołał król. Ludwik Filip także dzieci uczył w Szwajcaryi.

Wszyscy wstali, w głębi domu słyhać było bijącą dziesiątą godzinę. Władkowi dawno potrzeba już było do domu powracać, urok Hanny go wstrzymywał... Czuł w niej istotę jaką czasem marzył, niewieścią sercem, męzką energią i wolą... piękną formą i piękną rozpromienieniem duszy... nie myśląc i nie starając się o to wcale... oczarowała go biedna wnuczka profesora... Znana ona była dawno Dziadowi, ale Władysław nigdy jej w życiu nie spotkał, choć wiedział nawet że byli dalecy krewni... Nie domyślał się nigdy w tej wychowance małego miasta i małego świata tak zachwycającej istoty... pełen podziwu stał teraz przed nią zamyślony jakby chciał w duszy rozwiązać sobie zagadkę cudu... Dziadek czasem nań z pod oka spozierał... ale twarz jego nie zdradzała ani niepokoju ani niechęci.

Beniowski ziewnął po królewsku — znać było że padał ze znużenia.

— Chodź mój królu, rzekł mu gospodarz... zaprowadzę cię ze Szczepanem do twojej sypialni, a Zubrzyckiej każę tym czasem dla panny Hanny przygotować pościel przy jej pokoju...

Hanna okazała trochę niepokoju...

— Nie bój się waćpanna, rzekł Dziadek, — postawię ja mu straż żeby się nie wymknął... Zubrzycka po was przyjdzie, a Władek nam tymczasem towarzystwa dotrzyma.

Na twarzy wnuka odmalowała się radość wielka... że mógł na chwilę dłużej z Hanną pozostać... ciekawym był bliżej ją poznać...

Ale w chwili gdy Beniowski pocałowawszy ją w czoło odchodził... Hanna jakby się siły jej wyczerpały, usunęła się na krzesło widocznie zwątlona, twarz jej przybrała znowu tęskny ten wyraz, z którym na ganek wchodziła... Spojrzała na Władka, ze współczuciem wpatrującego się w nią i uśmiechnęła boleśnie...

— Nie śmiej się pan z dwojga biednych ludzi — rzekła po cichu jakby jej sił brakło... — nie gorsz się moją wycieczką, ani nawet szalem tego starca nieszczęśliwego... Wierz mi pan gdybyś go

znał bliżej, poszanowałbyś szlachetne marzenia tej chorej duszy...

— A pani, zawołał Władek, nie sądzię mnie takim trzpiotem ażebym śmiał uragać wielkiej boleści... Któż z nas pewien jest że go tak życie nie zwichnię... A któżby znowu uwielbieniem nie był przejęty dla jej poświęcenia...

— Nie mów mi pan słodczy, jam do nich nie przywykła — odpowiedziała Hanna z cicha... spełniam obowiązek... nie zawsze podołać mu mogę... Masz pan najlepszy dowód w dzisiejszej przygodzie... godziłoż się żebym mu tak wymknąć się dała? Ale często wychodzi na miasto lub w okolice i powraca prędko, a czasem gdy ja w pogoń za nim się udam... już znikł mi bez śladu...

— Pojmuję niepokój pani — rzekł Władek.

— Domyślasz się go dobry panie, ale trudno pojąć jak się on czuje... Myśleć o starcu biednym... wystawionym na tyle niebezpieczeństw, bezbronnym, wyśmiewanym... prześladowanym często... to okropnie. Sen z powiek ucieka, łzy płyną, a siły nie starczą.

Mała pensyjka jego niedostateczną jest by nas wyżywić i jego fantazyom dogodzić, ja muszę kilka godzin przepędzić dla lekcyi w mieście... Siedzę jak

na węglach... wracam biegnąc, za każdą razą trwożąc się czy go zastanę...

Hannie łąza upadła na rękę.

— Czasem, mówiła dalej — dobry jest, słuchamnie, łagodnieje, zapomina swych marzeń... bawią go książki i szachy... potem nagle wraca niewinne omamienie, wymyka mi się z domu, niknie i całymi miesiącami szukać go muszę... A jednak nie skarżyłabym się na to życie, do którego mię Bóg przeznaczył... gdybym go szczęśliwszym, spokojniejszym widziała... Nawet gdy pozornie zapomina, uspakaja się... znać że w umyśle tkwi jakiś obłęd z dziwną ironiczną ścigany i rozwijany logiką. Naonczas... po ściągnionych brwiach... po zapadłych ustach widząc symptom choroby, muszę się wysilać aby rozbić te chmury, aby oderwać myśl od tej prometeuszowskiej skały... i sępa co ją szarpie...

Mówili tak z cicha długo, noc była cudna, jasna, księżycowa, spokojna... W dziedzińcu chłopak wodził konia Władka oczekując na panicza... siwy rżał czasami...

Hanna spytała wreszcie.

— Któż to pojedzie?

— Ja, powrócę do matki... która na mnie czeka...

Dziś jeszcze... Nie widziałem jej długo, wracam dopiero z Berlina... jeszcze nienasycony swojemi...

— A droga daleka? spytała Hanna.

— Parę godzin... noc tak śliczna... dodał Władek, wyda mi się to najrozkoszniejszą przejażdżką... a pojedzie ze mną i miłe wspomnienie dzisiejszego wieczora...

— Grzeczny pan jesteś... ale szczerze... nie jest to widok miły, patrzeć na dwoje nieszczęśliwych ludzi...

— Przepraszam panią... nic miłszego nad widok heroicznego spełnienia obowiązku z takim spokojem i prostotą, a jeżeli cnota przybierze się jeszcze w takie kształty urocze...

Hanna uśmiechnęła się prawie boleśnie.

— Pan jesteś nadto już grzeczny — szepnęła prawie z wymówką... ale jutro blask dnia rozwieje tę fantasmagoryę wieczorną, z której zostanie biedny odarty obłąkany starzec... i rodzaj parafiańskiej Antigony...

— Bardzo pani trafnie nazwałaś fantasmagoryą to twoje przybycie do nas, pośpieszył dodać Władek...

nie uwierzysz pani jakie ono na mnie uczyniło wrażenie... Nigdy go niezapomnę...

— Ani ja tego bicia serca i strachu i wstydu z jakim szłam po owych wschodach... przypominając sobie ów sławny wiersz Dantego... łzy mi się zbierały na powiekach, drżałam...

— Sąż ludzie tak bez serca... tak straszni?

— Są różni... odpowiedziała Hanna... a najwięcej takich dla których człowiek w pewnych dopiero warunkach zaczyna być za człowieka mianym... Jedni potrzebują na to nazwiska, drudzy tytułu, inni wychowania form pewnych... a jak mało tych co w najmniejszym i najnieforemniejszym z braci szanują istotę ludzką.

— Ale tego braku współczucia i poszanowania pani przynajmniej obawiać się nie możesz?

— Dla czego? biedna włóczęga... obudzę nieraz podziwienie, rzadko litość a współczucie najrzadziej.

W tej chwili Dziadek im przerwał rozmowę wchodząc razem z Zubrzycką, która z sobą Hannę zabrać miała. Władek także pożegnawszy się chywił za czapkę, uściskał Dziadka i ostatnie rzuciwszy jeszcze wejrzenie na znikającą Hannę, skoczył na siwka... który z nim razem wkrótce za drzewami się schował.

Dziadek stał jeszcze w ganku i słał za nim krzyżyki... tęskno mu jakoś było na duszy...

Władek Zegrzda wychowanym był przez najczulszą z matek, której miłość dla dziecięcia zwiększyło jeszcze wdowieństwo, zlała nań całe przywiązanie które miała dla ojca, kochała go podwójnie; widziała w nim utraconego — wychowanym był przez najtroskliwszego z dziadów, który tę ostatnią gałązkę szczepu krwią by był gotów podlać aby mu bujnie wyrosła... Był więc podwójnie jedynakiem i pieścioszkiem, chociaż matka i Dziad nieustannie się przestrzegali aby go nie psuć zbyt mocno... ale matce zdawało się że tylko Dziadunio go psuje! Dziadkowi że to ta biedna matka zbyt jest powolną.

Czasami Dziad się powstrzymywał, stawał poważnym i trochę gderliwym, chwilowo surowszym, ale uśmiech chłopca go rozbrajał, przychodziły na myśl przeróżne sofizmata które miłość ma zawsze na swe posługi... a na ostatek Dziadunio wmawiał w siebie że nic tak nie kształci i nie wychowuje jak czułość... jak serce. Karmiono go więc niem

i uczyniono najmiłszą w świecie istotą... Umysł się żywo rozwinął pod tem gorącym słońkiem, nie muięj uczucie, ale życie i przyszłość za różowo, za świetnie przedstawiały się jego oczom. Serce było jak najlepsze, popędy najszlachetniejsze... ale głowa rozmarzona zawczasu, a temperament płomienisty...

Prowadzić go na pasku, ostudzać, było już za późno i nadzwyczaj trudno, a do zbytku woli ukrać nie dozwalało przywiązanie, nie dopuszczał rozum, bo dziecko trzymane za surowo, zawsze później woli na swawolę użyć jest skłonne... Z daleka tylko baczono na kroki jego. Poszło wychowanie po myśli matki i dziada, chłopak wyszedł z niego pocziwym, zacnym ale trochę szalonym i gorączką...

Od owej tajemniczej śmierci ojca, dziwnej, nierozjaśnionej, chociaż podejrzenia rodziły się różne a Dziadek na chwilę nie poprzestał śledzić najmniejszych okoliczności, zatarły się były pierwsze wrażenia znacznie i drobne poszlaki które mogły obwinać Szymbora... zapomniane zostały. Dziadunio tylko zamknięty, milczący, na chwilę nie wyszedł z obranej raz roli inkwizytora. — Halina milczała, płakała... nikt nie wiedział co się działo w jej duszy; [ale stosunki z Szymborami pozostały na

stopie przyzwoitości... Nie miała ona wielkiego współczucia dla siostry męża, Justyny, zbyt płochej i roztrzepanej, natomiast Szymborowa do Haliny i do jej syna przywiązała się prawie namiętnie. — Troskliwość jej o siostrzeńca równała się prawie macierzyńskiej i dziadowskiej... Co dziwniejsza, sam Szymbor zdawał się ją podzielać i okazywał czułość dla Władka nienaturalną, która drażniła starego Szambelana, obudzając w nim dziwne podejrzenie. Widział on w niej jakby przebrany tylko dalszy ciąg nienawiści dla Stanisława i jego rodu.

Można było w istocie posądzać go o to, bo ile razy mógł się zbliżyć do młodego człowieka, dziwne mu dawał nauki i obudzał w nim pragnienia i idee, które tłumić raczej należało... Zapalał imaginacją, poddawał projekta do swawoli, szydził z przestróg dawanych przez Dziadunia.

Pomimo tego pobłażania i dogadzania Szymbora, Władek miał do niego jakiś wstręt instynktowy, niewytłumaczony, próżno go ciągnął, bawił, poił.... Władek się bawił, nie umiał oprzeć nastęrczanym rozrywkom, ale w postępowaniu jego przebijała się iakaś nieufność, pokochać go nie mógł. — Było to tym dziwniejszem, że szanując stosunki familijne

nikt go nie ostrzegął, nikt mu złego słowa o wuju powiedzieć nie śmiał.

Władek początkowo wychowywał się w domu, oddano go potem do szkół przydając mu starego nauczyciela do dozoru, a ubogiego chłopaka Antosia Siekierkę dla koleżeństwa. Myśl tę wychowywania razem panicza i sieroty ze wsi wziętego, powziął był Dziad... O pochodzeniu dziecka nikt dobrze nie wiedział, jemu samemu mówiono że był synem włościanina... na wsi wszakże o rodzicach jego było głucho... Antek Siekierka nie odstępował Władka aż do uniwersytetu, szli razem, uczyli się jednych przedmiotów, byli z sobą jak bracia rodzeni, a mimo to wielka różnica charakteru dzieliła dwóch rowieśników, przyjaciół, na pozór zgodnych z sobą chłopaków.

Są we krwi tajemnice... w spadku z pokoleń bierze człowiek coś z ich uczuć, pojęć, namiętności wyciśniętych na organizmie... wychowanie, wpływ, otoczenie lepiej później z tego materiału postać nową... dla przyszłości. Starożytni wierzyli w to dziedzictwo rodów, zaprzeczono mu później prawa bytu... a nauka dzisiejsza wraca do przeczutej prawdy. Sama zwierzęca natura człowieka sprawia że krew i rasa obojętną być nie może — ale to płonka

na której szczepi wychowanie gałąź co ma dobre lub kwaśne wydać owoce. — I grzechy i zasługi pokoleń i cnoty ich i rozpusta odbijają się we wnukach; wszechmocne wychowanie kowa z tej bryły posągi, choć marmuru plamistego na biały zmienić nie może...

Z każdej zdrowej i silnej organizacyi można stworzyć wielką, znakomitą jednostkę... ale w duchu jej odbija się mimowolnie dziewicza siła rasy, z której wyszła, zgrzybiałość jej lub wyszlachetnienie. — A wszystko to razem społeczeństwu jest potrzebnem i krew gorąca co płynie z ludu i przefiltrowana szlachecka, niebieska, czerwona i biała. — Z tych żywiołów różnych harmonijny naród się składa.

Dwaj chłopcy choć podobnych bardzo temperamentów, choć nawet trafem dziwnym, nie bez pewnego podobieństwa rysów twarzy, które wspólne życie czasem nadaje, oba żywi, zdolni i poczciwi... różnili się wszakże, jak dwa typy z dwóch spokrewnionych a nie jednych światów.

Władek był cały na zewnątrz. Szczery, otwarty, wesoly, szukający i potrzebujący ludzi; Antek poważny, nie łatwy do wynurzeń, obawiający się może do zbytku narażenia na śmieszność, strzegący unie-

sień zbyt żywych — energiczniejszy ale zamknięty, Władek pędził do czynu pod pierwszym wrażeniem, Antek ważył długo, ale ujawszy pracę nie rzucił jej aż dokonał. Fantazyja mniej nad nim miała przemocy — uczucie się kryło wstydlive ale było w nim silnie. Władzio wybuchał łatwo i zapominał prędko. Antek pod wrażeniem bladł milczący, ale co raz w jego duszę padło, leżało w niej jak kamień na dnie morza. Oba byli odważni, każdy inaczej, mężstwo Władka sięgało zuchwalstwa... ślepe, niepomiarowane, gwałtowne. Antka było rozważne, skupione w sobie ale niezłomne... Władek gniewny czerwieniał, Antek bladł jak marmur i tężał jak kamień.

Oba mieli zdolności wielkie a niejednakowe, panniecz kochał sztukę, lubił historiją, zagłębiał się w tem co dlań miało ponętę ciekawości a granicami ściśle oznaczonemi naukowemi nie zrażało, lubił to co mu wodze fantazyi pozwalało rozpuścić bezkarnie. Antek skończywszy szkoły prosił o pozwolenie uczęszczania na nauki przyrodnicze i lekarskie — sposobił się na doktora... Dnie i noce trawił nad studjami których przedmiotem była rzeczywistość i materya... po za nią ciekawość jego nie sięgała... czując że tam się na twardszym

gruncie oprzeć nie może. Poezya unosiła go ale nie zaspokajała, podrażniony nią szukał posilniejszego pokarmu aby się uspokoić.

Psychicznym fenomenem szczególnym Władysław był w poezyi realistą, Antoś w umiejętności często znajdował poezyą i umiał być poetą. Kochając się z sobą sprzeczali nieustannie, a niekiedy odrębnymi drogami przychodzili do zupełnie jednakich wniosków i zadziwiającej ich samych zgody. — Gdy przyszło do wytłumaczenia sobie tej jedności zdań, rozchodzili się w nich znowu...

Walki te nie nadwerężały gorącej ich przyjaźni. Antek byłby dał życie za Władka, gotów czekał tylko sposobności poświęcenia się dla niego; Władek w ogień by się rzucił za przyjaciela, ale wyrwawszy go z płomieni pokłóciłby się za fraszkę.

Dla sieroty życie było twardem zadaniem; na progu znalazł rękę dobroczynną, a czuł że resztę powinien był sam sobie zawdzięczać; nie wątpił na chwilę że tego dokaże; Władysław wiedział że dla niego zgotowanem jest wszystko i że miał tylko sięgnąć po szczęście aby je otrzymać. Śmiało mu się ono w postaci kobiety... a raczej kobiet... bo Władek zakochany był ciągle a każda miłość zda-

wała mu się wiekiustą i jedyną... Każda miała jakiś nowy urok... prędko, niestety — zatarty...

Matka Władysława i ciotka jego wcale do siebie nie były podobne...

Justyna była zepsuta przez męża, przez świat, przez brak trwałszego uczucia. Najczystsza z niewiast nie może bezkarnie przeżyć lat kilkunastu w obcowaniu z człowiekiem który w nic nie wierzy, nie wstydzi się niczego i o nic nie dba. — Tajemnic tego nieszczęśliwego pożycia odsłaniać nie chcemy; z niego pozostał Justynie niesmak do wszystkiego, obojętność dla męża, smutek nieuleczony, zalotność i ta choroba którą Francuzi ochrzczili szydersko przymiotnikiem *incomprise*. — Justyna miała nieco prawa chorować na istotę niezrozumianą... szła za Szymbora wystawiając go sobie ideałem a znalazła po próżnych wysiłkach odkopania w nim czegoś jasnego — zgniliznę i świecące pruchno. Ludzie którzy ją otaczali, przyjaciele mężowscy, nielepsi na-deń byli... W takim życiu któżby nie zrozpaczył, nie stracił wiary w człowieka i nie oszalał z bólu...

Justyna szukała rozrywki bezmyślnie, instynktowo, rozpaczliwie... stała się roztrzepaną, zalotną, płochą, aby życia zapomnieć. Zmiana ta zaszła

w niej wybitnie po strasznej kryzys, którą była śmierć brata...

Czy ten zgon obudził w niej jakie podejrzenia, czy miała jakie poszlaki... nikt nie wiedział, ale odchorowała po nim straszliwie, a wróciwszy do życia, zmieniła się rzucając w świat, z pogardą opinii i wszelkiego względu. Z dawnych uczuć pozostało w niej tylko przywiązanie do Haliny i naj-egzaltowańsza miłość dla Władzia, którego więcej niż własne dziecię kochała. Z mężem była ni źle ni dobrze, zostawując jemu swobodę zupełną, ale w niczem nie pozwalając swojej skrepować. Żyli razem, w jednym domu a obcy sobie...

Halina, matka Władysława, była kobietą pełną rozsądku, energiczną ale razem uczuciową... niegdys za życia męża energia ta stanowiła tło główne jej charakteru, złamało ją nieszczęście niespodziane, niewytłumaczone, straszniejsze nad uderzenie piorunu... Nie dzwignęła się już później jej dusza do pierwotnej siły, obawa czegoś niespodziewanego, nadzwyczajnego... panowała nad nią.

Podniosła się natomiast czułość dla dziecka i życie duchowe całe ze wspomnień i czystych przyjemności złożone. — Patrzała na wzrost dziecięcia, płakała modląc się u portretu męża, lubiła swój

cichy kątek samotny; a wolne godziny zapełniała muzyką ulubioną namiętnie, ogrodem który ją zajmował i książkami odrywającymi od rzeczywistości. Mało ludzi potrzebowała do życia, a odzwyczajona od towarzystwa męczyła się niem tylko.

W pierwszych latach po tem tragicznem owdowieniu miała kilku zalecających się ze wszech miar zacnych ludzi; Dziad nawet nie był od tego aby za uczciwego człowieka za mąż poszła, upatrując w tem opiekę dla Władzia, na przypadek swej śmierci — ale Halina myśli tej nawet przypuścić nie mogła... kochała Stasia swego po śmierci... równie namiętnie jak za życia... dla niej on był żywym, jedynym. Nie chciała gdy go chowano zdjąć mu z palca ślubnego pierścionka... niech go zanieśie do grobu... wołała — abym pamiętała że nie jestem wolną od mojej przysięgi.

Powoli tak starzejąc, siwiejąc, gdyż włosy jej zawczasie się posrebrzyły, pozostała młodą duszą, piękną na twarzy, spokojną, rozpogodzoną. Otoczyła ją aureola cierpienia tajonego, noszonego święcie jak owe włosienice ascetów, których nikt nie widzi a domyśla się każdy.

Wszyscy kochali dobrą Halinę... Justyna młodszą daleko od niej, piękniejszą może, nosiła na

twarzy zwiędłej napiętnowaną gorączkę która ją trawiła; czasem oko jej wśród wesela błysnęło jakby ogniem jakiegoś szalu... wewnętrznego... najmniejsza rzecz ją przerażała, najlżejsza przeciwność aż do łez rozdrażniała...

Kochały się z sobą dosyć, ale pomiędzy temi damami stał Szymbor, którego może równo obawiały się obie... a od którego Halina stroniła nie chcąc mu jawnie okazać wstrętu.

W milczeniu niekiedy tylko poświstując a coraz nowe zapalając cygaro, Szymbor odbył podróż wieczorną do niezbyt oddalonego Krymna... Żona siedziała pochylona w jedną stronę powozu, zadumana głęboko, wsparta na rękę, przypatrując się krajobrazowi oświeconemu księżycem i krzewom naddrożnym... które jak widma przesuwaly się około szybko pędzącego powozu.

Któż wie jakich postaci i wspomnień kształty nadawała im wyobraźnia. Szymbor który w towarzystwie obcych był szyderski, wesół, ożywiony, pozostawszy sam na sam z żoną stawał się kwaśny i milczący... Jest to zwykłą naturą tych wielce mi-

łych w towarzystwie ludzi mszczących się złym humorem na domownikach za ekspensa dowcipu dla obcych... Zresztą jakieśmy mówili, od wielu lat Szymborowie nie żyli z sobą tylko jak skuta galerników para, która się tym mocniej nienawidzi im cieśniej łańcuch ją ściska... Dla Justyny był on karą Bożą, ona dlań tylko reprezentantką spadku po Dziaduniu.

Kiedy niekiedy nie odwracając głowy Justyna z pod oka spoglądała na męża i z jego ruchów, fizynomii, sposobu palenia cygara domyślała się iż był wielce zajęty snuciem jakichś groźnych planów. Zdradziło go słówko które mu się wyrwało w pierwszej chwili gdy przejeżdżali wrota dziedzińca.

— Wyzywa mnie ten stary grzyb... dojada... ale przyplaci!!

Wesołe a coraz żywsze gwizdanie wśród drogi ustało wreszcie gdy się zaczęli zbliżać ku temu miejscu w którym stał drewniany krzyż na pamiątkę śmierci Stanisława wzniesiony... Podania o jakichś nocnych zjawiskach na rozdrożu już do tego krzyża przylgnęły, woźnica mimowoli konie popędzął.

Noc była księżycowa, jasna, spokojna... las w tem miejscu przerzedzony składał się ze starych dębów mało w liście odzianych, przez których grube

konary jasnemi smugi padały promienie na rodzaj łączki otoczonej w dali gąszczami.

Nad samą drogą stał ów krzyż, z pni dębowych z korą zestawiony, z koroną z ciernia...

Szymbor po którego stronie się on znajdował rzucił okiem ku figurze... i jakby rażony czemś krzyknął — Stój...

Po za krzyżem w blasku księżyca stała płachtą białą jakby całunem okryta postać... Justyna spojrziała i przeleża krzyknęła, konie zatrzymały się i miały chwycić z kopyta, gdy Szymbor jakby szaleńcem porwany, którego sam potem pojąć nie mógł — wyskoczył z powozu wprost biegnąc na widmo.

Krzyk z za krzyża odpowiedział i gdy zajadły ale odważny pan Apollinary znalazł się o krok od zjawiska, poznał w niem... biedną kobietę ze wsi która z brzemieniem gałęzi powracała do chaty.

Wstyd mu prawie było tej porywczosci, tem dziwniejszej że las nie do niego należał.. powrócił śmiejąc się do powozu w którym żona siedziała zakrywszy oczy... ale trząsł się cały, wzburzony był i nadzwyczajnego wrażenia którego doznał ukryć nie potrafił.

— Pocóż ci było robić taką historiją?

— Ludzie by byli potem rozpowiadać gotowi,

że się nam upior pokazał w drodze... zawołał Szymbor...

Ale mimo tego tłumaczenia do domu dojechał chmurny i gniewny.

Po skromnym, staroświeckim dworze Dziadunia — Krymno państwa Szymborów nawet nocą widziaine wyglądało na zuchwale zarysowaną — prawdziwie pańską rezydencją. Ogromny park w którym niewiele dotąd było drzew starszych otaczał smakowny pałacyk, nakształt włoskiej willi zbudowany. Do koła szeroko rozścielały się trawniki, umiejętnie potworzone klomby, zręcznie poprzecinane widoki na bliski staw i młyn malowniczo ustawiony na odległym planie w kształcie szwajcarskiej chaty.

Ale temu krajobrazowi stworzonemu sztuką mierzalnie, czas nie dał jeszcze był swej sankcyi — był to szkic obrazu o którym godziło się wątpić czy skończonym zostanie lub zatartym. — Na progu willi wysiadłszy hrabia natychmiast dał dobranoc żonie — która mu ledwie głową skinęła milcząca i rozeszli się on w prawo do swoich, ona w lewo do pokojów które zajmowała przy salonie.

Cisza martwa zawisła znowu nad tym dworem zimnym jak murowany sarkofag czekający na zwłoki — tu jeszcze zwłok nawet, wspomnień brakło, był

smutniejszy od żyjącego grobu... smutny jak nieużyta trumna.

Nowy, świeży — bez wczoraj i przeszłości nie obudzał wiary w jutro... zdawał się widmem, które wschodzący poranek mógł na mgłę roztopić. Przy pozorach dostatku czuć było w powietrzu jakby woń długów unoszącą się nad pałacym... przedsmak ruiny...

Hrabia Apollinary który nie lubił cokolwiek staranniejszego ubrania od czasu jak na wsi zamieszkiwał... natychmiast począł się rozbierać do łóżka, nakazawszy aby mu przywołano niezwłocznie Kenera.

Kerner pół Niemca, pół Polaka, wątpliwego pochodzenia, był *anima damnata* Szymbora od lat wielu. Spełniał przy nim funkcyje niezliczone i nieokreślone, chociaż nosił się i widomie grał rolę bardzo paradnego strzelca... Władał on stajnią, psami, myśliwstwem, i do wszelkich czynności zaufania wymagających posługiwał, jeździł pożyczając pieniędzy, woził listy i odpowiedzi o których nikt wiedzieć nie był powinien... Szymbor od innych ludzi wymagający zbytecznego poszanowania, z Kenerem był na prawie poufalej stopie, szczególnie gdy pozostali sam na sam. Zbogacony strzelec z pa-

nem obchodził się przy ludziach dość bez ceremonii, a we cztery oczy mówiono nawet ostro. Co Kerner chciał i o co poprosił otrzymał, w wielu rzeczach dysponował nie pytając. Nie cierpieli go wszyscy we dworze, a szczególnie Justyna, ale jej się też nigdy na oczy nie pokazywał.

W chwilę potem od kufła piwa widać oderwany, rumiany, sążnistych pleców olbrzym wtoczył się do sypialnego pokoju Szymbora. Był to mężczyzna stworzony na żołnierza nie słuźalca, rozrosły, silny, twarzy bardzo przystojnej i nieco dumnej, ale nowem życiem ocieężały i zleniwiony. Na twarzy jego malowało się w tej chwili więcej podrażnienie niż służbistość.

— Mój kochany Kernerze, rzekł Apollinary — przepraszam cię że musiałem tak późno prosić... ale mam interes.

— Nic nie szkodzi... mruknął niechętnie olbrzym...

— Nie pamiętasz ty... co się stało z tą strzelbą... dwururką, kniejową którą ci... przypomnij sobie, darowałem...

— Którą? spytał Kerner wahając się z nogi na nogę.

— Ale tę Lepażówkę... ciężką... com jej nosić nie mógł...

Olbrzym zdawał się przypominać i namyślać.

— A! tak! tę Lepażówkę...

— Ja jej coś u ciebie nie widzę...

— Bo ja jej też dawno nie mam, odpowiedział Kerner popsutą polszczyzną i niemieckim akcentem... ja je sprzedałem...

— Dawno? spytał Szymbor.

— O! już lat ze czterech... rzekł Kerner.

— A komu?

— Czy ona jest panu potrzebny? odezwał się z ciekawości wpatrując w pana strzelec.

— Mogłaby mi była być potrzebną... te nowe strzelby... źle biją... Komu ty ją sprzedałeś? — i na co ci ją było sprzedawać?

— A no, kiedy to był prezent, ja mogłem z niego robić co chciałem... to było moje prawo... odparł gniewliwie Kerner.

— Zapewne, zapewne, ale jabym chciał wiedzieć dokąd się ona dostała...?

— Dokąd się oni dostali? teraz już ona wędrują po świecie. Wziął ją u mnie bixmacher w Kaliszu...

— Ale przynajmniej sprzedając spodziewam się cyfrę moję z niej wyjąć kazałeś?

Olbrzym spojrział nań uważnie.

— Cyfry? albo tam byli cyfry?...

— To była strzelba robiona umyślnie w Paryżu... dla mnie.

— A kto mógł wiedzieć że to taka droga broń... ja się nie spodziewali żeby pan mnie takiego robił prezenta...

I ruszył ramionami.

Szymbor był widocznie markotny.

— No, co się stało to się stało, rzekł, jak będziesz w Kaliszu, pójdź do bixmachra i dowiedz się co z nią zrobił.

— Czy odkupić?

Szymbor się zamyślił... — no, tak, rzekł, odkup ją... w jesieni się przydać może, wynagrodzę ci to.

Kerner stał i patrzył na pana z rodzajem politowania.

— No, jak to mogą u państwa być pieniądze albo majątki... kiedy tak we wszystkim... Dziś konia daruje a jutro go dwa razy przepłacając odkupi... tfu!!

— No, dość, nie gderz, bo dziś jestem zły... Zadysponuj mi też ażeby konie do Zarembia na jutro były gotowe.

To mówiąc nakreślił ołówkiem kartkę do żony, prosząc aby nazajutrz rano jechała z nim do Zarębia i oddał ją Kernerowi.

Olbrzym mrucząc się wytoczył...

Nie odebrawszy przeczącej odpowiedzi, zapewniony tem milczeniem iż Justyna towarzyszyć mu będzie, Szymbor popaliwszy jedno cygaro na pół drzemiący... zasnął snem... węgierskiego starego wina...

Żona która go dobrze знаła i nawykła była wszelkich jego projektów się lękać... czekała nazajutrz niecierpliwie, aby głębiej w nie zajrzeć mogła.

Szymbor obudził się wcześniej niż zwykle, w humorze jeśli nie dobrym to mocno ożywionym, ubrał się prędko i kazawszy podać śniadanie w gabinecie pani — pośpieszył do niej z niezwykle uprzejmem — dzień dobry.

Zmierzyła go Justyna okiem ciekawem, rada do badać się co go z apatyi wywiodło i jakie zamiary w sobie ukrywał — ale mąż swym obyczajem pozostał grzecznym a niezbadanym i zamkniętym w sobie.

— Jedziemy więc zaraz do pani Haliny, rzekł zasiadając do herbaty — wypada nam powinszować jej przybycia jedynaka — którego i ja bardzo lubię...

Il y a de l'étoffe dans ce garçon, da się coś z niego zrobić...

— Mój Polciu — odezwała się Justyna... o jedno tylko proszę — zlituj się, żadnej kwestyi pieniężnej, błagam o to... Niepodobieństwem mi jest być jej winną... prosić ją o to... Dziadek się zajmuje jej interesami, wiedziałby o tem natychmiast.

— Ale za kogoż mnie bierzesz! ofuknął się śmiejąc mąż. — Ja! P. Haliny prosić o pożyczkę! *allons donc!* ani mi to w głowie... bardzo rozumiem że to by było omyłką.

— Bardzo dziękuję — jestem już spokojna.

— Kwestyą pieniężną proszę spuścić na mnie — dodał Apollinary... poprowadzę ją, spodziewam się, tak że nikogo prosić nie będziemy potrzebowali... pieniądze przyjdą same...

Żona niedowierzająco spojrzała na niego, on żywo zajął się herbatą... potem jakby umyślnie pragnął rozmowę odwrócić, spojrział ku ogrodowi.

— Jak te drzewa u nas powoli rosną... zawołał — ten park, zasadzony z takim staraniem i kosztem, wiecznie przypomina pepiniery pod Erfurtem... wszystko karleje i siedzi przy ziemi. W tym kraju nie nie umieją... za granicą są na to sposoby... pędzą, forsują drzewa, podlewają... a tu! nie mogę

patrzeć na te kolki i chude płonki w suchotach...
Jak tylko kochany Dziadunio nogi zadrze...

— A! proszę cię! zaprotestowała żona'...

— *Mais il n'est donc pas le grand père eternel*,
odparł Szymbor; przecież według praw natury kie-
dys to nastąpić powinno... naówczas urządzę się
koniecznie tak ażebym ja wziął Rajwołę... Mam
tam stuletnie lipy, drzewa przepyszne... klony, ka-
sztany... zobaczysz jaki z tego park zrobię.

Justyna spojrzała nań z politowaniem.

— Takich planów na przeżycie — rzekła po-
woli — robić się nie godzi, najczęściej one zawo-
dzą... Dziad ma prawo i rozporządzi pewnie swoją
własnością... a my na łaskę jego której nie mamy
wcale rachować nie możemy.

— Tak... ale na los i szczęście rachować byśmy
mogli... gdybyśmy rozum mieć chcieli...

Żona spojrzała nań oczyma przelekkimi, ruszył
ramionami. Po chwili wstał z kanapki i odciągając
ją na bok... począł rozmowę tajemną...

Na pierwsze jej wyrazy twarz Justyny oburzeniem
i zgrozą pobladła... potem łzy puściły się jej z o-
czu. Szymbor nalegał, śmiał się, ruszał ramionami
i szatańskimi rzucał na nią oczyma. Stała mil-
cząca, zboliała, westchnęła na ostatek i porwawszy

konwulsyjnie za kapelusz odezwała się głośno... ze łkaniem prawie.

— Są to okropne żarty, które tylko tak nie-szczęśliwa jak ja istota zność może...

I załamała ręce.

Szymbor patrzył na nią urągająco.

— Com powiedział nie cofam... dodał... proszę się rozmyślić... a teraz czas jechać... w drogę, miłościwa pani.

Na chwilę chwyciwszy się za głowę Justyna zdawała się nie mieć odwagi do tej podróży, potem jakby jej coś na myśl przyszło... konwulsyjnie pochwyciła szal i wybiegła w ganek...

Szymbor nućąc szedł za nią...

Zarębie państwa Zegrzdów nie wyglądało ani tak pańsko ani może tak smakownie jak Krymno, ale było wdzięczne i podobało się niezmiernym ła-dem a staraniem z jakim najmniejszy kątek był wypieszczony.

Folwark zbudowany na kraju lasu przytykał do brzeziny, do której dosadziwszy drzew zrobiono bardzo miły ogród cienisty. Sam dom skromny, wiejski na sposób angielskiego *cottagu*, bez preten-syi, wygodny, okryty bluszczami i dzikiem winem,

uśmiechał się z pośrodku kosza kwiatów i zieleni... których wszędzie było pełno.

Halina żyła kwiatami, miała też najpiękniejsze, najrzadsze a ogrodki jej wyglądały prawie na botaniczny...

Choć już było około jedenastej zastali wszystkich mieszkańców Zarebia, matkę, syna i towarzysza jego Antosia — jeszcze za stolikiem od śniadania. Śniadanie wprawdzie od dawna było skończone i zapomniane, ale oba młodzi panowie puścili się w opowiadania swych przygód... matka potem chciała synowi zdać sprawę ze swojego gospodarstwa... i tak o godzinach zapomniano. Gdy powóz zaturkotał w ganku... wszyscy się zerwali jakby postraszeni zobaczywszy na zegarze niespodzianą godzinę.

Władek wybiegł zastępując gospodarza i spotkawszy ciotkę w sieniach, cały zarumieniony wprowadził ją do saloniku... Halina w progu uściśnęła ją.

Matka Władysława była już niemłodą, ale jeszcze poważnie piękną przy siwiejących włosach, spokojnego oblicza, łagodnego wejrzenia... smętnego uśmiechu... Postarzała widocznie nie zużywszy zapasów młodości, która w każdym jej ruchu odbijała się jeszcze...

Szymbor zamyślony przez całą drogę, przybrał od progu zwykły ton do gości — wesóły...

— Przybyliśmy pani powinszować, zawołał, szczęśliwego przyjazdu p. Władysława... My co go także czule kochamy — śpieszym podzielić jej radość... a sami też korzystać z niego. Wczoraj ledwie się nam mignął.

— A mnie także! odezwała się Halina... poleciał do Rajwoli i nie mogłam się go z powrotem doczekać...

— Dziadunio wstrzymał? spytał Szymbor.

— Po troszę a trochę ciekawość, zawołał Władek... pierwszy raz spotkałem się tam z królem Beniowskim i jego wnuczką...

— A! otóż słowo zagadki! piękna owa wnuczka... zaśmiał się przybyły. Głośną jest sława panny Hanny...

— I nie przesadzoną! dodał rumieniąc się Władek, — nietylko jest piękna ale dziwny ma urok i coś tak szlachetnego...

Szymbor się śmiał zacierając ręce.

— A tak! tak! urok! szlachetność! wszystko... a nadewszystko... te latek 19 czy dwadzieścia...

Wśród tych preludyów rozmowy Antek Siekierka, piękny chłopak, szerokich ramion, barczysty, silnie

zbudowany, rysów twarzy wyrazistych i energicznych — na widok Szymbora usunął się na bok, ukłonem powitał zdala przybyłych — a ze wzroku widać było że nie wiele miał dla nich współczucia — i po krótkiej chwili zakreślił się, wziął książkę ze stołu — zniknął.

Towarzystwo wkrótce potem się rozdzieliło — Halina zabrała Justysię prowadząc ją do rozkwitłych nowych swoich nabytków — a hrabia napiwszy się wódki i zapaliwszy cygaro wyniósł się z Władziem na ganek...

Po chwili... zrobiło się tak gorąco iż należało czemś ugasić pragnienie, podano zimny grok który apetytu nie odbiera...

Na ławce w ganku przy szklance poczęła się rozmowa męzka, poufała, bez osłonek... natychmiast naprowadzona na ten ton ulubiony Szymborowi... który do wesołości pobudza swawolą.

Władzio nie miał wcale zbytnej sympatii do tego wujaszka — chociaż przed nim ukrywano z rozkazu matki wszelkie wspomnienia dawnych zajęć z ojcem jego — cynizm Szymbora go raził, ale p. Apollinary był zabawny, natarczywy i umiał zawsze w to zagrać co chłopca zajmowało. Weteran ów eleganckiego zepsucia obudzał w młodym

człowieku rodzaj ciekawości, a zręcznem pochlebstwem umiał go ująć chwilowo.

Według właściwej sobie metody, Szymbor pod pozorem udzielania zbawiennych rad młodemu siostrzeńcowi, naprowadzał zwykle rozmowę na niezbyt budujące przedmioty i rozszerzał się nad nimi do zbytku; rozbierając je *con amore* i kazaniami temi więcej ze złem oswajał, otrzaskiwał, niżli mu zapobiegał...

Władek rumienił się, mięszał, ale słuchał i odpowiadał, a w końcu się czasem rozgrzał; Szymbor ilekroć dostrzegł że zaszedł za daleko, szczęśliwie umiał nawrócić, wiedząc że jak z potwarzy zawsze coś zostanie, tak i ze zgorszenia część ządła się wpija.

Rozmowa wszczęta o Berlinie jakim był i jest, wprowadziła na dalszą ośnowę.

— Znudzisz się tu trochę, szanowny kawalerze, rzekł z politowaniem wujaszek... młodzieńcowi jak ty... ciężka rzecz być pozbawionym na tak długo miłego niewieściego towarzystwa. Wiem że romanse w garderobie nie starczą ci, chociaż i one mają swój urok właściwy, a dobrze prowadzone spadają zawsze na kamerdyncrów. Leosi, która ci się tak podobała, nie ma, wyszła za mąż... Zresztą umizgać się

tu niema do kogo, chyba do ciotki (rozśmiał się Szymbor, a Władek zaczerwienił) co nie byłoby zabawnem, gdyż ciocia zbyt sentymentalna, a prawdę rzekłszy przywiedła i malowana.

Wątpię żebyś na seryo bardzo był zachwycony wnuczką tego waryata... Wszyscy zgodnie świadczą że dziewczyna bardzo piękna... ale podobno zanadto rozumna i surowa. Tam, choćby ci wygodnie było poumizgać się, nie ma najmniejszej szansy... bo to ma być heroina jakaś... to do niczego nie prowadzi, chyba do ołtarza, co dla ciebie zawcześnie... W sąsiedztwie zkądinąd na panny nieurodzaj, młodych mężatek do bałamucenia tak dalece niema, wdówek świeżych braknie... Czekwałyby cię więc uroczyste nudy, gdyby nie pocziwy (nie chwałąc się) wujaszek, który młodym był, zna młodego serca aspiracye, wie jak to są drogie chwile których się darmo tracić nie godzi... i... napatrzył dla ciebie... *perelkę*... To mówiąc Szymbor w końce złożonych palców pocałował się, Władek się rozśmiał... ale był zaciekawiony.

— Mówię ci, kończył wuj — bez przesady napatrzyłem dla ciebie *perelkę*... Ale sza! cicho! tajemnica między nami dwoma... *Perelka!!*

— Nie mam najmniejszej ochoty do niania pereł, — rzekł Władzio.

— Nie zarzekaj się wcześniej... zobaczysz! Nie powiem słówka więcej! zobaczysz! Jak kiedyś przyjedziesz do nas, porwę cię, zawiozę, zaprezentuję... i wiem że głowę stracisz.

— Nie wiele ona dotąd warta — odparł Władzio — alebym się jej pozbyć nie chciał.

— Jeśli obronisz głowę — to serce wpadnie w matnię.

— Na cóż więc mnie wuj chce na to niebezpieczeństwo wystawiać?

— Naiwny młodzieńcze, rzekł Szymbor z westchnieniem — ażali nie wiesz, że sercowe przygody tych dni młodości to kwiat życia, to skarby jego i wonie, które oceanem łez nie dosyć opłacić. Młodość dał Pan Bóg do kochania, a kochanie dla młodości... Później choć się już kocha to bez apetytu... Stracona młodość na wstrzemięźliwościach, to niczem niewynagrodzona strata.

— Nie mam w tem doświadczenia, rzekł Władysław, ale mnie się zdaje że młodość nie zależy od lat a raczej od świeżości uczucia. Jeśli się ono nie zużyje, to wrażenia młodości przeniosą się na wiek późniejszy.

— Tak, mój drogi, ale naówczas rozum mentor już dorósł, stoi nudziarz na straży, truje ci wszelkie wrażenie, komentuje, analizuje, prorokuje.

Wierz mi, ani konserwowane szparagi, ani przechowywane uczucia świeżych nie są warte.

Władek zmilczał, o ową zapowiedzianą perłę dopytywać się nie śmiał, ale głowę sobie suszył domysłami jak i gdzie w jakiej konsze ukrywać się mogła. Zręczny wujaszek może naumyślnie na tej wzmiance poprzestał, rozmowę zwrócił i puścił się na całą nową drogę.

Było to, jakżeśmy mówili w przededniu 1863 r. — w tej epoce niezrozumiałej do dziś dnia dla dziopisarza, niewytłumaczonej dla tych co ją przeżyli, sądzonej przedwcześnie, pełnej nierozwikłanych tajemnic, lecz nieochybnie dla Polski ważnej i następstw pełnej. — Gorzkich — ale goryczy ich nie spiliśmy jeszcze do dna, ani wiemy co na niem leży.

Kraj cały wrzał jasnowidząc następstwa ofiar niezmiernych, klęsk straszliwych, a nie śmiejąc małodusznie powiedzieć sobie — cofnę się przed strachem tych następstw... Gorąca młodzież wiodła za sobą ostygłych i zwątpiałych. Z dwóch krańców społecznych, z wyżyn ofiary i poświęcenia bez granic

— z nizin bezmyślnej rozpaczki rekrutowali się kierownicy tego ruchu i jego żołnierze. Nigdy mniej sworny zastęp na zuchwalsze nie porwał się dzieło.

Z chłodną rozwagą na świeżych mogiłach, dziś jeszcze nikt nie potrafi wypowiedzieć ani genezy tego ruchu, ani tajemniczych narodzin, wzrostu i chwilowej siły. Był to historyczny cud, którego polityka drobnostkowa dziennikarskich mędrków nie wytłumaczy, choć go oszkalować i poniżyć będzie usiłowała — było w tem coś fatalnego, nieuniknionego bo potrzebnego ludzkości. — Ślepym jest kto złych i dobrych ale przepotężnych następstw tej rozpaczliwej walki nie dojrzy — a ograniczonym kto pochlebia sobie że ją pojął i zrozumiał, że zgłębił ją do dna.

Ani sąd o ludziach, ani anatomia wypadków nie dają miary tego przesilenia, które pchnęło Rosyą na drogę imperatorskiego socyalizmu i zorganizowanej rewolucyi.

Zdawało się jeszcze naówczas wielce, że ostateczny wybuch nie przyjdzie do skutku, że sił nań nie starczy, że się obejdzie bez katastrofy i że wrzód ów... rozpędzi umiejętna ręka lekarza reformami mającemi zastąpić kataplazmy.

Lecz gdy ostrożniejsza część narodu pracowała

nad tem, młodzi szli za popędem uczucia i spiskowali...

Już naówczas po prowincjach słaba jeszcze organizacya rewolucyjna, powolnie szerzyć się zaczynała. Sieć ta, która później objąć miała kraj cały, zawięzywała się zwolna upozorowana rozmaitemi niewinnemi imionami i celami.

Władek mało był w to wszystko wtajemniczony, bo odsunięty od ogniska, z niemieckich tylko dzienników wcale nieświadomych, czerpał skazówki ruchu. Biło mu doń serce, chociaż ani jasnego pojęcia, ani przeczucia rozmiarów nie miał... Znając Szymbora niemógł się wcale domyślać by on — który wiecznie szydził sobie z patryotyzmu: miał go w tym przedmiocie zaczepić. Tymczasem wuj niespodzianie go zagadnął.

— No... a cóż mówisz o tym ruchu który od r. 1861 tak rośnie i powiększa się, że dziś już mu granic trudno oznaczyć? Co ty na to?

Władek w istocie niewiele odpowiedzieć umiał... wybąknął kilka słów prawie zawstydzony...

— Wiesz — dodał, że ja wcale zagorzałym patryotą nie jestem... ale tu się coś święci... większego niż zrazu sądziliśmy. Moja rola inną być musi

od twojej — ja z natury, położenia i wieku stanę w obozie konserwatystów, a ty??

— Ja — wstyd mi wyznać rzekł Władek, nie mam dziś jasnego pojęcia o stanie rzeczy w Królestwie, bawiłem w Berlinie.

— Ale to się też w Berlinie odbić musiało między młodzieżą?

— Za mało, bym się osmielił z tego wnioskować.

— No, to ja ci powiem, że to bez wybuchu się nie skończy. Drażnią naród ostatecznie, okoliczności przyczyniają się, lat trzydzieści jakieśmy awantury nie zrobili... lękam się bardzo aby do niej nie przyszło... Cóż ty?

— Muszę się rozpatrzeć lepiej, rzekł Władek.

— Jakkolwiek konserwatysta, odezwał się Szymbor, jakkolwiek przeciwny wszelkim rewolucjom, które za sobą prowadzą smutne skutki dla kieszeni i żołądków, nie mogę pojąć twojej obojętności. Czy byś miał ze mną robić ceremonie i taić mi co myślisz?

— Nie, odparł Władek... ale jestem ciemny... Gdy zawołają aby się bić za Polskę, pójdę.

— Musisz, rzekł Szymbor... musisz... Jestem w zasadzie temu przeciwny a widzę nieuniknioną konieczność. Niema innej roli, tylko albo podać rękę

Moskalowi, który cię ze skóry obedrze aby nową nawlec, lub — iść z tymi co się bić będą?

— Ale jakże bić się mogą? bez wojska, bez broni, bez pieniędzy?

— Tego ci nie wytłumaczę... nie wiem, przyszłość zakryta... rozumiem tylko jedno, że młody człowiek dbały o swą sławę i imię, z założonemi rękami pozostać nie może...

Z Dziadkiem o tem nic nie mów... będzie cię wstrzymywał, choć sam jest gorętszy daleko ode mnie... Co do mnie, radzę, życzę, nie zostawaj na boku... Bez tego chrztu u nas człowiek nie wart funta kłaków... Mnie gdy dziś powiedzą Moskal, odeprę żem służył w 1831, ty gdyby ci tę obelgę w oczy rzucono, nie masz nic na swe uniewinnienie. Rewolucya może być prostą burdą, ale nam... jak cyganom dla towarzystwa trzeba się dać powiesić!!

Dziwne te wyrazy Szymbora, nie zupełnie zrozumiałe Władysławowi, głęboko w nim utkwiały. Mało dotychczas zajmował się polityką, chociaż najpoczciwsze uczucia dla kraju wszczepiła w niego matka, nie wahałby się być chwili poświęcić dla nich — uderzało go tylko że właśnie Szymbor mu dowodził konieczności ofiary, on który żadnej nigdy dla kraju nie uczynił, on co był zwolennikiem speł-

nionych faktów i majątnych zwłaszcza Moskali. Zadumał się nie mogąc sobie tego wytłumaczyć... wuj odgadł myśl tego milczenia.

— Pojmuję, rzekł, że ci się dziwnem wydawać może, z ust Szymbora słyszeć coś podobnego? Ale ja ci po swojemu dobrze życzę... i obowiązki młodości rozumiem.

— Nie wątpi przecież wuj, że im w danym razie zadosyć uczynię.

— Nie wątpię, ale widząc cię tak obojętnym dotąd na to co cały kraj do głębi porusza, przyznaję się, uląkłem nieco, żeby w tobie nie znalazłeś zbyt na ten raz rozsądnego człowieka. Musiałbym rozważyć pochwalić... ale... ale czasem zbyt chęć oddziaływa na całe życie...

A po chwili spojrzawszy na zamysłonego siostrzana, dorzucił ruszając ramionami:

— Z tego nic nie będzie, to najmniejszej nie ulega wątpliwości, kilku gorączkowych bohaterów pójdzie na Sybir, dużo nastrzelają i nawieszają, wielu poucieka, kraj do góry nogami Moskale wywrócą... ale nie mniej awanturę zrobić trzeba i od niej się usunąć młodemu niepodobna.

Ba! ja sam nie ręczę, żeby przyparty okolicznościami nie palnął jakiej mowy do bratniego

ludu... nie podał ręki mojemu pisarzowi prowentowemu który może mnie powiesić... i nie przyjął jakiego urzędu... W ogólności z dwóch stryczków... jednego oddalonego a drugiego bliskiego, zawsze się ten wybiera, który jak najdalej ukazuje się na horyzoncie.

Dziwnie, zaprawdę dziwnie ci się wydawać może iż ja, ja! nie będąc z powołania patryotą, znany z kosmopolityzmu i obojętności namawiam cię do burdy... ale cóż u kata! muszę być logiczny! Znajduję że kochać się powinieneś póki jesteś młody i przejść przez wszystkie szale i głupstwa młodego wieku... Mam tylko nadzieję że ty z tego wyjdiesz cało... Zwykle majątniejsi zawsze niemal umieją się wyśliznąć, ofiarą pada tłum z którego później robią świętych i męczenników na ołtarze ojczyzny.

Szymbor począł się śmiać... mowa ta i niezrozumiała i dziwnie przykra w końcu aż podrażniła Władysława...

— Mój wuju, rzekł... widzę żeś mnie chyba chciał tylko wybadać... nie wiem zaprawdę jak sobie postąpię, ale to wiem z pewnością, że będę wiernym kraju synem. Mogę zbłądzić, z dobrej woli obowiązków moich nie zdradzę.

Szymbor mu się uklonił szydersko.

— Byłem tego pewny, więc na teraz dosyć, polityki mam po póty — pokazał na szyję, zrobmyż sobie tę łaskę wzajemnie żeby już o niej nie mówić...

— Z największą przyjemnością — odpowiedział Władek.

W tej też chwili właśnie i panie powróciły do salonu, Halina zaprosiła ich do siebie, rada że przerwie rozmowę w cztery oczy z Szymborem, który przy niej język hamować musiał.

Spodziewano się na obiad Dziadunia, ale przybycie biednego Beniowskiego z wnuczką, których przez litość choć na jeden dzień zatrzymać było potrzeba dla spoczynku, wstrzymało go w Rajwoli, choć serce się rwało do kochanego jedynaka, którego jeszcze wyegzaminować nie miał czasu.

Napisał więc z rana kartkę zapraszając z Zarebia wszystkich do siebie, ale Halina skutkiem wzruszenia doznanego po przybyciu syna czuła się niezdrową, syn jej opuścić nie chciał, wysłano więc Sierkierkę, który rad był bardzo że w ten sposób zbliżenia się do Szymbora uniknie.

Antek przybywszy do Rajwoli zastał tam Beniowskiego, którego raz już był widział i śliczną Hanne, uspokojoną, wesołą, sto razy jeszcze piękniejszą...

Wrażenie jakie wczoraj uczyniła na Władka, powtórzyło się silniej może jeszcze na nieprzystępnem dotąd podobnym uczuciom sercu Antka, który je tak pohamować umiał, żeby się go był nikt w świecie nie domyślił. Sierota, dziecię wioski i ludu znał on dobrze, iż w tem społeczeństwie do którego był przypuszczony widzem tylko miał pozostać i świadkiem... jeżeli nie chciał narazić na ciężkie próby godności swej człowieczej, miłości własnej i serca. Nabył tej plebejuszowskiej dumy czasem śmiesznej i przesadzonej jak arystokratyczna, ale w nim skromnej i cichej, był dla wszystkich z wyszukaną grzecznością lecz nawet nęcony nie zbliżał się do nikogo, nikomu serca nie otworzył... Wśród najżyczliwszych nawet wydawał się zimnym i sztywnym, co mu za złe miano, lecz biedny chłopak czuł że tylko trzymając się sam zdała, potrafi innych w przyzwoitej utrzymać odległości.

I teraz też gdy śmiała, naiwna Hanna spojrzała nań z dziewczęcą ciekawością, gdy poczęła z nim rozmowę, zbliżyła się do niego... oczarowała... Antek choć pod urokiem jej cały, nie zmienił twarzy, głosu, nie dał się sobie spoufalić z nią, ani nazbyt napawać tym czarem...

Dziadek dowiedziawszy się o przybyciu Justyny

i Szymbora do Zarębia... pokiwał głową i wedle obyczaju swego gdy miał co ważniejszego do roztrząsania, poszedł do swego gabinetu, aby tam sam na sam przechadzając się... rzecz dobrze ze wszystkich stron rozebrać.

— Tak, rzekł do siebie w końcu — nie wiem gdzie miałem głowę wczoraj! postąpiłem sobie jak niedoświadczony młokos... popełniłem niedarowaną omyłkę! Truteń ten sam wczoraj przyjechał prosić mnie o pieniądze na podróż! a jam mu ich odmówił. Mógłem położyć za warunek aby sobie zaraz odjechał... potargować się — ale czy się godziło odmawiać gdy Władek nadjeżdża... a Szymbor umyślnie, na złość i przekorę psuć go będzie i jadem swoim zatruwać. Przestrzegałem chłopca nieraz — lecz przez poszanowanie węzłów rodzinnych, nie mogę wuja przed nim zbyt oczerniać — nie lepiejże się go było pozbyć!!

Uderzył się w czoło.

— Ślepy jestem! głupieję! Niechby było lichogrosz brało, byle mój chłopak był cały... Zapłacić trzeba, wykupić się, niech jadą, niech jutro jadą, — co rychlej to lepiej.

Bez namysłu Dziadunio usiadł do listu, a że do Szymbora nie pisywał nigdy, wystósował go do

Justyny, przepraszając za wczorajsze odmówienie, gderząc trochę na rozrzutność, ale prosząc w ostatku aby przyjechała z nim pomówić, ile na tę podróż potrzebować będą.

Kartkę tę napisawszy, oderwał Antosia od miłej rozmowy z Hanną, gdyż Beniowskiemu dał był dla zabawy nową podróż do Madagaskaru... i przywołał go, przepraszając gości, do gabinetu.

Znał dobrze młodego chłopaka serce i przywiązanie do całej rodziny, zasady poczciwe, gotowość do poświęcenia się bez granic... postanowił więc zwierzyć mu się nieco.

— Antku kochany, dziecko moje — rzekł kładąc rękę na jego ramieniu... dla mnie ty jesteś jakby członkiem naszej rodziny... kocham cię jak wnuka... ufam ci... Nie zdziwisz się więc gdy od ciebie zażądam dowodu przywiązania dla nas, w które najmocniej wierzę..

Antek wzruszony, wlepił w starego oczy bystre, pytające — jakby natychmiast miał biedz gdzie mu każą, w ogień czy w wodę.

— Będę z tobą mówił otwarcie — dodał stary... Jesteś przyjacielem, towarzyszem, powiernikiem, jakby starszym bratem Władzia... kochasz go.

— I kocham go i szanuję.

— Tymczasem kochaj go tylko a mocno, będzie tego dosyć — kończył żywo Szambelan. — Czego jemu jeszcze powierzyć niemogę, powiem tobie bez ogródki. — Wuj Szymbor bądź co bądź należy do rodziny, Władek go musi szanować... nie powiem jemu, zwierzę tobie że to jest wróg jego ojca zacięty i łotr mości panie — łotr z pod ciemnej gwiazdy... Nie uprzedzam cię, nie z gniewu mówię ale z potrzeby... winienbym może powiedzieć więcej niż łotr... ale do czasu się wstrzymam... Człowiek bez czci i wiary, życia najgorszego, zasad żadnych, podstępny i chytry nad pojęcie. Jego towarzystwo, rozmowy, rady mogą nie dobrze wpływać na Władka. Przewrotny Machiawel gotów go psuć naumyślnie... bo złe dobrego nie cierpi i radoby i je przerobić na obraz i podobieństwo swoje... Proszę więc ciebie, pilnuj! ostrzegaj! odwracaj! ratuj! masz wpływ na niego... odwódź...

— Uczynię co tylko będzie w mej mocy, rzekł Antoni — sam poniekąd domyślałem się tego niebezpieczeństwa. Ale wpływ rówieśnika, .. i rówieśnika w mojem położeniu... nie może być wielki... Zwłaszcza gdy ma przeciwważyć inny osoby starszej wiekiem i świetniejszej wychowaniem. Władek najpoczciwszy chłopak ale gorączka, namiętny...

— A tak! gorączka! namiętny! ogień w nim gore... uważałem to i tego właśnie się lękam. Mityguj go, opamiętać się staraj... czuwaj nad nim, proszę cię.

— Zrobię co każe serce i powinność, rzekł Antek — czy się to zda na co? nie ręczę.

— Na miłość Bożą — jeźliby co złego było... jeźlibyś dostrzegł najmniejsze skrzywienie, cień niebezpieczeństwa... błagam cię — ostrzeż mnie...

Szambelan spojrział w tej chwili na Antka, który się mocno zarumienił, chwycił go za rękę silnie.

— A! przepraszam cię! zawołał — nierozumieniem tego zażądał. Czuję że nie możesz być denuncyantem przyjaciela — wiem! rozumiem, szanuję, pochwalam ten skrupuł. Spuszczam się na twoje sumienie — uczynisz co ci ono podyktuje...

I uściskał Antka ze łzami... Nie powiedzieli słowa więcej, wyszli do Beniowskiego i Hanny. Mimowoli uległ władzy niewieściego uroku Siewierka i choć był powinien odjechać natychmiast, pozostał przykuty obok pięknej dziewczycy, która z nieopatrnością wiekowi właściwą, nieświadoma wrzeń jakie czyniła, rada była rozmowie...

Mówili o wszystkim, o ogrodzie, o wsi, o życiu, o Bogu, o nieśmiertelności, o ludziach, o uczu-

ciach... bo młoda rozmowa jest jak ptak co pierwszy raz z gniazda wyleciał, puszcza się, spada, bije... byle skrzydeł spróbowała. Oboje mieli długo pielegnowanych myśli zapasy ogromne...

— Któż to taki jest? zapytał Beniowski Dziada, widząc wnuczkę tak zajęłą młodym człowiekiem.

— To jest mój wychowaniec, od kolebki towarzyszył i przyjaciel Władysława... Wkrótce zostanie doktorem i wstydu nie uczyni powołaniu.

— Doktór? spytał król... to się doskonale składa... zrobię go moim nadwornym... a że go tu nie nie wiąże pojedzie ze mną do Madagaskaru... tylko czy nie znajdujesz że się nadto przysiąda do przyszłej królowej?

Dziad się rozśmiał...

— Młodzi są... niewinna rozmowa... dajże im pokój.

— Niewinna, zapewne, rzekł król, ale ja o Hannę się zawsze obawiam... przeznaczając ją dla pretendenta.

— Daj im pokój, niech się zabawią, pojedzie zaraz i twoja przyszła królowa więcej go pewno nie zobaczy.

W istocie Antek choć mu tu bardzo było do-

brze, choć się dziwnie rozumiały ich dusze i go-
dziły przekonania, przypomniał sobie, że powinien
był powracać i wkrótce towarzystwo pożegnał. Pię-
kna Hanna podając mu rękę, spojrzała nań czulej
może niż na Władka, bo jakoś poufalej z nim się
przez tych kilka godzin poznałomiła — odważyła
się szepnąć:

— Jeżeli pan będziesz w Kaliszu, nie mińże
dworku profesora Beniowskiego.

Siekierka się zaczerwienił mocno, wybełkotał
coś niezrozumiałego, przeciwko obyczajowi nowemu
pocałował ją w rękę i poleciał.

List Dziadunia doszedł dopiero nazajutrz rano
do Krymna. — Dostrzegłszy posłańca, Apollinary
którego oku nic w domu nie uchodziło, poszedł
zaraz do żony dopytywać o treść jego. Spotkał Ju-
stynę w progu pokoju z twarzą rozpromienioną,
śpieszącą się z nim podzielić dobrą wiadomością.
Spodziewała się że mąż będzie nią zachwycony,
ale Szymbor list raz i drugi odczytawszy, brew
zmarszczył, usta wykrzywił i oddając go żonie,
rzekł zimno:

— Po czasiel! nie potrzebuję pieniędzy od starego kutwy, odmówił mi ich stanowczo, dwa razy prosić nie zwykłem... Nie jest to ani zmiłowanie nad nami, ani lepsze uczucie, ale rachuba szczwanego lisa. — Rozumiem dobrze starego filuta... ofiara to obelżywa uczyniona po namyśle, ze strachu i wiem z jakiego powodu! Ma mnie za parszywą owcę i boi się bym mu jedynaka nie zaraził... Nie zje mnie w kaszy tak łatwo! Stary po niewczasie mądry... dobrze! Jedź waćpani do niego, jedź... bierz pieniądze na podróż ale — *dla siebie*. Ja nie jadę... posłuszny wnuczek będę na razowym chlebie oszczędności robił.

Rozśmiał się sucho zacierając ręce.

Dla pani Justyny ta podróż... a jeszcze bez męża... z marzeniami... swobodna, tak była pełną niestety, że się uszczęśliwiona samą jej myślą zarumieniła... Dla przyzwoitości wszakże wypadało się nieco opierać; poczęła go namawiać z sobą... Szymbor rozśmiał się cynicznie.

— Droga pani moja! zawołał półgłosem, po co te krzyki — nie pierwszy rok żyjemy z sobą, znamy się dobrze... pocóż... te ceremonie, w które wiesz że nie uwierzę, boby to było nienaturalnem, ażebyś życzyła sobie za towarzysza nieznośnego

prawowitego małżonka. Ręczę ci, że będziesz bardzo rada podróżować sama... Jedź! jedź! baw się, używaj, a mnie zostaw przy moich strategicznych planach... Ja na tym starym, który mnie nienawidzi, którego ja nie cierpię — pomścić się muszę... zagryzę go.

— Tego wszystkiego nie chcę wiedzieć, ani się domyślać — odpowiedziała Justyna. Bolesne czasem są twe żarty... gdybym do nich oddawna nie nawykła... Nie dyktuję panu jego postępowania, bo wiem, że chyba na przekór żądaniu byś zrobił, ale życzę pamiętać, że od Dziada nasza przyszłość zależy.

Szymbor zaświstał.

— Właśnie w imię tej przyszłości walczę... proszę mi to zostawić.

— Nie pojedziesz więc ze mną?

— Nie — przybędę później... może — to zależy... nie wiem...

Tak się rozstali. Szymbor tylko śmiejąc się znowu szepnął coś na ucho żonie, wywołał rumieniec, gniew i oburzenie — i uciekł.

Justyna pojechała do Rajwoli, zastała tam już Halinę, Władka, Siekierkę, ale Beniowskich nie było, wnuczka odzyskanego starca zawiozła do domu.

Znalazła się chwila, w której Dziadek mógł zaprosić ją do swego pokoju.

— Mąż twój, rzekł podając jej krzesło, daruj mi — jest do zbytku niepoprawnym rozrzutnikiem, ty także lekceważysz grosz, który ci trudno przychodzi. Nie dziwuj mi się, że w pierwszej chwili, podrażniony odmówiłem. Po wyjeździe waszym żal mi się ciebie zrobiło, chcę pomódz do kuracyi, powiedz ile wam pieniędzy na tę nieszczęsną wędrówkę potrzeba.

— Ja... prawdziwie nie wiem — odpowiedziała Justyna. Mój mąż uczuł i wziął do serca wczorajszą Dziadka odmowę, podróży się wyrzeka i jechać nie myśli... ja chyba sama bym musiała...

Dziadek dźwignął ramionami i cofnął się o krok zdziwiony...

— Jak to? chciałby się zastosować do mojej — rady?

— Tak jest Dziaduniu.

— A ciebie samą jedną, chorą z domu wyprawić — to nie może być!

— Zdawało mu się, że to było życzeniem Dziadka, choćby dla samej oszczędności.

— Ale tu idzie o przyzwoitość, o ludzi! o ciebie — przerwał stary... Nie wiedzieć dla czego... porzucić cię nie wypada, nie godzi się — nie można...

A po chwili dodał ciszej:

— Znasz go dobrze... niepoprawny szafawika, babiarcz... pewnie już sobie jakie bałamuctwo namotał i napiął jakąś sprawkę... Cóż to jest! coś to jest... uważaj, nie bez kozery!

— Ja na to nic nie poradzę, z chłodną rezygnacją odpowiedziała Justyna, tu czy gdzieindziej, gdy zechce, znajdzie sobie z kim się bałamucić. — Przyznam się Dziaduniowi, że otrzaskana z tem, prawie wolę to bałamuctwo, w jego wieku nie bardzo groźne, niżeli pokusę zielonego stolika u wód.

Dziadek się smutnie zadumał.

— Niech lepiej jedzie, niech jedzie rzekł, namów go, poproś, tak każe przyzwoitość.

— Wątpię żeby mi się dał namówić... gdy sobie co postanowi jest uparty...

Stary widocznie wypadkiem rozmowy był podrażniony, rozumiał on co to znaczyło; i jeszcze groźniej przedstawiał się upór Szymbora; postanowił więc dać tyle pieniędzy żeby szafawikę skusić niemi do podróży.

— Jak ci się zdaje, zapytał — wiele wam obojgu potrzebaby na tę drogę?

— A! prawdziwie nie wiem, teraz wszędzie

wszystko tak kosztowne... a szczególnie u wód...
zdzierstwo jest niesłychane.

— Gdybym wam dał tysiąc talarów? cicho odezwał się Dziadek.

— A! Kochany Dziaduniu! na nas dwoje... Ja sama muszę się cokolwiek ubrać, nic nie mam, na wsi się opuściłam, przejazd, pobyt — powrót.

— No! nie będę żałował, dam ci dwa... Bóg z tobą — przerwał stary... ale mi to zrób żeby z tobą mąż jechał, nie lubię tego żeby on cię rzucał samę. Ludzie patrzą, wnoszą, gadają... Jedźcie razem.

Justyna z lekka się zarumieniła, Dziadek żywo poszedł do biórka, dobył z niego dwie paczki stutalarówek pruskich i wcisnął je bez dalszych wywodów w ręce Justyny...

— Daj Boże na zdrowie — odezwał się. Czasem sobie od ust odejmuję, byle wam więcej zostać... tylko daremnie trwonić nie trzeba... oszczędzajcie, proszę.

Nie słuchając podziękowań, nie czekając odpowiedzi — powtórzył:;

— A jedźcie razem — jedźcie razem... ty jak zechcesz dokazać tego powinnaś.

Tak się skończyła poufna rozmowa z wnuczką, która krótko zabawiwszy odjechała. Halina ze swem

towarzystwem pozostała dłużej... Dziadek od rana czytał na Władka... nareście pod pozorem [poka- zania mu jakiejś książki] pochwycił go do swojego gabinetu na konferencyą.

Wiedzieli wszyscy, że gdy Dziadunio brał kogo do pokoju osobnego, albo mu podarek dał lub burę... a zawsze był to wypadek niemałej wagi, jak prywatna audyencya na królewskim dworze...

Zamknąwszy drzwi stary go naprzód uściskał serdecznie... — Słuchajno Władku, rzekł... pogadajmy my z sobą trochę na cztery oczy, od przy- jazdu cię złapać nie mogłem... a potrzebuję cię wyspowiadać...

— Stoję przygotowany choćby do najściślejszej spowiedzi...

— Lubisz naukę?

Władek się uśmiechnął.

— Bez namysłu a szczerze... dodał Dziad...

— Lubię — odparł młody chłopak — ale namię- tnie jej nie kocham...

— Tak! jak wszyscy wy dzisiejszego wieku u- rodzeni pod tym jakimś wpływem gwiazd, który usposobienie zmienił.

— Lubię ją jako potrzebną do życia.

— Rozumiem, *propter utilitatem* ale nie dla niej samej.

— A Antek? spytał Dziad...

— Nie wiem, zdaje mi się że on mnie w tem przechodzi.

— Poczciwy jesteś... niech cię pocałuję... A z nauk wszak te lubisz które najmniej kosztują mózgu?

— Zapewne... nie będę się przechwalał... rzekł Władek... nauka dla nauki nie jest mojem powołaniem...

— Tak! tak... a bodaj i całego waszego pokolenia — westchnął stary. Radbyś się co rychlej rzucił na burzliwe fale czynnego życia... co będziesz robił?

— Zdaje mi się że los mi wyznaczył zajęcie, gospodarstwo... życie obywatelskie.

— Tak, przyzwoite próżniactwo... *otium sine dignitate*, chociaż z pretensjami do wielkości. Tak! tak! obywatelstwo! powołanie obywatelskie! chociaż żal mi cię na to... ale i tu użytecznym być można.

— Czyby Dziadunio życzył sobie co innego?

— A cóż to pomoże gdyby sobie życzył, jeśli ci natura nie dała popędu do czego innego!! Jesteś skazany na bezmyślne brodzenie w tym obywatelskim żywocie... spodziewam się że przynajmniej

pojdziesz jakiej wagi rolę i tu młody, pracowity człowiek odegrać może i powinien... Z czasem... obszerniej o tem, na dziś dosyć.

Mam ci mówić o rzeczy drażliwej dodał Dziadunio. — Nie jesteś już dziecko, spodziewam się że mnie zrozumiesz tak jak ja pojętym być żądam... Trudno mi nieco wytłumaczyć ci dla czego nie życzyłbym sobie, ażebyś zbyt blisko, nadto często i poufale zadawał się z Szymborem. Jest to właśnie wzór obywatela jakim ty być nie powinienes... Nie ma tak dalece nic przeciwko niemu, człek gładki jak moneta wytarta co zbyt długo chodziła po rękach — świata wachał, ludzi zna, w głowie nie źle choć mu to się na nic nie zdało... w gruncie... brak mu zasad, sceptyk we wszystkim, a gawędy jego nie są zdrowym dla młodego pokarmem. Mówią że górale przywykają do arszeniku, do wszystkiego można przywyknąć... ale niekoniecznie potrzeba zbyt się oswajać z trucizną. Nie dawaj mu się ani poufalić z sobą, ani zbyt powodować...

Wierz staremu — najświeższy owoc przy nadgniłym leżąc psuć się musi. Nie mówię żeby on tak znów... miał być zepsutym... ale lekkomyślny jest, zużyty, skwaśniały... bodaj czy duszą nie starszy odemnie, cobym mógł być ojcem jego...

Przy tem bałamut, kobieciarz... czego nie lubię... bo kobieta świętą być powinna dla uczciwego człowieka... Otóż mój Władku... lękam się by cię lekkością swoją nie zaraził.

— Kochany Dziaduniu — odpowiedział Władek — za przestrogę wdzięczem bardzo jestem i zastępuję się do niej o ile się to da uczynić nie uchylając wujowi... Z drugiej strony zdaje mi się że na mnie podzielać nie łatwo.

Dziadek uśmiechając się ucałował go znowu.

— Dziecko moje kochane — każdemu się tak zdaje, a wszyscy wpływom ulegamy złym i dobrym bezwiednie. Musimy oddychać powietrzem które nas otacza, myślami które się cisną, bronimy się, krztusim i połykamy. Nie trzeba w życiu żadnego kroku lekceważyć sobie — bo najmniejsza rzecz ma częstokroć największe dla przyszłości znaczenie.

O tych aksjomatach starość wie tylko, młodzi je lekceważą i padają ofiarą zuchwalstwa swego.

Zresztą mój Władku, dokończył, ufam że ci się nic złego nie stanie... Bądź mi przyjacielem, miej ufność we mnie, w złym razie nie wstydź się przyznać do błędu i żądać rady... znajdziesz w tej piersi zawsze serce ojca...

Władek pocałował go w rękę rozczulony.

— Tacy ludzie jak Szymbor, dodał z cicha Dziadek... im większą w młodych widzą wiarę, szlachetność, tem ich goręcej starają się podobnemi do siebie uczynić... a przyznam ci się że gdybyś nawet miał razem odziedziczyć cały dowcip Szymbora... nie życzę sobie abyś jego lekkość, płochość nabył, sybarytyzmu i cynizmu...

Wasze pokolenie lepszem być powinno moralnie, choćby nawet naukowo niżej stanąć miało... Po encyklopedystach co to umieli wszystko, nie w istocie nie umiejąc, przychodzicie wy ludzie specjalniejsi, mniej świetni, mniej z ogółem rzeczy oświadczeni... ale na dzisiejszy czas potrzebni...

Nic ci więcej nie mam do powiedzenia Władku — tylko, bądź ostrożny, nie zbyt ufny... zachowaj dlań przyzwoite względy... ale myśl zawsze czy to co ci doradzi istotnie dobrem dla ciebie...

To mówiąc Dziadek drzwi otworzył i wyprowadził Władka do salonu...

Dawne posiadłości Szymbora, które wkrótce po jego ożenieniu przeszły spadkiem na wierzycieli, i sąsiednie wioski Zegrzdów leżały — na granicy

Kongresowego Królestwa od Ks. Poznańskiego. Nie-
litościwa linia podziałowa przekroiła je tak, że nie-
które folwarki pozostały w tem co się nazywało
Polską, a inne w tem co się już nią nazywać nie
śmiało. Stosunki jednak prawami sąsiedzkimi za-
bezpieczone były dość łatwe między rozbitymi czę-
ściami fortun. Obywatele odwiedzali swe gospo-
darstwa, a oddzieleni od Prus mieli także przyjem-
ność widywać u siebie kozaków i celników moskiew-
skich — napadających na dwory pod pozorem kon-
trabandy. Życie to na rubieży miało swe wygodki
i niedogodności razem — cygara pruskie i niespo-
dzianki kałmuckie.

Krymno, majątek Szymborów, wchodziło długim
pasmem lasów w Poznańskie, a łączyło się niegdys
ze spadkowym Szymbora kluczem... z którego zo-
stały tylko drogie sercu wspomnienia. — Zapłacił
on za grzechy młodości i dojrzałego wieku. —
Uratowane z kataklizmu przeniósł na nową siedzibę
p. Apollinary tylko portrety familijne których sprze-
dać nie było podobna, kilka siodeł, coś strzelb, pró-
żną szkatułkę i sepecik staroświecki misterny, prze-
robiony kunsztownie na pudełko do cygar... wedle
pomysłu jego własnego...

Wzdychał czasem Szymbor do owych dóbr, tak

złorzeczając losom — jak gdyby ich sobie sam nie zgotował. Upokarzało go to wielce że siedział, jak to u nas mówiono na fartuszu i na łasce pani dobrodziejki, w dobrach które jej były przeznaczone, ale nie oddane prawnie.

Miał wprawdzie oddaloną... słabą nadzieję podźwignięcia się kiedyś sukcesyą po bracie matki, staruszku bezdzietnym, zniemczałym, zdzieciniałym, skąpym i bogatym... którego rzadko widywał, śmierci jego co wiosna i co jesień próżno jakoś dotąd wyglądając. Baron Henryk von Lesky mieszkał w Berlinie; nosił się po staroświecku i żył hodowaniem kanarków, którym życie poświęcił. Szymbor ile razy go odwiedzał, musiał obchodzić wszystkie klatki i wysłuchać statystyki zniesionych jaj, wysiedzianych piskląt itp. Nie bardzo go to zajmowało... ale von Lesky miał dochodu od 25 do 30,000 talarów... i nikogo z rodziny prócz niego!!

Po powrocie żony z Rajwoli i odebranej wiadomości o ofiarowanych jej wspaniałomyślnie dwóch tysiącach talarów... z których Justyna mężowi nic dać nie mogła — zapowiadając że ma długi i nadzwyczajne wydatki... Szymbor kazał się jej wybierać w podróż... przyrzekając że przybędzie do niej później, a raczej do talarów Dziadunia.

Pani Justyna ociągała się zrazu... ale pokusa podróży przemogła... wyjechała... W parę dni potem Szymbor, dawszy Władkowi odetchnąć wysłał doń następującą karteczkę.

„Kochany Władku! — Nie przyjmuję żadnych wymówek — powagą moją wujowską, żądam i nakazuję ażebyś przybył do Krymna na dni parę. Urządziłem polowanie przepyszne i chcę się tobą nacieszyć, nim wyjadę do wód. — Czekam na ciebie punktualnie jutro... i rachuję że mi odmówić nie możesz... Matki twej rączki całuję.“

Odebrawszy kartkę tę Władek trochę nierad, zakłopotany — poszedł z nią do matki.

— Niech Mama powie, co ja mam robić? Dziadunio sobie nie bardzo życzy ażebym często bywał u wuja Szymbora — a jakże tu odmówić?

Matka spojrzała na bilecik i oddając go synowi, rzekła:

— No — ten jeden raz — pojechać tam potrzeba... gdyby częściej zapraszał możesz się czemś złożyć i odmówić — Dziadek w tem jak we wszystkim słuszość mieć musi... ale na ten raz zdaje mi się nie podobna odmawiać. Ja też wytłumaczę. Jedź i wracaj.

Władek smętnie poglądał na matkę i list.

— Przyznam się — odparł — że wołałbym nie jechać... W dodatku nie ma tu najmniejszej wzmianki o Antosiu. — Znam go że nie zaproszony jechać nie zechce... Jest to prawie uchybienie mnie, bo Antka kocham jak brata...

— Ale ręczę ci, przerwała matka że Antek szczęśliwy będzie znalazłszy pretekst do uwolnienia się od niemiłych odwiedzin.

— Mam więc jechać?

— Jedź, a powracaj co najrychlej... nie lubię polowań w ogóle...

Władek odszedł, spróbował Antosia namówić z sobą na własną odpowiedzialność, ale chłopiec odmówił stanowczo.

— Jak tylko mogę nie jechać to nie jadę! zawołał, zróbcie mi tę łaskę, nie nalegajcie... Co ja tam z sobą pocznę — im przyjemności nie przywiozę, a sobie jej nie uczynię.

Nazajutrz rano Władek kazał sobie konia osiodłać, wziął ubiór myśliwski i popędził do Krymna. Strzelec wioził przybory łowieckie na wózku.

Spodziewał się znaleźć tu już zwykle towarzystwo myśliwców — ale nie było nikogo — czekali na niego ze śniadaniem, bryczki stały pozaprzegane przed gankiem. Szymbor był wesół, ręce zacierał,

wydawał rozkazy, przyspieszał wyjazd i oznajmił iż będą musieli przejechać granicę, gdyż otrzymał pozwolenie zapolowania w lasach dawniej swoich w Prusach, gdzie zwierzyna daleko lepiej była zachowana.

— Nie ma polowania jak tam! zawołał — zwierzyna strzeżona, liczona, pewna, bory dobrze utrzymywane... a ja znam tam od dzieciństwa każdą knieję i ścieżynkę którą chodzi sarna... Wiem, gdzie czego szukać.

Siadali już, gdy Szymbor rozkazał dać znać do Zarebia, żeby się nie spodziewano Władka, chyba za dni parę i żeby on byli spokojni.

— Jakto wujaszku? — zaprotestował Władek.

— Tak — inaczej być nie może — zawołał Szymbor — nie ustąpię od tego!..

Nie słuchając protestacyi rozkazał koniom ruszyć... a młody człowiek pomyślał sobie w duchu że to będzie raz pierwszy i ostatni.

Wkrótce przebyli granicę bez trudności, droga wiała się krajem lasów, okolicą dosyć pustą, Władkowi całkiem nieznaną. Było już dobrze z południa, gdy jeszcze owego myśliwskiego stanowiska nie dosięgnąwszy — musieli koniom wypocząć w małej lichiej karczemce... ale w bryczkach się znalazło

wino i mięso... Szymbor był ciągle w najlepszym humorze, dowcipkował, bawił... tylko o polowaniu jakoś unikał wspomnienia.

— Dokądże my jedziemy? zapytał go w końcu Władek.

— Do lasu, odpowiedział Apollinary enigmatycznie — ale dzisiaj wypadnie nam podobno gdzieś zanoćować pod borami i dopiero jutro szczęścia spróbujemy... Myślę — dodał, że co mamy się w oberży nudzić wieczorem, to sobie bez ceremonii pójdziemy na gawędkę do dziedzica. Dawny to mój znajomy. Choć Niemiec ale człek z głową wcale niepospolitą, bywalec... wykształcony i do tego Herr Ministerialrath...

— A po co nam ten kłopot robienia niepotrzebnych znajomości! przerwał Władek.

— Jużciż musimy pójść choćby dla tego żeby mu za pozwolenie polowania podziękować — rzekł Szymbor, bo jego lasy plądrować będziemy.

— No — to wuj ale ja? Nie jestem nawet ubrany właściwie, zostanę w oberży.

— Nie, pójdziesz ze mną, bo cię o to proszę... uparcie rzekł wuj. — Ubranie u nich nic nie znaczy — na wsi się na to nie uważa... Masz *von* przy nazwisku które stanie za frak. — My w na-

szych szlacheckich dworach mało do tego wagi przywiązujemy... a Niemcy... to i mówić niema o czem.

Pod wieczór zbliżyli się nareście do oddawna obiecywanych Borkowiec, z których niegdyś się Szymborowie pisali. Jedna nawet gałąź rodziny wyszła ztąd z nazwiskiem Szymborów Borkowieckich.

Główne to fundum przeszedłszy w ręce nowego posiadacza, urzędownie na nowo też zostało ochrzczone i na tym chrzcie germańskim otrzymało dźwięczne imię Waldau... chociaż wieśniacy upierali się je nazywać jak niegdyś po staremu. Tytuł nadany polskiej ziemi przez właściciela Niemca był martwą dla ludu literą, a gdy go zmuszono do nowej nazwy, przerobił po swojemu Waldau na Wałdowo. Miała więc wioska dzięki tej manipulacji aż trzy nazwania, nie licząc tego co jej przyszłość obfita w niespodzianki przynieść mogła... Któż wie? Moskale w razie jakiej rektyfikacji granic mogli z Borkowiec i Waldau zrobić sobie Nowy Rianzań lub Nową Tułę...

Ale daleko łatwiej dogodzić tej fantazyi przyzwania, niż zatrzeć ślady przeszłości.

Uczyniono wprawdzie w Borkowcach co tylko było można aby tak zwany stary polski nieład na niemiecki zmienić porządek — dotąd jednak z pod

nowej skorupy sterczały suche piszczele przeszłości...
Z resztkami wiekowemi szło opornie.

Stary dwór szlachecki, niegdyś splondrowany i spalony przez Szwedów, potem za Sasów odbudowany — opuszczony znów w ostatnich latach bo zgorzały od pioruna — z którego tylko kilka ścian pozostało dla nowego dziedzica — zmieniony na całę porządną kamieniczkę piętrową, która miała wielką ochotkę nazwać się pałacikiem, ale pałacyk potrzebuje pewnego otoczenia, którego tu brakło.

Stała ona małym oddzielną podwórkiem w pośrodku zabudowań gospodarskich i fabrycznych ciągnących się do koła liniami symetrycznymi i skupionych ku wzajemnej pomocy.

Budowy te nowe, masywne murowane pod blachą i dachówką, opatrzone konduktorami, były co się zowie brzydkie ale nadzwyczaj praktyczne.

Zbliżenie ich oszczędzało wiele czasu i pracy. Tu i owdzie wśród tych nowych przybyszów zamięszał się jeszcze niedobitek z dawnych czasów. W ogrodzie i dziedzińcu dumały stare osierocone lipy pozostawione szczególną łaską i popodpierane altankami, z boku lamus staruszek z głową obłysiałą czekał przerobienia lub rozbicia. Osadzono go tylko bluszczami jak się stroi na śmierć wiedzioną ofiarę...

niewielko głębiej kaplica której kopułka ponad drzewa się wznosiła, nie tknięta ale pusta dożywała dni swoich. Tymczasem składano w niej sprzęty ogrodnicze i gospodarskie. W jesieni suszono tam owoce... zakrytya mieściła czasem wałtuchy z wełną...

Stare ścięte grusze ogrodu zastąpiły nowe drzewa... Jedna tylko smolanka, kwaśna i skarłała wydająca owoce oszczędzoną została dla Lauby którą ocieniać miała. W miejscu sadzawek zagniłych i kanałów pozasuwanych, porządne ścieki rozprowadzały różne produkta zwierzęce... ku zakładom w których ostateczne odebrawszy wychowanie szły na pola spełniać funkcyę sobie właściwe, niebyło to zbyt wonne ale pachniało talarami.

Antenaci Szymbora nie wiele myśleli o porządku i pożytku, więcej o wygodzie i dorywczych przyjemnościach a nadewszystko o zachowaniu *status quo*, nawet tam gdzie zasadę zachowawczą uosabiały dziury w moście. Za to nowy właściciel korzyści gospodarskie miał na pierwszym celu, a siebie za jedno z narzędzi do robienia grosza na tym warsztacie.

Pomimo to, tam gdzie się coś dla oka i dla smaku zrobić dało bez uszczerbku kanałów, obór, studni itp. nie zapomniano o miłości piękna i estetyce.

Składano im jednak ofiary jak to Grecy czasem poświęcili Bogom sto wołów... z wosku i na maleńką skalę. Ogródek i rabaty były szczuplutkie bo grunt drogi, ale na kilkunastu łokciach umiano pomieścić grootę, fontannę, skalę, pagórek, i kwiaty i nieuniknioną Laubę.

Tam wszakże gdzie mógł rość kartofel dla wysiedzenia młodej generacyi — pewnie go wykwintni próżniacy, krasnawa piwonia i arystokratyczna lilia spędzać nie śmiały — kartofel reprezentował prozę a lilia poezją — proza wszędzie występowała zwycięsko. — Ta oszczędność miejsca i pracy wyglądała śmiesznie w kraju, gdzie pustkowiem i odłogiem leżą ogromne łąny i lasów obszary — ale nie złym może była przykładem... Obowiązek szedł przed liliami, w skromnej sukience kartoflanej.

Około dworu w Nowem Waldau przed fabrykami, oborami, szopami, składami, i coraz szerzej zabudowującym się folwarkiem... przeszłość ustępowała — topniała, nikła.

Z pierwszego wejrzenia na Borkowce poznać było łatwo że tu nowi zamieszkali przybysze, niosący na ramionach epokę nową, nasiona społeczeństwa innego — wyplenający razem z roli i chwasty i poezją... Dziedzic Neu-Waldau, który ze znacznym

zasilkim rządowym, dosyć drogo okupił Borkowce przed laty dziesięciu, zwał się Fryderyk *von Stamm*; nosił on wysoki tytuł ministeryalnego radzcy ale na teraz już *in partibus infidelium*, bo zdawna nie miał z ministrami stosunków a nie radził nikomu prócz sobie, predykat ten był owocem i pamiątką przeszłych zasług, uznanych i nagrodzonych przy jakiejś zmianie systemu i ludzi, ale razem z przeniesieniem na stan spoczynku.

Z tajemniczych obowiązków które dawniej spełniał, przeszedł Stamm na pioniera cywilizacji niemieckiej, wśród tej nieszczęśliwej bezładnej Polski. Mówiono że przy kupnie majątności, owego warsztatu kultury — rząd był mu pomocą znaczną. *Von* dodane do imienia było także nowym dorobkiem, gdyż w młodości znano go pod prostem imieniem Stamma, krótkiem ale wielkich nadziei pełnym. Mówiono że ujrzał światło dzienne gdzieś w prowincjach nadreńskich, w ubożuchnym domku, z którego lekko wyszedł na świat, z mocnem postanowieniem niezamarnowania życia. Natura go obficie uposażyła umysłem bystrym i wytrwałością żelazną, z domu wyniósł tylko jedną zasadę — dobić się bądź co bądź niezależności. Stamm skończywszy szkoły z wielką pochwałą, pieszo *per pedes apostolorum*

poszedł do Bonn, wpisał się do uniwersytetu, a głodem mrąc dobił się stopnia doktora praw. Z patentem w kieszeni, nie wiemy już jak dostał się do Berlina, a że był gotów na poświęcenia bez granic, a przekonani twardej nie przyniósł z sobą, poszło mu nader szczęśliwie. Nauka oświeciła umysł nie tykając serca, i nie przynosząc z sobą innej moralności nad utylitarną. Doktorat w Niemczech choć niewiele już pomaga, nie szkodzi wszakże... a czasem drzwi otwiera. Dano mu zrazu w ministeryum miejsce bardzo skromne; ale raz mając nogę w strzemieniu, rósł już potem pięciuteńko jak na drożdżach. Ze spraw wewnętrznych przeszedł jako urzędnik do szczegółowych, nieokreślonych poleceń na usługi ministeryum spraw zagranicznych. Funkcye które spełniał określić się dobrze nie dawały, nie były okazałe; nie nosiły nawet na sobie charakteru urzędowego, ale jako poufne prędko dźwigały człowieka. Stamm rzadko przesiedział dłużej w Berlinie, znikał na kilka miesięcy, wracał jakby z oddalonych podróży, spoczywał, dostawał nowy predykat lub honorową oznakę i znowu tracono go z oczów na całe miesiące... czasem nawet na lata... Nie musiał jednak doznawać ani zmartwień, ani prywatcyi gdyż wyglądał coraz piękniej a liczba

różnobarwnych wstążeczek przy fraku zwiększała się corocznie. Umysłowo też wykształcił się niezmiernie, nabrał powagi — mówił coraz mniej zmuszony myśleć coraz więcej; zamknięty był nawet dla najbliższych... Stosunki miał tak wielkie i potężne że czasem niemi cudów dokazywał, gdy skłonił się (wyjątkowo) posiłkować w jakiej sprawie. Ale się to trafiało nader rzadko, gdyż kredytu swego dla drugich, jako kapitału... nadwergęzać nie lubił.

Mimo stanowiska jakie zajmował i przyzwoitego utrzymania, Stamm wszakże był dotąd ubogim, nie miał bowiem nic oprócz dosyć znacznej pensyi. Bolało go to, gdyż postanowił był sobie koniecznie przyjść do majątku.

Wyjechawszy za urlopem do rodziny swej nad Ren, Stamm po kilku miesiącach powrócił żonatym, ale przywiezioną żoną chwalić się ochofy nie miał. Przebąkiwano że się ożenił z córką, jedynaczką, nagle jakimś trafem zbogaconego wieśniaka, która ma około stu tysięcy talarów wnieść miała. Złośliwi dodawali że jeszcze przed rokiem doła krowy, co jej w oczach rozsądnych najmniejszej ujmę nie czyniło.

Panna Eleonora czyli Lenora Schmidt (wiadomo że Schmidtów jest tyle ile Meyerów, Vogtów

i Müllerów) w istocie zdawała się raczej do do-
 jenia krów niż do ministeryalnego towarzystwa
 stworzoną. Wychowanie odebrała w gminnej szkółce
 wioski rodzinnej, ograniczające się czytaniem, pi-
 saniem bez ortografii i trochę rachunku... ale po-
 jętego głęboko. Z muzyki знаła tylko tę, którą
 wraz z koleżankami chórem wykonywały na imie-
 niny profesora... literatura szczęściem była jej zupeł-
 nie obcą. Powierzchność nie nagradzała wcale tego
 wychowania ograniczonego do rzeczy niezbędnych —
 była okrutnie brzydką nawet mając lat piętnaście,
 ale za to energiczną i pracowitą.

Nic w niej nie było niewieściego prócz imienia
 przypominającego balladę Bürgera — chodząca ra-
 chuba i niezmordowany trud — żadnych złudzeń,
 marzeń ani cienia, serca ani na lekarstwo; twarde,
 żelazne tylko poczucie obowiązku. Określenie zaś
 jego dawało dawne rodziny ubóstwo.

Słusznego wzrostu, płaska jak deska, chuda,
 zylasta, silna, dziwiła nawet w młodości fizyogno-
 mią przedwcześnie surową i chłodną. Włos miała
 rudy, szorstki i nieobfity na głowie, ale za to zło-
 cisto okrywający napracowane ręce; oczki małe,
 siwe, twarz długą, piegowatą, czoło niskie, szyję
 wyniosłą... te niepozorne kształty kryły w sobie

siłę fizyczną, ogromną, niewyczerpaną, która zdawała się na odżywienie ani snu ani pokarmu nie potrzebować. Nadzwyczaj wstrzemięźliwa w mowie, szczydziła słów, jak oszczędzała grosza — niekiedy wyrwało się jej z ust wyrażenie ostre, dobitne, krótkie — rozprawić nie lubiła. Nie potrzebujemy dodawać, iż metafizycznymi kwestyami wcale się nie zajmowała. Za to od rana do wieczora była czynną, a nigdy jej nikt nie widział z założonemi rękami. Gdy zajęcia brakło, omackiem chodziła z wełnianą pończochą.

Von Stamm był człowiekiem wielce wykształconym, otartym w świecie, czytany wielostronnie, umysłu wcale niepospolitego, powierzchowności miłej — i choć ta towarzyszka nie zdawała się dla niego stworzoną, szanował ją i umiał ocenić. Zastępowała mu rachmistrza, kontrolera, kasyera, nadzorcę, a niekiedy jeszcze kucharkę, szwaczkę i sługę. Gdy około fabryki lub gospodarstwa pokazała się w swej ciemnej sukni i czarnym kapelusiku, ze spuszczonej na twarz skrzydłami — czeladź, urzędnicy, parobcy drżeli na widok jej, wiedząc że baczno oka pani najmniejsze zaniedbanie się nie ujdzie, a kara nie minie nikogo. Kary były poznaczone na pieniądze.

Stamm był zimny, obrachowany, niewiele ce-

niący ludzi, a umiejętnie posługujący się nimi; nie rozczulał się nad niczyją dola — znał świat, słabości sobie doskonale tłumaczył, w danych razach był na nie wyrozumiałym, ale nie pobłażającym — sama jejmość była nieubłaganą — porównywano ją do żelaznych nożyc, w ruch wprawionych, które tną co napadną — równie drzewo jak palce.

Jednak — ta istota tak obrachowana, tak zimna, miała w sercu iskierkę, która gorzała w niem nie gasnąc nigdy: miłość dla jedynej córki.

Iżę... kochał ojciec także, rozkoszował się nią jako doskonałym produktem, matka wielbiła.

W istocie: Iza była może ósmym cudem świata... a przynajmniej ośmdziesiątym. Dała jej naprzód natura to najosobliwsze szczęście, że w niczem do matki nie była podobną, jak anioł piękną... a wychowanie czyniło z niej prawdziwie zachwycającą istotę.

Rozumie się, że odebrała je tak staranne, tak wysokie, jak tylko matka miłością, a ojciec rozumem sięgnąć mogli. Od dziecka miała najlepsze nauczycielki, którym matka z instynktu i wyrzeczeniem się nadzwyczajnem nie przeszkadzała w niczem — potem najlepszym i najsłynniejszym mi-

strzów. Dokończyła świetnego wychowania na najdroższej i najarystokratyczniejszej pensyi w Berlinie. Było to coś nakształt kwiatka w wazoniku pod okiem najbiegłego ogrodnika wyhodowanego. Nie odebrała tego naszego wychowania serdecznego u boku matki, przy jej sercu, wśród rodziny, u ogniska domowego — ale owo oranżeryjne, cywilizatorskie, za szkłem, od którego roślina buja, cudownie rozkwita, dostaje na wystawie medal złoty, i najczęściej potem wyczerpana usycha: tymczasem jednak był to egzemplarz znakomity. Piękna, utalentowana, czytana, rozumna, trochę poetka, malarka, kompozytorka, całą duszą artystka.....; w przyszłości dziedziczka znacznego majątku. Iza miała już lat dobrze dwadzieścia i kilka, a dotąd za mąż nie poszła.

Każdego z pretendentów swoich wyzywała do walki jak owa mytologiczna silnica i pokonawszy z łatwością, gdy egzaminu nie wytrzymał, wyprawiała zawstydzonego z kwitkiem.

Matka nie mogła ani pomyśleć o zmuszaniu jej do niemiłego małżeństwa. Ojciec nie chciał także narzucać i nie było mu pilno ją wydać, zresztą znali ją dosyć rodzice, by czuć że mogła ich posłuchać i nie pójść za tego, za kogoby nie życzyli —

ale razem wiedzieli, że z pewnością ręki nie odda temu, kogo sama nie uzna siebie godnym.

Proszę sobie wystawić jedną z tych postaci, o których śnią malarze, gdy im przychodzi poetyczną jaką ucieleśnić heroinę — dziewczę średniego wzrostu, kibić jak utoczona, kształty klassycznie piękne, ciemne warkocze które rozpuszczone do stóp sięgały, szafirowe oczy wśród twarzyczki pełnej śmiałego, szlachetnego, myślącego wyrazu. Rysy były tak piękne iż uspokojona fizyonomia wydawała się za zimną, przedstawiała ideał nieokreślony indywidualnie, ale gdy życie wstąpiło w to wejrzenie, gdy oko zapłonęło, gdy usta zadrgały i otwarły się, brwi ruszyły nad powiekami... czoło zabłysło ideą, a całe oblicze wewnętrzną duszy potęgą odżyło — nie można się było oprzeć urokowi czarodziejki. Budziła więcej podziwu i uwielbienia może niż uczucia, ale gdy chciała, umiała i czucie wywołać, teorie życia były jej dobrze znane... nadto może.

Człowiek prosty a skromny znalazł by ją za śmiałą, do zbytku zawsze myślącą o tem jak ma wystąpić, nadto artystką w najmniejszym ruchu i słowie, ale artyzm ten był wielkiego stylu i smaku, jeżeli godzi się wyrazić w ten sposób i łatwo mu

było ten aktorski nieco przybór jego przebaczyć. Zdawał się być jej naturą. Nigdy też nikt nie pochwycił jej na upadku ducha, na smutnem opuszczeniu się i zapomnieniu; grała swą rolę, zdając się o niej nawet we śnie nie zapominać.

Często matka, która się tego dziecka nigdy dosyć napatrzeć nie mogła, przychodziła skradając się na palcach aby ją widzieć śpiącą i znajdowała ułożoną do snu z takim wdziękiem jakby za wzór dla malarza służyć miała.

Ta natura artystyczna przebijała się w każdym jej słowie, myśli i najprostszej czynności. Czuła się wyższą istotą i zdawała w sobie piastować duszę wybraną ze czcią i poszanowaniem.

Miała lat dwadzieścia i kilka, nie szła za mąż, nie kochała nigdy — spytacie, czy była szczęśliwą? Najzupełniej. Życie jej tak wypełniała myśl i sztuka, książki, muzyka, praca umysłowa, pragnienie wiedzy coraz nowiej, że serce prawie się do niej odezwać nie miało czasu... Był to zresztą organ podrzędny. Gdy ją znużyły nici, czytanie, muzyka, rysunek, naówczas cicho tylko szepnęła matce: — chciałabym się gdzie przejechać.

I nazajutrz pędziło szczęśliwe dziecko z ojcem do Włoch, Szwajcaryi, do Szkocyi, do Norwegii,

nad jeziora szwedzkie, na wschód, do Ameryki — gdzie zamarzyło — przywożąc z sobą zapasy życia na długo.

Lepszego przewodnika i nauczyciela nad ojca mieć nie mogła. Stamm znał cały świat a pokazywać go umiał..... Tymczasem matka nieznużona gospodarzyła, krzątała się, rachowała, spełniała instrukcje (gdy kierunek główny nie do niej należał) a gdy radzca powrócił, znajdował Waldauskie gospodarstwo na coraz świetniejszej stopie, koszta podróży opłacały się albo suchemi gałęziami z lasu lub jakimiś odpadkami gospodarskimi, o którychby on nawet nie pomyślał.

Gdy pani Lenora została w domu sama, jadła z czeladzią, a czeladź karmiono trochę gorzej od wołów.

Całym zbytkiem tego domu była córka, ale też dla niej nic nie żałowano — ilekroć ojciec chciał uczynić uwagę tyczącą się wydatku, surowe żony wejście zamykało mu usta. Dla Izy nic nie było za drogie, za kosztowne, każda jej fantazyja musiała się zmienić natychmiast w rzeczywistość.

Ale też Iza nie miała wymagań nadzwyczajnych, nie można jej było nazwać dzieckiem zepsutem — chyba geniuszkiem który grzecznie się obchodzi ze

śmiertelnikami — choć dobrze wie że jest od nich szlachetniejszej, wyższej natury.

Śmiano się nieraz w Europie z naszego życia wiejskiego, z tych przyjęć tak gościnnych na które już Kochanowski narzekał, z otwartych na oścież domów, które nieustannie wędrującej szlachcie tygodniami, miesiącami... służyć musiały za przytułek... Ale było też coś dziwnie szlachetnego i pięknego w tej nieoględności i zbytku; pochwalić go nie można a uczcić potrzeba. Gospodarz stawał się sługą, wszystko co najlepszego dom miał składano przed gościem którego Bóg zsyłał. W wielu dworach to miejsce u stołu dla przybysza stało nakryte zawsze, świadcząc o gotowości spełnienia obowiązku, który był w obyczaju, tradycyi i poszanowaniu. Biada szlachcicowi który choćby tylko gościnne konie do gospody odesłał, a ludzi nie nakarmił i dworu.... Nowy ten zwyczaj, który się z austeryami po wsiach narodził, wywoływał oburzenie powszechne.

Gdy zabrakło gościnnych pokojów, a pora nie dozwalała umieścić w szopie lub lamusie na świeżem sianie, słano pokotem po pokojach. Zwykli

do obozów i niewczasów przyjezdni nie narzekali na niewygodę.

Dziś się to już wielce zmieniło, zostało tylko w pamięci, ale przed nie wielu jeszcze latami parzialiśmy na dwory i ludzi w których nigdy obiad nie był bez gościa. Bogaty i ubogi równie serdecznie bywał przyjmowany, czy poszóstno przyjechał czy pieszo przywędrował....

Domyśleć się łatwo że zajechać mając do Borkowiec, do pana radzcy von Stamm, nie godziło się rachować na staropolskie przyjęcie.

Szymbor nie mówiąc nic ani do kogo jechali, ani jakich tam ludzi zastać mogli, wprost kazał naprzód zdążyć do — oberży.

Ta nowa instytucya użytku powszechnego znajdowała się już w Borkowcach, wzniesiona na ruinach starej karczmy żydowskiej, a potrzeba jej tłumaczyła się żwirówką która przez wieś przechodziła i wielką liczbą podróżnych, kupców, czeladzi która do p. Stamma przybywała, a o którą on się wcale nie troszczył, gdzie miała jeść, pić i nocować. Postawiono więc oberżę alias Hotel pod Koroną Pruską, i osiadł w nim dymisyonowany inwalid kuchenny, założywszy na dole dla kolonistów niemieckich i fabrykantów piwiarnią, bilard, a na gó-

rze numera dla przyjezdnych. Kregielnia w dziedzińcu przybudowana zwiększała liczbę przyjemności Hotelu pod Pruską Koroną.

Do niego zaszły ekwipaże Szymbora, który zajmawszy dwa numera dla siebie i Władzia, otrząsłszy się nieco z pyłu, zaproponował odwiedzinę we dworze.

Władek jako uczeń uniwersytetu Berlińskiego dosyć był oswojony z żywotem i obyczajami niemieckimi — ale na wsi jako żyw nie był jeszcze u obywatela tego rodzaju.

O trzy kroki niemal od gospody zaczynały się już budowy dworskie, mury szare, długie, niesmaczne, zamykające podwórze, w którem wyżej nad otaczające gmachy wznosiła się kamieniczka w stylu krzyżackim z kamienia polnego i czerwonej cegły. Bluszcze i wino dosyć ją czyniły wdzięczną, chociaż nadto przypominała dworce kolei pruskich.

W dziedzińcu cicho było, tylko na prawo machina parowa służąca do fabrycznych i gospodarских celów głucho się odzywała jakby ciężkim oddechem spracowanych piersi.

W ganku [nie znaleźli służby żadnej, a w dodatku drzwi hermetycznie pozamykane i dzwonek, trzeba się było jak w mieście oznajmić. Nierychło

przez półotwarte drzwi które wewnątrz łańcuszek obwarowywał, ukazała się służąca zaciekawiona i zdziwiona z pończoszką w ręku. W skutek zrzęcnego parlamentowania goście wpuszczeni zostali na dół do pustego saloniku, którego drzwi szklane wychodziły w cienisty, niemiecki, szczupłutki ogródek, dosyć wykwintnie przystrojony. Składał on dziesiątą część tego co dawniej było pańskim wirydarzem, a dziś stało się polem wyborem i eksploatacją warzywną.

Salonik, w którym nikogo nie było w tej chwili, świeżo wyglądał i smakownie, ale nowo i po miejsku. Ściany zdobiły sztychy z Kaulbacha ilustracyi niemieckich poetów, kilka poważnych kompozycyi Corneliusa, Schnorra, Wislicena, Lessinga. Przepyszny fortepian Blüthnera zajmował miejsce honorowe, a przy nim półka z biustem R. Schumanna przepełnioną była mnóstwem partytur i kompozycyi wszelkiego rodzaju... Na stole stosami leżały albumy i ilustracye, mnóstwo literackich dzienników niemieckich, angielskich, francuskich...

Na konsolach u ścian stały ładne rzeźb słynniejszych redukeye, przypominające arcydzieła starej i nowej sztuki, Venus z Milo, głowa Junony Borghese, Jowisz kapitolński, Mojżesz Michała

Anioła, kilka kompozycji Raucha, Danneckera, Thorwaldsena, Canovy....

Zresztą ozdoby tego pokoju były nader skromne, meble niewytworne, choć kształtne i niewiadomo jakim cudem, złoto nie lśniło do zbytku.

Władek rozglądając się po saloniku mocno był zdziwiony — nie wiedział dokąd przybył, do kogo — wnosił z tego co widział, że wuj zawiózł go nie tak źle jak się obawiał — bo przynajmniej w towarzystwo ludzi wykształconych i oswojonych z myślą i sztuką.

Szymbor uśmiechał się do siebie w duchu, ob rachował był dobrze iż mu nic zarzucić nie będzie można, a przecież wiedział, że popełniał zdradę.

— Gdyby ci z tego salonu kazano sądzić o mieszkańcach domu? — zapytał szydersko.

— Powziąłbym o nich wyobrażenie jak najpo chlebniejsze — odpowiedział z cicha siostrzeniec.

— No, widzisz przecie iż wuj cię nie gubi i lada gdzie nie wciąga.

Prawe drzwi saloniku otwarły się i wszedł widocznie świeżo do gości ubrany, z pękiem wstążeczek u guzika b. radzca ministeryalny von Stamm. Malowało go bardzo wielu utalentowanych artystów, fotografowali najbieglejsi w swoim fachu sy-

nowie słońca... a żaden z jego wizerunków ani do niego ani do poprzedzających nie był podobnym. W istocie twarz była piękna, na pozór spokojna człowieka który jest panem siebie a umie ze swej powłoki cielesnej uczynić co mu się podoba. Rozgmatwać rysów tego oblicza nie potrafiłby najgenialniejszy fizyognomista — było co chwila inne, a nigdy przez jego powłokę nie udało się oczom obcym sięgnąć do dna duszy.... Była to maska nie twarz, ale piękna, wyrażająca najczęściej urozyste zadowolenie z siebie i świata. — Na czole nieco powiększonym łysiną malował się rozum chłodny, w bystrych oczach żywość jego i przebiegłość.

Radzca który uczył się łatwo wszystkiego co mu potrzebnem być mogło, zamieszkawszy w kraju polskim, wybornie też już po polsku mówił, wyrażał się z łatwością, a nawet czytywał książki, dla siebie czy z polecenia wyższego... odgadywać trudno.

Chłodno ale bardzo grzecznie przyjął przybyłych; Szymbor nadto wesoło i zbyt jakoś naiwnie (co zakrawało na szyderstwo) przywitał gospodarza i zaprezentował mu siostrzeńca jako ucznia uniwersytetu Berlińskiego.

Radzca raczył podać mu rękę i prosił siedzieć — rozmowa naturalnie poczęła się od Berlina,

z kąd Władek przybył niedawno. Ale ślizgając się po powierzchni nie śmiano zapuszczać się głębiej. Mówiono o ulicach, monumentach, muzeum, wzroście i rozroście nadsprejskiej stolicy. Radzca chociaż na pozór obojętny z pewnym rodzajem niepokoju i ciekawością przypatrywał się młodzieńcowi postawy i twarzy pięknej, rysów szlachetnych, wyglądającemu pod względem artystycznym zastanawiająco i odznaczającemu się pewną dystynkcyą, która szanować się każe nawet takim ludziom jak p. Stamm, co starając się ją sobie wyrobić, nie potrafili.

Z kwadrans tak mówiono o całej obojętnej rzeczach, gdy lewe drzwi saloniku otwarły się z trzaskiem, a w progu ukazała się postać niewieścia, jakby w ramach obrazu. Na chwilę niby zdumiona stanęła, wstrzymała się, zdawała chcieć cofnąć, ale pilniejszy badacz byłby w tem rozpoznał umiejętną grę dla ściągnięcia oczów zgotowaną.

Była cudownie piękną, nieporównanie wdzięczną — ale do kogoż porównać? Nie Margaretka Fausta, nie Mignon Goethego, nie Karolina Werthera... jakiś ideał Schillerowski, z tej epoki gdy tęskny śpiewak u brzegów Elby i Sali rozbudzał germańską

przeszłość i wskrzeszał ludzkie stare podaniowe widma, pełne serca, myśli, ducha.

Ubrana w bieli, przepasana tylko sznurem, z włosami gładko uczesanemi, trzymała w ręku pęk kwiatów świeżo zerwanych i na pół otwartą książkę... Wielkimi ciemnymi oczyma patrzyła ciekawo, zdziwiona na ojca i gości. — W tem Szymbor pospieszył ku niej jako dawny znajomy.

— A to wy! panie hrabio! odezwała się powolnie postępując naprzód, daruj mi pan, nie dostrzegłam go od razu, lękałam się wejść, aby nie przerwać... interesu.

— Żadnego nie mamy, odparł Szymbor, przywożę pani dla pochwalenia się nim mojego siostrzeńca, wprost z Berlina z pod Lip... z Thiergartenu... z nad Sprei gdzie się pani wychowała. Sądziłem że przejeżdżając przez Waldau, obowiązkiem jest moim złożyć państwu uszanowanie, a razem dowieść nie słowem ale czynem że i my — Polacy, nie wszyscy jesteśmy tak nieokrzesani i nieokrzesujący się jak mi to pani dawała do zrozumienia, bardzo grzecznie ale nader wyraźnie.

Rozmowa zmieniła się na niemiecką. Władek uznał właściwem wnieść się do niej.

— Gdyby mi wuj był wcześniej powiedział —

przerwał z uśmiechem, że wiezie mnie na wystawę jako ciekawy egzemplarz, byłbym się przestraszył i cofnął... i postradałbym szczęście poznania pani.

Iza uśmiechnęła się lekko ruszając ramionami jakby protestowała przeciwko zbyt francuzkiemu obrotowi komplementu.

— Hrabia się mścisz okrutnie za to czego ja sobie nie przypominam, a pan mi dowieść nie potrafisz!... I od razu przedstawiasz mnie jako *polen-fresserkę* siostrzeńcowi... kiedy ja... ja...

Podniosła książkę do góry...

— Widzi pan co to jest?

— Dzieła H. Hejnego.

— Tak, i właściem czytała to co on w r. 1822 jeszcze napisał o Polsce... Przyznaję się żem jadąc tu zaczęła od *Soll und Haben*, ale skończyłam na Hejnem... Widzicie więc panowie że w tem nic tak złego nie ma. Hejne był na was łaskawszy niż na Börnego, Menzla i tylu innych...

Człowiek któryby wpadłszy w studnię znalazł ją pełną starego węgierskiego wina, nie byłby pewnie ani bardziej ani przyjemniej zdziwionym nad Władka gdy to zjawisko spotkał w niepozornej kamieniczce... Oślupiał... wzrok szafirowych oczu zdawał mu się płądrować po duszy, dźwięk głosu brzmiał jak

muzyka... patrzył zdumiony, oczarowany od razu, olśniony nie wierząc oczom — na twarzyczkę, na rączkę o wysmukłych paluszkach, tak rzadką u niemieckich dziewic, na kibić posagową, na tę pierwszą Arminiusza prawnuczkę, która dlań ideał muzy germańskiej wcielała. A miał lat dwadzieścia i wszyscy go uznawali nader płomienistą istotą.

Stryj przybrał minkę Mefistofelesa przy pierwszym spotkaniu z Gretchen idącą do kościoła... patrzył na swe dzieło śmiejąc się w duszy.

Radzca niemal zakłopotany preludjami prosił siedzieć poraz trzeci i głośno. Iza chwyciła krzesło i upadła nań niby zmęczona. Nie każda z pań usiąść umie z krynoliną, lub zbyt myśli jak usiądzie, ona rzuciła się na siedzenie z zadziwiającą gracyą i łatwością.

Widocznie szło teraz o to Szymborowi aby kochanego papę odciągnął, a dwoje tych ludzi już porażających się oczyma sam na sam zostawił.

Iza która umiała każdą plastyczną piękność ocenić jako artystka, była naprzód już prawie zdumioną tym antinousem w myśliwskiej kurtee, który się jej zjawił tak niespodzianie. Los chciał nawet by ten ubior zaniedbany, bardziej malowniczy niż frak, do twarzy był chłopcu... Dla Izy piękność

formy miała wielkie znaczenie... wierzyła że ona nie może być przypadkową, że jest wyrazem jakiejś [wewnętrznej wartości... była więc ciekawą i pełną nadziei...

Ona też tego dnia chciała być i była promiennie piękną.

Rozmowa poczęta z Hejnego o Polsce trafiła od razu w szerokie pole stosunków polsko-niemieckich... po którym mogła do woli harcować. Nie brakło ku temu materyałów rozlicznych.

Iza nie miała wstrętu namiętnego do kraju który znała tylko z jawnie nienawiścią tchnących a powierzchniowych sądów mędrków papierowych; z listu Hejnego, z obrazka G. Freitaga itp. Ale protestantka, wychowana w Berlinie, napojona tym specyficznym liberalizmem pruskim który wiele rzeczy nie rozumie a wszystko potępia czego nie pojął — zupełnie fałszywie malowała sobie kraj i ludzi.

Schulza podróż z czasów odwiedzin księżnej Kurlandzkiej w Warszawie, służyła może za tło po dziś dzień ideom o kraju i społeczeństwie feodalno-katolicko zacofanem a hulaszczem.

W rozmowie znać było, uprzedzenia nieco ochłodłe i wiele a wiele ciekawości. W panu Władysławie widziała pierwszego przedstawiciela narodu,

wyglądającego pięknie, roztropnie i po europejsku... godziło ją to już nieco z Polską... Okazywało się też że on znał daleko lepiej Niemcy niż ona Polskę, dawało mu to pewną wyższość.

Niezmiernie zręcznie, artystycznie Iza tak umiała pokierować rozmową, by pokazać zaraz iż wiele czytała, myślała, uczyła się... potrafiła zaczepić o sztukę, napomknąć o muzyce...

Władysław od dziecka był równie muzykalnym jak matka, na tem polu zeszli się zgodni zupełnie. Oboje należeli do tych eklektyków co piękną muzykę równie czują czy ona z Włoch, czy z Francji, czy z Niemiec przychodzi, czy ją tworzy Wagner, Schubert, Pergolese, Gounod czy Mendelssohn... Fortepian stał o dwa kroki.

Szympor który jednym uchem słuchał radzcy a drugim ścigał Władka rozmowę, uchwycił tu zręcznie aby poprosić Izy o zagranie choćby Noveletty Schumanna... choćby coś krótkiego bardzo.

Nieco się podrożywszy, rzuciła Iza bukiet, usiadła do fortepianu, oczy trochę w górę podniosła jakby szukała natchnienia co zagrać i — tajemnicze owo *Warum?* z niezmiernem wycieniowane uczuciem... dało się słyszeć jak sfinksowa zagadka.

Władek cały był uchem... i oczyma wpatrzył

się w grającą... Poproszono o coś więcej jeszcze, a gdy piękna artystka wstała od fortepianu, Władek ją znał lepiej, rozumiał... rozszalał się coraz mocniej. Wszczęła się łatwa już rozmowa o niemieckiej muzyce... spór o następców Mozarta i Beethovena... Iza z powodu tego dobyte Trio Mendelssohna... ułożone na — cztery ręce.

Szło właśnie o charakter tego *Andante con moto tranquillo*, które Trio zdobi jak brylant koronę. Bardzo naturalnie Iza usiadła nie pytając po prawej stronie, rozłożyła nuty, wskazała obok siebie miejsce panu Władysławowi... nie było sposobu się oprzeć... Śliczną jej rączkę mógł dotknąć choć przypadkiem!!

Radzca i hrabia urwali rozmowę.... słuchali. W istocie wykonanie było prześliczne, a tak dziwnie zgodnie pojęte, jakby już nieraz grali je z sobą. Oboje skończywszy byli z siebie uszczęśliwieni... śpiew wychodził jasno... akompaniament był także posłuszny i pełen uszanowania...

Iza wstała zarumieniona.

— Tak dawno już nie miałam przyjemności grać na cztery ręce.

— Ja także — dodał Władek... grywamy tylko czasem z matką... Nigdy mi się jednak to *Andante*

nie wydało tak spokojnie, szeroko pojętem a pięknem.

Iza spozrzała na niego pytająco, śmiało, jakby znowu wyrzucać mu chciała oklepany komplement.

— Andante to jest zawsze pięknem odparła... Mendelssohn choć mu zarzucają wschodnio-hebrajski charakter, gdy chce śpiewa majestatycznie, wsporniale, z uczuciem, z fantazyą... jak w Eliaszu i Paulusie, Psalmach i Athalii.

Między młodemi rozmowa popłynęła jak potok górski po burzy, kipiąca, rozbijając się o skały. — Radzca i hrabia wyczerpali się do dna... Szymbor dławił się już tłumionem ziewaniem... a Stamm dosyć wyrazisto dawał do zrozumienia postawą, że czas by było może gościom myśleć o odwrocie.

O żadnem przyjęciu mowy nawet nie było. Nareście i Szymbor, mimo skrytych swych zamiarów widział się w konieczności spoglądania ku kapeluszwowi... Władek wziął za czapeczkę, ale Iza podbiegła do ojca, poszepnęła mu coś do ucha, wieszając się na jego ramieniu, ścisnęła go za rękę i szybko wyszła.

Nie podobna było opuścić placu nie pożegnawszy jej, Szymbor więc wziął na dobre za kapelusz nie

widząc niebezpieczeństwa a chcąc uspokoić radcę. W tem von Stamm mu go odebrał.

— Po co panowie macie się nudzić w oberży — rzekł, zostańcie jeszcze proszę... dla nas rzadki tu gość na wsi z którymby pomówić można. Iza prosi... przyniosą zaraz kawę... panowie nawet musicie być głodni.

Szymbor nie opierał się, ale na wspomnienie o kawie z głębi duszy westchnął. Pora była wieczery, wódki, wina, dobrego kawałka mięsa, a nie czerstwej bułeczki wiejskiej i kawy... musiano się przecie i tem zadowolnić. Z podziękowaniem goście przystali.

W krótkce ukazała się znów piękna panna, z wesołą twarzą, uśmiechając i oznajmując ojcu że już wszystko ułożone... Potem wprost zwróciła się do Władka. Otworzyła drzwi do ogródka, i wyprowadziła go z sobą na ganek okryty powojami najnaturalniej w świecie.

Może by to Polce nie uszło. Iza nie widziała w tem nic zdrożnego, nic nawet nadzwyczajnego, ojciec nie miał też nic przeciw temu. Nowi znajomi jakby starzy przyjaciele, śmiejąc się i gwarząc zaczęli chodzić po ganku.

Piękna dziewczica mimo ożywienia nie zapomniała

się ani na chwilę, nie zaniedbała trochę wystudowanych ruchów i kunsztownego stylu. Mimo to ojciec nawet zdala w jej głosie, mowie, poznał iż ów młodzieniec, którego Iza jak innych brała na ścisły egzamen, gotów był od niej otrzymać doktoryzacją.

Zachmurzyło się nieco czoło pana radzcy — polak! szlachcic!... on całe inne miał projekta! Uspokoił się tem tylko że bądź co bądź, w żadnym razie nic być z tego nie może.

Znowu drzwi lewe otwarły się powolnie i zamiast lokaja w herbownej liberyi — ładna dziewczeczka w białym fartuszk, rodzaj Czokoladniczki Liotarda (którą lubieżnem wejrzeniem objął Szymbor) wniosła tacę a na tacy — niestety!... kawę tylko i sucharki.

Że w tej chwili kultura germańska wydała się Szymborowi fatalnie zacofaną, nie ulega wątpliwości... Na horyzoncie nie było ani cienia mięsa, ani solidniejszego posiłku. Kawa, cieniuchna kawa z starem mleczkiem, wyglądającym na zabieloną wodę. Tylko zakochany lub zakochać się pragnący mógł się takim przyjęciem zadowolnić... Wujasz-kowi rezygnacją dawało pragnienie zemsty i sple-tania figla.

Za kawą, — co gorzej — weszła sama gospo-

dyni która wyśmienicie mogła się była nie pokazywać, w czarnej wprawdzie sukni, nieco przybrana ale tak poczwarnie brzydka i pospolita, iż Włodek na widok jej, przy prezentacji o mało nie wykrzyknął — to nie może być!!

Nie mógł przypuścić aby to drzewo tak niepożorne owoc tak cudny wydało. — Pani radczyni wymówiwszy zaledwie parę słów niezrozumiałych zajęła się nalewaniem kawy i wpatrywaniem z nadzwyczajną ciekawością we Władka. Wzrok ten macierzyński zdradzał prawie to co córka o nim mówić musiała — ale jaki był własny sąd matki, rysy jej twarzy odgadnąć nie dozwalały.

Po kawie, Iza swojego gościa (gdyż widocznie go sobie przywłaszczyła) pociągnęła znowu w stronę fortepianu; wyszukała nowych nut których dotąd nie miała z kim spróbować, zapalono świece i grali znowu. Wśród tej gry *à livre ouvert* słowa, rozmowy krótkie, uwagi, wejrzenia zbliżały ich i popufaliły coraz bardziej. — Wstali w wielkiej przyjaźni, jakby się obojgu rozstawać nie chciało.

Ale noc nadchodziła, godzina była spóźniona, najmniejszej nadziei wieczery nie miał Szymbor a czuł że kawa mogła go o mdłość przyprowadzić, wziął za kapelusz, zaczęto się żegnać nareście.

Iza podając rączkę Władysławowi spojrzała mu w oczy... i zdawało się biednemu chłopcu że mu w głąb strzeliła... ścisnęła jego dłoń szczerze, serdecznie, pytając otwarcie.

— Mielizbyśmy się już nie widzieć więcej?

— To nie może być — odpowiedział żywo Władysław — dziękuję pani za to pytanie, ono mnie ośmiela...

— Nie lękaj się pan być natrętnym... szepnęła z uśmiechem...

Spojrzeli na siebie jakby zareczając się wzrokiem, radzca i radczyni widzieli to i gospodarz zbladł nieco.

Grzecznie ale chłodno ich pożegnał, odprowadzając ich do drzwi. Matka dosyć niezgrabnie powiedziała Władkowi — przyjedź pan do nas...

Gdy się drzwi zamknęły za nimi, Iza ze zwieszonymi rękami, ze spuszczoną na piersi głową, patrząc jeszcze za odchodzącymi, odezwała się do matki.

— Jest to pierwszy mężczyzna, który mnie niczem nie zraził...

Rodzice spojrzeli po sobie... poważnie i smutno.

W dziedzińcu Władek ścisnął Szymbora daleko serdeczniej niż kiedykolwiek, wyrzucał sobie w duszy że mógł posądzać go kiedykolwiek.

— No, a cóż? czy nie perła? nie perła? tryumfująco zapytał Szymbor.

— Cudna! precudna perełka! odpowiedział z zapalem Władek — dla czegoż jej w polskim morzu nie znalazłeś?

— Mój drogi — rzekł wuj — u nas się takie nie poławiają; powiem ci szczerze, nie każdego by też ona tak jak ciebie zachwycała — chociaż do stu szatanów — zachwycająca!!

Władek zamyślony echem tylko powtórzył — zachwycająca.

— Niech że to służy za dowód moich najszczerzych uczuć wujowskich dla acana dobrodzieja — dodał poważnie Szymbor... poświęciłem się dla ciebie aż do picia niemieckiej kawy z sucharkiem cnotliwym ale czerstwym o osmej wieczorem... To ci da miarę miłości mej...

Władek zmileczał, dochodzili właśnie do oberży pod Pruską Koroną, gdzie oprócz kieliszka wódki i kawałka szynki, Szymbor nie miał się czem posilić, a w dodatku nocleg był niewygodny.

Władek też oka nie zmrużył do dnia, a śpiewało mu w głowie ciągle — *Andante con moto tranquillo*.

Upłynęło kilka tygodni od owego polowania o którym ani Szymbor, ani Władek nie rozpowiadali nikomu szeroko i nic na pozór nie zmieniło się w stosunkach znanych nam osób, ale czułe oko matki postrzegło naprzód jakąś niewytłumaczoną zmianę w synu, a Dziadek też zaczynał być niepokojnym o wnuka, który nadto spoważniał i zamysłony, prawie smutny (do czego nie byli przywykli) pokazywał się im chwilowo, zbyt często pod rozmaitemi pozorami polowania, przejażdżek, interesów, wymykając się z domu... Nie było jednak dotąd ani powodu ani poszlaku pozwalającego sądzić go o jakieś tajemnice.

Zmiana wszakże uderzała.

Dziadek parę razy zapytał Antka, ten nic nie wiedział, ale zgadzał się na to że koledze coś było... że musiał mieć co na sercu.

— Czy nie zadurzył się on, jak jest zapalczywy, tą wnuczką Beniowskiego? myślał Dziadek... Nie bardzobym temu rad, ale dziecko poczciwe, z charakterem, roztropne... jeszczeby to nie było wielkie nieszczęście, — a mógłby sobie z głowy wybić.

Ale popróbowawszy badać Władka przekonał się łatwo, iż Hanna choć mu się podobała, nie zajął

się nią jednak zbyt, w Kaliszu u nich nie był dotąd i więc jej nie widział.

— Cóż to u kata jest? o czembym ja nie wiedział? mruzczał stary... Parę razy spotkał się Dziadek z Szymborem, spojrzeli na siebie kuso, a dobyć z niego nie było można nic.

— Nie jedziesz asindziej do wód? spytał stary, bo tam żona czeka.

— Nie, teraz jeszcze nie mogę, chyba później.

W istocie Szymbor zyskawszy łaski Władka, będąc jego powiernikiem, ciągnął go teraz jak chciał, zapraszał do siebie, poddawał mu rozmaite myśli i psuł po malutku a nieznacznie.

Już był zajęty tem prawie zapomniał owego interesu powierzonego Kernerowi względem strzelby kniejówki, gdy olbrzym wszedł raz wieczorem do jego pokoju sypialnego...

— No, a co tam mój Kernerze? zapytał go zawsze łaskaw nań pryncypał.

— Tak dalece nic — mruknął kwaśno faworyt — ale pan sobie życzył mieć tę dubeltówkę...

— A! a! cóż się z nią stało?

— Jeździłem właśnie do Kalisza do bixmachra...

— Znalazłeś ją?

Kerner ręką machnął.

— Gdzie to tam znaleźć teraz... Bixmacher ją sprzedał żydowi... a od żyda anim [mógł już się dopytać dokąd poszła...

— To szkoda...

— Ej! jakbyś się pan bardzo uparł to byś jeszcze może na powrót mógł dostać, ale trzeba pochodzić koło tego. Żyd któremu dubeltówka się dostała faktoruje i handluje nieustannie w Rajwoli...

Szymbor spojrział na Kenera, chciał coś zaśpiewać, ale mu się urwało.

— Zdaje mi się że dubeltówka poszła tam, tylko gadać nie chcę...

— Z czegoż to wnosisz? spytał cedząc słowa Szymbor.

— Bo mi bixmacher powiedział że faktor się jej napał bardzo, że podobnej szukał dla Szambelana, a nazajutrz po kupieniu już i żyda i strzelby nie było w Kaliszu. Nawet mu ją dobrze zapłacili, i bixmacher zarobił, sam się przyznał.

— No, to mniejsza o to — odparł kwaśno Szymbor, ja tam z Szambelanem nie jestem tak dobrze... kiedy ją chciał mieć niech trzyma. Ale na drugi raz zdaje mi się, mój Kerner, że kiedy co odemnie dostaniesz na pamiątkę, mógłbyś to dłużej zachować... pieniędzy ci nie brak...

Kerner ramionami ruszył.

— I pamiątek mi od pana nie brak, dodał — a kto daje, toć nie mówi że pożyczka...

Szymbor nadto był w złym humorze by się wdać w dłuższe rozprawy ze sługą którego znał zuchwale usposobienie — kiwnął głową i dał mu znak że go nie potrzebuje.

Kerner jednak nie miał ochoty odejść, stał chwilę, był przywykły mieć zawsze słuszność, a przy najmniej znudzić pana tak że mu ją przyznał... nie rychło więc przekonawszy się że nic nie doczeka, mrużąc i ramionami ruszając odszedł.

Szymbor chmurny chodził długo dosyć po sypialni, myślał, stawał, zdał się coś ważyć, naostatek rozśmiał się, splunął i zapaliwszy cygaro, począł świstać swobodnie, jakby już cały ciężar z siebie zrzucił.

Żony nie było w domu, Szymbor w czasie jej niebytności zwykł był, korzystając z kawalerskiego *intermezzo*, spraszać sobie dobranych towarzyszków z sąsiedztwa na karty. — Była to teraz, obok jadła i napoju, najulubieńsza jego rozrywka... do pań i towarzystwa kobiecego ocieężał, konie go nie bawiły.

Dla rozbicia zapewne reszty owych myśli smutnych, zajął się zaraz projektem małego polowańka,

z którem połączony być miał kawalerski obiad i wieczorek u zielonego stolika.

Nic lepiej nie probuje upadku człowieka i narodu nad upodobanie w grze; jest ona symptomem zepsucia, rozpróżnowania, szału... tak niezawodnym iż statystyka stolików gry i summ przegranych służyćby mogła za termometr zdrowia lub choroby kraju...

Myśmy w tych ostatnich czasach... na orgii i stypie porozbiorowej spijali i spijać nawykli nietylko trunkiem ale i gorączką karciarską... Całe dnie po niektórych domach niema nad grę innego zajęcia, innej myśli... grają słudzy po przedpokojach, dzieci w garderobie, furmani w stajni, a panowie w salonie. Gdzie uczciwego zajęcia braknie, tam to upadlające, barbarzyńskie zastąpić je musi. Coś robić trzeba, a w grze najgłupszy człek jeszcze dość jest rozumnym — by przegrał...

Szymbor namiętnie grę lubił. Nie brakło mu do niej współników między sąsiednią szlachtą, mniej więcej grywali wszyscy acz różnie.

Szymbor grywał grubo... i lubił tylko grę hazardową. — Różnie tam ludzie o tem mówili, pieńdz się go nie trzymał, ale to pewna że zwykle

a często nawet dużo wygrywał, jakoś mu się szczęściło, szczególnie w własnym domu.

Zwykłym współlikinem jego był ostyglejszy, wytrawny, średniego wieku człeczek, dziedzic małej wioseczki do której nie wiedzieć jak doszedł, niegdyś kapitan w wojsku moskiewskim, pan Serebrenko. — Był on niby Polak, więcej Moskał, a w istocie bez poczucia własnej narodowości, stworzenie Boże... bardzo pospolite i powierzchowności odrażającej. Jak Kenera używał Szymbor do poufnych domowych posług, tak przy grze większej nie obchodził się bez Serebrenki.

Kapitan był siwy, łysy, z wąsem jak szczecina, na jedną nogę nakuliwał, podpierał się na lasce... gadał mało ale w gry różne mistrza sobie równego nie miał — karty w jego rękach chodziły tak że zdawały się przelatywać same jakąś siłą elektryczną...

Serebrenko miał niezmierną flegmę, taką że choć go czasem z powodu nieporozumienia wyszturchano, znosił to śmiejąc się i awantury nie zrobił, dla błahaego rzucenia w twarz rękawiczką, albo jakiegoś tam obryzganania, w najgorszym razie nadymał się, wyzywał, ale nazajutrz godził. Drugim talentem Serebrenki wywiezionym ze służby moskiew-

skiej było picie wódki choćby kwartą. Wino uważał za mdłe zbytecznie... poncz za nadto rozgrzewający, czysta żytniówka była mu napojem ulubionym. Grając stawiał sobie szklanke, pił, bladł, milczał i wstawał po dziesięciu godzinach ciężkiej pracy... rzeźwy i zdrów na podziw.

Na polowanie oprócz Serebrenki który w wigilią przybył — bo tak był proszony — zjechać się miało liczne sąsiedztwo, zaproszony był i Władek. Oprócz zabawy zjazd miał na celu także naradę nad sprawą krajową, która niepokoić zaczynała. Do Władka napisał Szymbor po swojemu rozkazując mu i w imię pięknej Izy prosząc ażeby przyjechał koniecznie. Ponieważ zbyt często i tak się teraz oddalał a raczej wykradał do Borkowic p. Władysław i wypadało mu zostać tego dnia przy matce, odpisał więc Szymborowi, że chyba po polowaniu na wieczór nadbiedz może.

W istocie owe łowy były tylko pretekstem dla wesołego towarzystwa, trwały krótko, nie udały się i wszyscy wcześniej znaleźli się u stołu... z wybornym apetytem a lepszym jeszcze pragnieniem, które u Szymbora było czem ugasić...

Było już po uczcie gdy młody człowiek nadjechał a zdziwił się ujrawszy do bramy prawie

wychodzącego przeciwko sobie Szymbora który go grożąc mu przywitał.

— Kochanie, rzekł, mamy z sobą na pieńku, latasz jak kot zagorzały do Borkowiec a ja ciebie doprosić się nie mogę... No — nietłumacz się ale popraw...

Dziś u mnie całe sąsiedztwo, idzie mi bardzo o to ażebyś przed ludźmi temi, którzy cię oczyma mierzyć będą, pokazał się jak należy.

Zdziwiony przestroga, Władek spojrział na wuja.

— Ja wiem, dodał Szymbor, że ty mentora nie potrzebujesz i znaleźć się potrafisz... ale nadto jakoś bojaźliwie, nieśmiało, małoletnio występujesz... Kochany Władku jeśli przyjdą na stół gawędy patryotyczne, tnij niepytając gorąco aby serca panów braci pozyskać. Byle głośno i śmiało zapewniam cię że łatwo zjednasz reputacją. Garść słów im rzuć w oczy doborowych, myśli nie pytaj...

Druga rzecz, mój kochany Władku, o co bym cię prosił... to żebyś gry nie unikał.

Władek który zawsze radę przeciwną słyszał od matki i Dziada, odwrócił się zdziwiony, Szymbor śmiał się.

— Uszy cię nie mylą, rzekł — tak — radzę ci, nie unikaj gry... masz minę dziecka... przecież

fortuny nie przegrasz... wlaższy między wrony, trzeba krakać jak i ony... Nawet gdybyś coś poryzował i puścił nie źle by było... Idzie o to ażeby ludzie nie mieli cię za pedanta, żaka... i żebyś sobie u nich miłość kupił, która się przyda. A nie nabędziesz jej inaczej jak stając do kielicha, rznąc śmiało co ślina do ust przyniesie i okazując że zbytnio o grosz nie stoisz.

— Ale mnie wcale o popularność nie idzie, rzekł Władek...

— Słuchaj mnie, i ja sobie z niej kpię, dodał wuj, ale to są takie czasy gdzie się ona przydać może...

Okna w pałacyku były otwarte, przed stajnią pełno bryczek, powozów, ludzi, koni i psów; po pokojach przy likworze po kawie i dopijaniu szampana przez niektórych amatorów, siedziało mnóstwo różnego wieku osób w najróżowszych humorach. Śmiechy rozlegały się szeroko... Niektórzy już do stolików z kartami dążyli aby marnie czasu nie tracić... Władek zaprezentowany wąsatym i łysym współobywatelom których jeszcze nie miał znać honoru, nie ściągając zbytniej uwagi, usunął się trochę na bok.

Rozprawiano na przemiany o myśliwstwie, ko-

niach, panienkach i polityce... a wedle polskiego obyczaju, kwestye polityczne największej wagi, roztrząsały się w obec sług i mało znanych lub nawet nieznanomych osób. — Niektórzy powtarzali świeże nowiny z Warszawy... plotki zrodzone na bruku a utuczone na wsi, inni odgłosy gazet zagranicznych i nowiny z Zachodu... Władek mógł się przekonać wkrótce że jak najfantastyczniejsze pojęcia obecnej chwili snuły się po głowach, nikt sobie z położenia sprawy nie zdawał... trwożyli się jedni, drudzy przechwalali jak na konia siadą i rąbać pójda, a nawet wchodzili w szczegóły ubrania i umundurowania. Wnosić było można iż do boju rąk nie zabraknie, meztwa w piersiach nie zbędzie, ale głów do rady... ani widu ani słychu...

Szymbor dawszy się siostrzeńcowi ukryć w tłumie, poszedł sam do kredensu i zjawił się wkrótce wiodąc służącego za sobą, który na tacy niósł ogromny puhar augustowski i butelkę wina szampańskiego w lodowym pancerzu.

— Proszę o głos — zawołał.

— Panowie!! uciszcie się! powtórzyli inni stukając butami, gospodarz prosi o głos...

Milczenie jak mak siał, oczy wszystkich zwróciły się na Szymbora, który ujął ów kielich i począł.

— Panowie a czcigodni współobywatele przyznacie mi że jedna z cnót na których spoczywają fundamenta społeczności jest bezsprzecznie sprawiedliwość. Ona ludzi równa... stany, wieki i żołądki... W imię świętej sprawiedliwości odzywam się do was, słuszną to jest aby młody człowiek w sile wieku wszedł pomiędzy nas cośmy wszyscy uczciwie spełnili po kilka kieliszków różnego wina i kpił sobie ze współbywateli trzeźwą głową?

Okrzyk się wznosił ogromny...

— Uchowaj Boże! zdrada.

— Bezstronny więc sędzia, acz bliskiego mi i powinowatego winowajcę, IMP. Władysława Ze-grzędę wyzywam, aby się z nami zrównał, pod karą infamii i utraty serc obywatelskich...

Władek się zczerwienił.

— Idzie mi też o to aby wstydu familii nie zrobił i nie wzdrygał się kielicha... nie byłby Polakiem gdyby go lada butelczyna straszyla... to mówiąc kipiące wino nalał do kielicha i podał Władkowi. Oczy wszystkich były nań zwrócone... studenckie punkt honoru dla którego nieraz piło się Bockbieru kilkanaście kuffi, ozwało się w młodym chłopcu, nie dał się prosić, rozśmiał, ujął puhar, podniósł do góry.

— Zdrowie szanownych współobywateli! i przyłożywszy usta, nie postawił kielicha aż wysączył do dna...

Przerażające brawo rozległo się po sali, niektórzy przyszedli aż uściskać walecznego młodziana... Władek trochę zarumieniony, zapalił cygaro i usiadł...

Tymczasem około stolików z kartami poczynano się roić... Serebrenko już trzymał kilka talii kart i ogłaszał djabełka.

Wuj przyszedł do Władka i pocałowałszy go szepnął mu — idź, siadaj do djabełka...

— Gry nie umiem i pieniędzy nie mam.

— Ja nie gram, będę ci pomagał, o pieniądze później... idź, proszę cię, *il faut être gentilhomme que diable!*

Wino poczynano mu już grać nieco w głowie i Władek dał się namówić, do djabełka zasiadł wybór towarzystwa... Serebrenko niby prezydował, niby nadzorował... za krzesłem Władka stanął nauczyciel Szymbor.

Często mówiono to, a nigdy nadto powtarzać nie można, iż się do gry siada czystym, ale jakim się wstanie od niej nikt nie wie. Jak trudno wymierzyć kielichy i siłę upajającego trunku, tak

nikt nie wie czy go gra nie spoi, nie pozbawi rozumu i nie nabawi szalem...

Władek czuł dobrze iż się puszcza niepotrzebnie, ale przed sobą samym tłumaczył się że to była chwila wyjątkowa, że wujaszek go niemal zmusił... i że przecie fortuny nie przegra a nałogu od razu nie nabędzie. Wino mówiło mu — a od czegoż młodość!!

Gra się tedy poczęła z różnem szczęściem nadspodzianie gruba... ale co gorzej zrazu wcale nie zajmująca, niezrozumiała, obojętna, uczyniła na nim wrażenie jakby go koło młyńskie porwało... leciał już dalej nie wiedząc dobrze co robi... Srebro, złoto, papierki przesuwaly się, przychodziły, skupiały, odlatywały z przerażającą szybkością... Władek postrzegł się późno że coś wcale dużo przegrywał... rady Szymbora były jak najniefortunniejsze... począł więc własnym kierować się instynktem i nie poszło lepiej.

Diabełka obliczywszy się skończono... a Serebrenko staroświeckiego, swobodnego zaproponował sztosika, na którego z akklamacyą się zgodzono... Władek miał odejść gdy Szymbor mu szepnął — ta gra nadzwyczaj łatwa, nauczysz się jej w minutę, probuj, możesz się odegrać. Nie szło ci do djabełka,

ale to temu Iza winna, dodał ciszej, w sztosu możesz mieć szansę...

Podano kieliszki z winem, w pokoju było gorąco, Władek ani wiedział jak się znowu napił węgierskiego, które zdaniem powszechnem miało ochłodzić. Ale głowa gorzała... Około tysiąca rubli winien był Serebrence... począł stawić... Grali i inni grubo... Wstyd było młodemu człowiekowi małych kurzów, grzeczny kapitan oświadczył mu że daje kredyt nieograniczony.

Jak się stało, że w godzinę potem spotniały, drżący, rozdrażniony Władek już był winien tysiąc czerwonych złotych uśmiechającemu się doń Mefistofelesowi... tego on sam pojąć nie mógł. Zaczynał być coraz niespokojniejszym... stawki powiększał, zmieniał, pomnażał liczbę kart... nie nie pomagało... W głowie mu się zawracało... Nagle Szymbor czy ktoś z tyłu szepnął — staw parę razy całą summę... to się pokwitujesz... Zawahał się Władek ... podano mu kieliszek, pili wszyscy, to jakoś dodało rezonu... pomyślał — ano spróbuję.

Wysuwał już waleta, na którego miał ważyć to co dla niejednego mogło być stanowić fundusz całego życia... gdy postrzegł w zwierciadle oczy Szybora dziwnem jakimś mrugnięciem komuniku-

jące się z wzrokiem Serebrenki... Jakoś mu się to nie podobało, ręka zadrżała, zawahał się, ale niepewność ta trwała chwilę, rozważa potępiła podejrzliwość zbytęzną. Wydobył waleta i miał nań postawić całą przegraną. — *Quitte ou double*, gdy z za ramienia usłyszał głos:

— A na pocziwość, nigdym się nie spodziewałem, żebyś ty tak śmiało i energicznie grać potrafił! Brawo!

Był to głos Dziadunia, straszny jak dźwięk trąby archanioła w dzień sądu ostatecznego. Zkąd się Dziadunio tu wziął, jak znalazł, było dla Władka nieodgadnioną tajemnicą, karta zadrżała mu w ręku, odwrócił się spodziewając groźne znaleźć oblicze a spotkał wzrok łagodny, pełen współczucia, politowania i dobroci.

Dziadek uśmiechał się patrząc nań a widząc o-nieśmielonego, dodał:

— Widać żeś nowicyusz, mój chłopcze — ja dawno już nie grałem, ale... mógłbym ci coś poradzić.

Władkowi wyrazów zabrakło, wyciągnął tylko karty, z których Dziadek dwie wyjął — Serebrenko czekał na stawkę grzeczny ale widocznie pomieszany.

— *Quitte ou double*, między dwie, rzekł Dziadek — ale — na ciemno!

Serebrenko spytał łagodnie.

— Na ciemno?

— Tak jest, ręką przykrywając karty z wierzchu, spiesznie rzekł Dziadek — ciągnie pan?...

Serebrenko się zachwiał, nie wypadało odmówić.

— Ale... do usług! do usług...

Ręką drżącą począł odłożyćwszy karty, ciągnąć dalej sztosą... gęstemi plie urozmaiconego... Dziadek stał spokojnie... po chwilce prosił o wstrzymanie.

— Los jest sprawiedliwy, rzekł, ukazując waleta i damę... Obie karty wygrały. Władek się skwitował, odetchnął, otarł czoło, spojrział na Dziadka jakby go pytał czy ma grać dalej.

— Pozwolisz mi parę kart postawić za siebie? zapytał Szambelan...

— A! proszę, proszę... zawołał Władek.

— Czy idzie banco? odezwał się Dziadunio... Serebrenko zbladł nieco...

— Czy idzie banco?

Nie było odpowiedzi...

Oczy Serebrenki spotkały się z Szymbora wej-
rzeniem i kapitan wybąknął po cichu:

— No, to idzie.

— Więc, banco! chmurnie jakby z uczuciem zemsty rzekł Dziadek, stawiając kartę ciemną.

W banku było około dwudziestu tysięcy... Kapitan otarł pot z czoła, ręka mu drżała, ale na jego palce patrzył Dziadek jak w tęczę, oczyma przed którymi najmniejszy ruch ukryć się nie zdołał.

W trzecim abcugu Dziadek odkrył asa i dał znak Władkowi, ażeby bank zagarnął, przytomni śmieli się i przyklaskiwali, chciano wypić zdrowie Dziadunia, Szymbor tylko stał zmięszany, hamując się, ale gniewny. Wiedział dobrze że gra się na tem skończy i Dziadek swojego jedynaka z tego piekła wywiezie.

Zbliżył się jednak grzecznie do Szambelana dziękując mu za niespodziany zaszczyt uczyniony jego domowi temi odwiedzinami, których sobie, jak mówił — przypisywać nie śmiał.

Dziadek się rozśmiał.

— Kłamać nie będę, rzekł, w istocie nie byłbym przyjechał moją smutną figurą zatruć acaństwu zabawy, gdyby nie pilny interes do sędziego o którym wiedziałem że tu jest... Przepraszam żem tak wpadł...

— Ale Władek braw! braw! dodał Dziadek śmiejąc się.

Szymborowi oczy błysły.

— A jak gracko puhar augustowski duszkiem spełnił!! zawołał.

Myślał zapewne że tem Dziaduniowi zrobi przykrość, ale stary ruszył ramionami wesoło.

— To złoty chłopiec, rzekł... natura poczcziwa... i na wskroś nasza... nie zaszkodzi mu ani przypadkowa butelka, ani że się do stolika przysiadł... Gdyby się to gdzieindziej stało, gderałbym może, ale w tak dobrem towarzystwie i familijnym domu... niema niebezpieczeństwa... To mówiąc Dziadek niezwracając już uwagi na Szymbora i Władka który stanowczo wstał od gry, ujął pod rękę owego sędziego, po cichu z nim pomówił dosyć długo, i wrócił ze słomianym kapeluszem w rękę, myśląc gospodarza pożegnać.

Stary nie miał wcale zamiaru gwałtownie wyrwać ztąd wruka, zostawując mu zupełną swobodę, nie obrócił się nawet ku niemu, ale Władek sam poczuł iż dobrze będzie schwycić się z ręcznie i wymknąć się wraz z Dziaduniem. Nieznacznie więc wyszukał kapelusza, uprzedził go na ganek i gdy Szambelan wysunął się bez pożegnania do swoje

bryczki, znalazł już przy niej oczekującego nań Władka.

— Ja jadę z Dziaduniem!

— A nie będzie ci przykro, jeśli powiedzą żem ja ciebie ztąd gwałtem wyciągnął?? posłuchaj mnie, wróc, przegraj do kata ten niepoczciwy pieniądz cudzy abyś go do domu nie wiozł, zabaw swobodnie, a w nocy lub rano przyjedź do mnie. Nie chcę aby mówiono że cię w niewoli trzymam, na-przód na nic by się to nie zdało, powtóre... trzeba byś własną sobie siłę wyrobił.

— Ale Dziadek się nie gniewa!

— Dajże ty mi pokój! rozśmiał się stary ramionami ruszając — za co? na ciebie!! Przyjdz do mnie, pogadamy... ale bądź spokojny... burki nie będzie, to mówiąc ucałował go i odprawił.

Perorował coś właśnie wśród salonu do zgromadzonych Szymbor, jak się domyśleć było można o Dziadku, gdy Wladek się zjawił napowrót, z wielkiem podziwieniem całego towarzystwa... Na widok jego umilkł gospodarz, rozmowa się zmieniła. Roznoszono kielichy, Serebrenko zabierał się do nowego banku. Szymbor postrzegłszy Władka powoli zbliżył się ku niemu.

— No! Dziadunio chwata! zawołał... i dobre

ma oko i ucho! trzeba mu było po nocy się trząść aby ciebie złapać na gorącym uczynku!

— Zdaje mi się że miał interes do sędziego.

P. Apollinary rozśmiał się — słuchasz go, rzekł, sędzia by był przyjechał do niego gdyby chciał. Szło mu o to aby mnie skonfundować... ale cóż mnie to obchodzi że stary gderze? Minęły te czasy gdy się obawiał i oszczędzać go musiał...

Dziwi mnie tylko że cię z sobą nie zabrał?

— A dla czegoż by mnie miał zabierać? Dziadek mi wcale zabawy nie broni i niema mnie za takie dziecko, żebym nieustannie niańki potrzebował... odrzekł Władek trochę urażony.

— No, tak tobie jednemu wszystko wolno — dodał Szymbor... I spytał go... Grasz?

— Spróbuję...

Reszta tego wieczora spłynęła wedle programu, młody chłopak siadł do gry, stawiał ostrożnie, ale że chciał przegrać, właśnie mu się to nie udało... prawie cała zdobycz została przy nim... gdy nareście i goście się rozjeżdżać zaczęli i jemu czas było wyruszyć. Wysunął się za innymi i kazał jechać do Rajwoli, gdzie przybywszy nadedniem poszedł się przespać do zwykłego swojego gościnnego pokoiku.

Nazajutrz nim się przebudził, Dziad już był na nogach, obszedł swe gospodarstwo, pacierze chodząc zmówił w ogrodzie, napisał kilka listów a z kawą kazał oczekiwać na Władka.

Szczepan zobaczywszy go ubranego, wyniósł imbryczki na ganek, gdzie zwykle podawano w dniu pogodne śniadanie. Dziadunio wysunął się także w swoim szaraczkowym spencerku. Był uśmiechnięty, rumiany a wczorajszy wypadek nie pozostawił przynajmniej widocznej chmurki na jego czole. Wyściskał Władka jak zawsze, posadził go przy sobie i gdy Szczepan odszedł wszczęła się rozmowa od pytań o wczorajszą grę i zakończenie wieczora.

— Słuchaj Władku, rzekł stary — powiem ci tylko jedno, ty, jak nieboszczyk twój ojciec jesteś za dobry... a dobrym na świecie źle... Rusińskie przysłowie powiada: nie bądź złym bo cię rozplują, ani dobrym bo cię rozliżą. Czy być rozplutym jak pieprz czy rozlizanym jak cukier wychodzi na jedno... trzeba ginąć... Ja się dla ciebie nie lękam losu rzeczy gorzkich, ale przeciwnego... Zbyt jesteś dobry, powolny i lękając się ludziom narazić gotówes narażać siebie. Strzeż się Szymbora... wyrób w sobie energią.

Ja za nic w świecie nie dam teraz innej wska-

zówki nad tę jaką się będę czuł obowiązany dać ci — po spełnionym czynie... bo chcę byś sam sobą władać się nauczył. Omyłki w życiu są nauką wielką, a te jakie ty dziś popełnić możesz — są błogosławione...

— Ale mój Dziaduniu, postawże się na mojem miejscu... mógłżem tego kielicha odmówić, wypiszy go nie poczuć w głowie, a — co za tem idzie, nie sięść do gry...

— Nic się złego nie stało — przerwał Dziadek, potrzebowałeś tego doświadczenia... a masz w zysku że coraz lepiej Szymbora poznajesz!! Mówię ci kochany Władku... nie zważaj na mnie, nie myśl o mnie, jakby starego na świecie nie było... Ja jestem twoją aryergardą tylko...

Mówili tak długo, rozstali się w najlepszej komitywie... Dziadek tylko prosił Władka ażeby wygrane pieniądze odesłał do towarzystwa dobroczynności do Kalisza.

— Pieniądze wygrane licha warte, rzekł... spodziewam się że grać nie będziesz. Człowiek który gra namiętnie, wyrok na siebie podpisuje... namiętność ta daje patent na głupstwo.

Zmęczony, niezupełnie rad z siebie wrócił młody chłopak do domu... Tu znowu musiał się przed

matką, spowiadać z nieco przedłużonego pobytu i nie mógł ukryć przed nią wczorajszych wypadków, które jednak ubarwił przyzwoicie.

Halina pocałowała go w głowę...

Od kilku dni nie było w Zarembiu Antka Siekierki który jeździł do Warszawy, wrócił właśnie na kilka godzin przed Władkiem, pobiegł więc uściskać go i pomówić.

Dwaj towarzysze którzy dotąd żyli prawie jednym życiem, nie mając dla siebie tajemnic — teraz jakoś z każdym dniem stawali się sobie bardziej obcy. Siekierka umyślnie stronił od towarzystwa do którego wciągano Władka, żył odosobniony, uczył się lub szukał stosunków pomiędzy tymi do których się Władek zbliżyć nie myślał. — Był więc rodzaj chłodu pomiędzy nimi, który poczciwy chłopak chciał koniecznie usunąć i wrócić do dawnego stosunku, potrzebował bowiem powiernika... Duszę miał pełną Izzy, a młoda szczególnie miłość pragnie się wylać przed kimś i szczęściem swoim podzielić.

Zaczął Władek od uścisku i opowiadań o swoich najróżniejszych przygodach, wyspowiadał się niemal do dna, zastrzegając tylko by Antek niektórych zwierzeń nie powtarzał... Siekierka słuchał

tego wszystkiego z współczuciem, właściwą sobie powagą, mało mówiąc i nie okazując najmniejszego zdziwienia.

— Cóż ty na to wszystko? zapytał w końcu Władek.

— Nauczyłeś mnie z sobą być szczerym — rzekł Antoś, powiem ci więc otwarcie, bawisz się, ale wbrew zasadzie pana Szymbora, młodość nie jest czasem do zabawy.

— Ty jesteś purytanin nieznośny!

— Władku, ja jestem tak słaby jak i ty, ale siebie trzymam mocno i ostro...

— Cóż ty chcesz odemnie?

— Ażebyś myślał i pracował...

— Ale to miesiące wytchnienia...

— Dajże pokój! Nie mówię ci byś powtarzał prelekcye Gansa, ale nad sobą samym pracować trzeba nieustannie, a dziś... więcej niż kiedy...

— Dla czegoż dziś? spytał Władek.

Antoś spojrział nań badająco.

— Bo dziś młodzież bierze na swe ramiona losy kraju! wielką odpowiedzialność... bohaterskie zadanie.

— Nie rozumiem...

— Wracam z Warszawy... Wiesz o tem i tutaj

co się w kraju dzieje, ale stolica jest ogniskiem!..
Gotują się wielkie rzeczy...

Władek spojrzał dość obojętnie...

— Kochasz Polskę? spytał Antek zbliżając się doń.

— Krzywdzisz mnie pytaniem...

— I nie chcesz wiedzieć nawet co się robi.

— Bo nie wierzę w to... odparł Władek. Gdy się potrzeba będzie bić — pójdę i będę się bił pocziwie, do zdechu, ale jeźliby zależało odemnie... nie wywołałbym walki nierównej.

— Tak, odpowiedział Antek żywo — nierównej na oko... bo oni mają wszystko a my nic nie mamy. Ale oni ducha nie mają, a nas on ożywia... Ucisk nas przybił do ziemi, ale nauczył chytrości niewolników... siły nasze są w nich...

— Znowu nie rozumiem — przerwał Władek.

— Pojmiesz to łatwo — rzekł Antek, gdy ci powiem że nasza młodzież stojąca na czele spisku, rachuje głównie na stosunki związane w Moskwie, po uniwersytetach, w szkołach wojennych, w wojsku... Moskale nas poprą, muszą nas poprzeć... Nie rachujemy na interwencją mocarstw zachodnich, ale na samą Moskwę... interes ich i nasz jest wspólny... swoboda... Wolni pogodzić się potrafimy...

— Byłoby to istotnie jenialnem, odpowiedział Władek, gdyby mogło być tak pewnem jak ty mówisz... gdyby Moskwa od panującego poczawszy do ostatniego burłaka nie zdradziła nas sto razy.

— Ale młodzież! czoło i serce narodu! wołał Antek... oni są z nami w zmowie. Dość ci powiem na dowód, że gdybyśmy byli mieli czem i jak wziąć Modlin... pułk który go zajmował oddać się go nam oświadczał.

W Petersburgu, w Moskwie, w całym wojsku są komitety będące w stosunkach z naszymi... Czy może być lepiej i szczęśliwiej plan osnuty...

— *Nulla fides!* szepnął Władek, ja moje powtarzam... ja im nie wierzę. Jak w grudniu w Petersburgu wyjdzie car i paść im każe na kolana przed sobą... padną... My się staniemy raz jeszcze ofiarą dobrej wiary naszej.

— Dziwnie chłodno i po staremu się na to zapatrujesz... zawołał Antek, mam ci to za złe...

— Przebaczysz mi gdy ci dam słowo, że gdy przyjdzie wziąć strzelbę i siadać na koń... rachować na mnie możecie... Na nic więcej.

Pod wrażeniem swej bytności w Warszawie, Siekierka mówił z zapalem, długo i wiele, ale wiary swojej w zimnego pod tym względem Władka przelać

nie potrafił. Słuchał, rozpytywał, ale trzymał się swego pierwszego sceptycyzmu. Pocziwemu Antosowi paliła się głowa, pierś buhała; oznajmił wręście towarzyszowi że okoliczności zmuszą go rzucić uniwersytet berliński, a przejść dla kończenia medycyny do Szkoły Głównej, ażeby bliżej być nieuchronnych i zapewne niezbyt odległych już wypadków.

— Nie chcę naturalnie być wam ciężarem, dodał Antek, i spodziewam się o własnych siłach nauki ukończyć... Wyrob mi tylko kochany Władziu u Dziadka, aby tej zmiany za jakąś płochość nie poczytał i złego o mnie nie powziął wyobrażenia...

— Zrobię co każesz... odpowiedział mu Władek... ale gdybyś mi się dał namówić...

— Nie mogę...

W milczeniu uściskawszy się wyszli razem do tej która dla nich obu była zarówno matką...

Znowu parę tygodni upłynęło niepostrzeżenie i bez zmiany, gdy jednego dnia po obiedzie Dziadunio robiący siatkę w ganku postrzegł przybywającego Siekierkę. A że nie zwykł był prawie nigdy sam do Rajwoli przyjeżdżać, nieco się uląkł, bo od niejakiego czasu stał się trwożliwym i podrażnionym.

— Jak się masz! zawołał witając go zdaleka — a Władek?

— Władysław... Władysław od dwóch dni wyjechał — rzekł Antoś powoli...

— Jakto? znowu go w domu niema?

— Tak... wypadł mu jakiś interes... mówił nieśmiało Antoni wpatrując się w Dziadka jakby chciał się z niego dobadać czy wie co o wnuku...

Ale z twarzy starego prócz smutku i niepokoju nic nie wyczytał...

— Dobrze że choć ty, moje dziecko, o mnie pamiętasz — ozwał się po chwili Szambelan wracając do siatki... A jakże się ma Halina?

— Zdrowa...

— Tego poczciwego Władka nie poznaję prawie; co mu się to stało? zkąd go tak obcessowo porwała ta passya do polowania... te ciągle absentacye...

Antek pomilczał chwilę jakby myśli zbierał.

— Gdyby nie to pytanie, rzekł, — nie śmiałbym się mięszać do tego co do mnie nie należy, ani przyjaciela zdradzać... ale zdradziłbym znowu was, opiekunowie moi, gdybym dłużej milczał...

Dziadek na te słowa siatkę rzuciwszy porwał się i stanął z załamanemi rękami.

— Nie trwoż się pan, ciągnął dalej Siekierka

— nie ma znowu nic tak dalece złego... tylko jeśli nie wiecie nic i on nic nie mówi, potrzeba abyście wiedzieli... Władek jest szalenie rozkochany.

Dziadunio począł się śmiać klaskając w ręce, pocałował w czoło Antka...

— To nic strasznego! zawołał... no? cóż! we wnuczce króla Madagaskaru, bo ta mu była w oko wpadła! co?

— O! nie! rzekł Władek, wcale nie, o tej zapomniał... choć... gdyby go była zajęła jabym się nie dziwował...

— Ani ja, — szepnął Dziadunio, ale cóż u kata, chyba w prostej jakiej dziewczynie, wszak tu nie ma nikogo...

— Tu nie ma... ale nieco dalej... nieco dalej w Księstwie... Nie wiele ja wiem, chociaż z wyznań Władka przekonałem się że Szymbor...

— A! otóż jest! Szymbor! domyślałem się, że w tem jego robota być musi, a jeśli on swatał, dodał Dziadek, już nie wątpię że grozi niebezpieczeństwo... Mów a szczerze...

— Szymbor go zawiózł pod pozorem polowania do Księstwa i wprowadził do jakiegoś niemieckiego domu. Ma on być przywoity, panna, według Wład-

ka, jak anioł piękna, uczona jak professor, utalentowana...

Szambelan już nie słuchał, porwał się za głowę... z bladego stał czerwonym, z karmazynowego białym... i padł bezsilny na krzesło.

— Niemka! Niemka! powtarzał po kilka razy... doskonale... w dodatku powinna być luterka, kalwinka... Szymbor musiał taką wybierać umyślnie...

— Tak jest, ma być protestantka... dodał Antek — i heglistka...

— A tak! heglistka! doskonale! emancypowana! Gdybym nie wiedział czyja w tem ręka, poznałbym ją po dziele... Aby rodzinę zniszczyć, dosyć jest w nią wbić klin taki w spodniczce z filozoficznego pnia germańskiego uciosany... Cudownie i wybornie.

Dziadek zdyszany mówił jak w gorączce.

— Nie wiesz jak się ojciec nazywa?

— Radzca von Stamm.

Stary pomyślał, począł sobie przypominać coś, ruszył ramionami... kiwnął głową — zmilczał.

— I — i Władek nikomu z nas o tem nie powiedziawszy słowa... tam bywa?

— Jestem tego pewny — odpowiedział Antek...

zakochany, rozmarzony, oszalały... Panna podobno także nie obojętna dla niego.

Z tego jednak co mi opowiadał, nie zdaje mi się ażeby domowi można było co zarzucić... panna wykształcona ale surowego obyczaju... To tylko nieszczęście, że ci najuczciwsi ludzie są całe różnych obyczajów i pojęć, co już samo przyjmowanie Władka dowodzi. Panna zarywa na literatkę, na niebieską pończochę, piękną, muzykalną artystka całą duszą...

Dziadek się uśmiechnął gorzko.

— Bardzo dobrze... będą dawali koncerta po Europie... Pojadą może do Ameryki!! Artystka! na matkę polskich dzieci, wirtuozka do szlacheckiego gospodarstwa!! heglistka do śpizarni i cerowania szkarpetek...! na nic!... trzeba ich będzie wyprawić w podróż artystyczną.....

Dziadek wybuchął ... chodził po ganku, mówił na pół do siebie...

— Na Boga... czy może być co stósowniejszego... Cywilizatorka odrodzi nasze społeczeństwo, wniesie chorągiew kultury pod słomianą strzechę... okrzese tych nieszczęśliwych: *Polaken-Cannibalen* i nauczy po szwabsku! Praprawnuczki będą szczebiotać już tym językiem światła i postępu... Wybornie! śliczniej mi wypaść nie mogło! cha!

cha! istne Boże błogosławieństwo, a narzędziem jego... Szymbor...

Antek prawie się uląkł wrażenia jakie to uczyniło na starcu, usiłował on powstrzymać objawy trwogi ale napróżno. Przybierały najrozmaitsze postaci, szyderstwa, radości, zgrozy... zbolenia... Dziad rzucał się oburzony, przejęty, rwał, miotał, siadał, wstawał, nie mógł uspokoić i ochłonać.

Nareście wylawszy potok wyrazów urywanych, bez związku, począł nieco poważnieć, ironia zesza z twarzy pobladłej, pokrył ją głęboki smutek... spuścił głowę na piersi.

— Tak, rzekł — chcemy czy nie, musimy być świadkami pogrzebu przeszłości naszej, rodziny polskiej, obyczaju polskiego, cnot i wad naszych, wspomnień i tradycyi... Jak ruinę rozkłada bluszcz, tak i nam zniszczenie przyjść może w formie zieleni i życia... Ale to życie cisnąc się w szpary starego muru, cegły rozedrze i sklepienie obali...

Tradycye nasze... zaniemiemy my, bezpotomni do mogiły, nie wiedząc co je zastąpi... ale czując że umarli... *Et pax perpetua luceat eis.* Zostaną zagadkami pociesznemi dla wnuków jak mamentowe kości. Nie pod Maciejowicami to zawołać należało: *Finis Poloniae*, ale na progu domu z któ-

regu ducha polski uleci wygnany miotłą cywilizacji oczyszczającej kąty...

Któż wie? tak być musiało, więc tak dobrze...
hę! chłopcze... obrócił się do Antka — cóż ty na to?

— Ja, panie Szambelanie — odpowiedział po namyśle młody chłopak — może za krótko żyłem i widziałem za mało, abym śmiał tę wielką kwestyą przeszłości i terażniejszości rozstrzygać... ale mi się zdaje...

— Cóż ci się zdaje? rąb śmiało!

— Zdaje mi się że jednym z praw kardynalnych bytu wszechrzeczy stworzonych, jest ich zmienność i nietrwałość... ale jak z ziarna rodzi się druga roślina, tak z obyczaju, tradycji, pamiątek, ducha, które ulatują — powinna rodzić się przyszłość. Nic nie ginie, wszystko się odradza.

— Tak jest, rzekł stary, nic nie ginie, ale zadanie jest w tem, czy my jako to ziarno rzucone w ziemię odrodzimy się nowym kłosem, czy nas połknie i strawi bydłę, w którego krew i soki przejdziemy bez śladu...

— Idzie właśnie o to, aby Polska jak to ziarno, ciągnąc soki z ziemi wyrosła nową a młodą, z siebie, ze swej przeszłości...

bośmy mieli i mamy skarbnice narodowe, w których dość jeszcze żywota...

Ale — dodał stary po chwili — jest li w mocy ziarna stanowiąc o tem czy wzejść będzie mogło lub zginąć!...

Tak! — zawołał po chwili... bo ziarno jest — człowiekiem, istotą samoistną... Jeżeli zginiemy to zabici sami przez się, niedołęztwem, samobójstwem, głupią rozpaczą, głupszem zwątpieniem i najgłupszem. — Jakoś to będzie! Serca i rozumu!

— A! panie, rzekł Antek gorąco przejęty... gdyby twe słowa wysłuchane były...

— Gdyby?... jutro by przyszedł ktoś i trafnym żarcikiem lub muzyczką do tańca lub wezwaniem do butelki... zatarł ich wrażenie...

Ale gdy zginiemy... napiszmyż sobie na grobowcu

Samobójcy...

Chwilę milczeli, Dziadek chodził a myślał, zstąpił z tych sfer na ziemię i rzekł biorąc Antka za ramię.

— Teraz przyjm najserdeczniejsze dzięki za twą poczciwość... ale, Władek mi sam o tem nie mówił nic, więc ja o niczem wiedzieć nie powinienem... Matce przedwcześnie nic o tem... może się da za-

radzić jeszcze... Władek płochy... więcej się kocha w samej miłości niż w kobiecie, potrzebuje złudzeń tych i marzeń. Namów go do Kalisza, wprowadź do tego waryata Beniowskiego. Jego wnuczka śliczne dziewczę, rozsądne, miłe, a to mi nic nie grozi... Gdyby się na prawdę zakochał... gotówbym pobłogosławić, wolę że uboga.

Nieuważał pewnie stary jak Antek słysząc to cały zapłonął i zadrżał, bo nie domyślał się że wymagał od niego ofiary nadludzkiej... wyrzeczenia się tajemnie poślubionych nadziei.

Z tego wrażenia Siekierka ochłonął prędko i rzekł głosem cichym.

— Jeżeli mnie posłuchać zechce...

— Posłucha, mówił Dziadek, na miłość niema innego nad homeopatyczne lekarstwo.

Kiedy wyjechał Władek?

— Przed godziną.

— Na długo?

— Mówił że na dwa albo trzy dni...

— Czy sądzisz że pewnie do Stammów tych podążył?

— Jestem pewny, bo mi się do tego przyznał.

Stary namyślał się długo... i zadzwonił, po chwili wtoczył się stary Szczepan.

— Tłumoczek miejski... konie do krytej bryczki...

Spojrzał na zegarek — Wyjadę za minut dwadzieścia... Zaprzędz każ młode szpaki, Józefek powiezie a Matyasza wezmę...

Antek nie śmiał pytać dokąd się stary wybiera, ale łatwo mógł domyśleć.

— Ufaj mi, rzekł Szambelan — że tę rzecz tak ułożę iż na ciebie najmniejszego podejrzenia nie rzucę...

Wszystko się naturalnie wytłumaczy. — Uściśkał go z ojcowską czułością... a gdy już odchodził — szepnął.

— Ha, jeżeli się na Władku zawiodę... ty mnie nie zawieź... pamiętaj... tyś też dzieckiem mojem...

W saloniku w Borkowcach o szarej godzinie siedzieli nazajutrz sam na sam Władek z książką w rękę, a piękna Iza z robotką włóczkową. — Otwarte drzwi w lewo dozwalały, krzątającej się około domowych zajęć mamie Stamm niekiedy nagląć na tę parę czułą... swobodnie szepczącą sobie słówka pełne znaczenia, choć pospolite... uśmiechającą się, szczęśliwą. — Iza znowu zdawała się

piękniejszą niż kiedykolwiek, lekki rumieniec roz-
 pływał się po ślicznej twarzyczce jak odblask we-
 wnętrznego ognia i oczy się lśniły a we łzach to-
 neły, usta śmiały pragnieniem życia —; utoczona
 rączka niekiedy wśród wymownego ustępu rozmowy
 spoczęła na dłoni młodego chłopaka, a on cały
 drgał od tego elektrycznego dotknięcia...

I on wydawał się innym, energia niezwykła
 błyskała mu z oczów, usta drżały uczuciem a mo-
 że namiętnością — czoło przelatywały na przemiany
 obłoki i płomień. Byli z sobą tak poufale, tak
 śmiało jak brat z siostrą — nie ich nie zdawało
 się krępować. Żyli oboje w jednym świecie. — Tuż
 stał fortepian, pierwszy powiernik rodzących się
 wrażeń, leżały książki i albumy porozrzucane, roz-
 mowa toczyła się o poezji — któż nie wie że poezya
 miłością jest cała? że nawet jej nienawiść z tego
 wytryska źródła?

Nierozsądzona sprawa Schillera a Göthego, pa-
 nującej nad sobą siły twórczej i uniesień a uczuć
 bezwiednych — po tysięczny raz stawała przed sąd
 dwojga serc bijących — nie równo może choć zgo-
 dnie. Iza była wielbicieleką kapitolńskiego Jowisza,
 Władek obrońcą biednego namiętnego poety. Ale
 role ich mieniały się, a piękna dziewica należała

właściwiej do tej szkoły eklektyków, która wielbi wszystko piękne, pod jakąkolwiek formą, ono się wcieli.

Władek deklamował Schillera — Chwałę Nie-
wiasty — gdy — drzwi się otworzyły i z wielkimi
ceremoniami radzca von Stamm wprowadził do
salonu — Dziadunia.

Dziadek był wyelegantowany do niepoznania,
miał na sobie frak granatowy z guzikami złoci-
stemi, pięknie zawiązaną chustkę białą, kamizelkę
zapiętą na gruszkowate guziki ametystowe, kape-
lusz o skrzydłach szerokich w rękę i laskę ze złoci-
stą gałką. Przepyszny fular z kieszeni fraka z pro-
stodusznością wielką, był wywieszony.

Wyglądał bardzo poważnie... trochę przypomi-
nając Franklina... ale głowa Meduzy nie uczyniłaby
na Władku okropniejszego wrażenia, nad to spokojne
starca oblicze...

Książka wypadła mu z rąk, wyrazy na zbla-
dłych zamarły ustach. Iza spojrzawszy na bladego,
chwiejącego się młodego przyjaciela swego, prze-
straszyła się sama.

— Co panu jest? zawołała.

Piorun trwał tylko chwilę, Władek natychmiast

oprzytomniał, odzyskał mężką odwagę i podszedł prawie swobodny z kochanym starym się witać.

— A!! to panowie się znają! spytał radzca mierząc ich obu oczyma nieufnemi.

— Jakże! jakże! i bliżcy jesteśmy krewni! spieszenie i wesoło począł Dziadek, mieszkamy w sąsiedztwie. — Co za miła dla mnie niespodzianka... w miejscu jednego starego znajomego (podał z uśmiechem rękę radzcy) znaleźć dwóch (wyciągnął drugą wnukowi).

Panna zaniepokojona, domyślając się czegoś, wodziła oczyma ciekawemi ze starca na młodzieńca, a brew Junony, na samą myśl czegoś coby ją dotknąć, obrazić mogło, poczyniała się groźnie ściągąć.

Władek wiedział że sobie z Dziaduniem poradzi, a pannę nie łatwo uspokoi gdyby choć cieniem podejrzenia miał ją podrażnić, zwrócił się więc zaraz ku niej z większą śmiałością pozorną niż rzeczywistą miał w sercu — przerwaną, żywą goręcej jeszcze kończąc rozmowę.

Okazywało się że Dziadunio najniewinniej w świecie przybył tu pod pozorem nabycia baranów, i bardzo zręcznie zaraz wrócił do przedmiotu, okazując wielkie nim zajęcie. Iza złożywszy robotę

skieją na towarzysza aby z nią wyszedł na ganek... spowiedź była nieuchronną.

— Cóż to za kuzynek pański, spytała! Jak dziwnie oryginalny starowina! Przypomina razem wszystkich i nie wiem którego z naszych klasyków: Lessinga, Wielanda, Herdera? Rysy zdradzają w nim cale znakomitego, myślącego człowieka...

— Jest to blizki mój krewny, rzekł czerwieniąc się mimowoli Władek, mąż w istocie niepospolitego umysłu i wielkiego serca...

— Zaraz to wyczytałam z fizyognomii, odezwała się spoglądając ku salonowi — stary! dawne musi dzieje pamiętać i przestarzałym hołdować wyobrażeniom... Widzę że i z ojcem być musi dawniej znajomy...

— Tak się zdaje, rzekł Władek.

Słów jakoś mu brakło, choć fantazyą nadrabiać się starał, nie byłaby kobietą i fizyognomistką Iza, gdyby nie dorozumiała się po części jakie uczucie miotало duszą jej towarzysza. Zbliżyła się doń powoli i kładnac mu rękę na dłoni... spytała go czule, głosem troskliwej siostry:

— Jesteś widocznie pomieszany? czybyś się czego obawiał? Mów mi pan szczerze... przecież nie jestem dziecko, należę do tych mężnych stot,

które woła najstraszniejszą prawdę nad najśłodsze ocukrowane kłamstwo... No, mówże mi pan... Czy się obawiasz tego starca? czy ci co grozi? czy nam co zagraża? Czy myślisz że doniesie o twych odwiedzinach u niemki rodzinie? matce? opiekunowi?

— Nie, pani — odpowiedział Władek z przymuszonym uśmiechem... jestem panem mojej woli, mam matkę która mnie kocha, a opiekuna który mnie psuje... Nie lękam się ich wcale...

— Więc? więc dla czegoż mięszasz się?

— Może nierad jestem że przedwcześnie...

Iza znowu brew zmarszczyła i tupnęła nóżką.

— Mężczyzna? zapytała z ironią, obawiałby się, gdy ja, kobieta ani oczów, ani języka, ani człowieka, ani ludzi się nie boję... dziś czy jutro...!! Jak w tem widać różnicę wychowania i pojęć! u was członek rodziny jeszcze wyemancypowanym nie jest. Czemże kobiety być muszą, gdy tacy są mężczyźni? Nie wolnoż nam bez pozwolenia zwierzchności zamienić wejrzenia i uścisnąć dłoni... a żywiej dać sereu uderzyć?

Władek się znowu zarumienił.

— Pani mnie zrozumiesz, rzekł — nie wyobrażaj sobie tak dziwnie społeczeństwa naszego. — Łączą

je nie despotyczne węzły ale miłość i poszanowanie które tak jednoczy rodzinę, że wszystko dla niej wspólnem się staje, że ona dzieli się z sobą każdym uczuciem i myślą... a kto od tej spółki, egoista, odrywa na swą korzyść wyłączną przyjemność — rozrywkę — nadzieję — ten winien jest jak Ananiasz i Safira, których św. Paweł ukarał za to że grosz sobie zachowali — wprzód całe mienie składając na ofiarę Bogu i braci...

Taką spółką jest dawna polska rodzina — nie powinni jej członkowie mieć dla siebie tajemnic, ani pozbawiać tajemem szczęściem własnem udziału i części w niem należnej wszystkim...

Iza spojrzała nań, tłumaczenie to uderzyło ją.
— Jesteście komunistami serca... rzekła — a wy... przyznajcie się, lękacie pewnie zostać skazanym za małą kradzież... tajonej rozrywki...?

Władek spuścił głowę, ona uśmiechnęła się gorzko.

— Więc chwile te któreśmy tu spędzili z sobą... ukrywaliście przed niemi jak występki...? Cóż ja mam wniesić z tego? że niczem niedająca się zapełnić przepaść nas rozdziela?

Władek przerażony pochwycił ją za rękę z uczuciem.

— Źle to sobie pani tłumaczysz! Są święte uczucia które człowiek tai jak najdłużej i kryje od oczu profanów! A! nie zabijaj mnie pani tą brwią chmurną i gniewem! nie analizuj! nie odgaduj przyszłości! Zostaw troskę jej mnie. Jesteśmy czyści i możemy sobie i światu spojrzeć w oczy śmiało... Mnie nie zabraknie odwagi...

Iza stanęła zimna...

— Tyś dziecko, mój biedny panie Władysławie — rzekła na pół z gniewem pół z litością, wyrwijając mu rękę... tyś dziecko... a ja! ja sądziłam żeś mężczyzna!!!

Odwróciła się i chciała już wysunąć z ganku, gdy Władek nie zważając na to wcale że oko Dziadunia żywą rozmowę po mimice towarzyszącej jej pochwyti — drugi raz ujął rękę Izy. Wejrzenie jego zachodziło łzą, nie mówił nic, ale patrzył na nią tak błagająco, tak ognście, a tak był piękny w tej chwili... że Iza czuła się zwyciężoną jego słabością, tem co ją przed chwilą oburzało — nie wyrwała mu dłoni i ścisnęła z lekka jego rękę.

— Biedny mój przyjacielu — szepnęła mów... do widzenia czy... bądź zdrów na zawsze? jak cię pozegnać?

— A! do widzenia... Izo! nie mów nawet tak

okropnego wyrazu... w godzinie rozstania... Grecy wierzyli we wróżby... ja jestem zabobonny...

— Ja wierzę w siłę moję! odrzekła — więcej — w nic... wierzę w wolę moję, która jak uragan złamie co na drodze jej stanie... Tyś — słaby!

— Nie, pani, mylisz się... rzekł Władek... ja mam wiarę w siebie i serce, ale w rachubę łączę fatalizm... a tam gdzie najdroższy skarb... fatum wyrwać mi może — drzę.

— Nie ma fatum! odparła Iza — jest prawo... prawo to mówi, to masz na coś zasłużył!

— A na cóż jam zasłużył? nieśmiało spytał Władek patrząc na nią.

— Na — litość — odpowiedziała...

— I nic więcej?... nic?

— Nie wiem... szepnęła smutnie — nie wiem... Do widzenia!! do widzenia! dodała z przyciskiem rzucając nań ostatnie wejrzenie... Szybko potem wysliznęła się z ganku, przesunęła przez salon śmiało, prawie wyzywająco, spoglądając na starego... i znikła.

Władek z książką, którą trzymał w ręku, powoli wysunął się za nią z ganku do pokoju, przysiadł odważnie do rozmawiających i był świadkiem jak

Dziadunio dobiwszy targu o barany, począł frydrychsдоры liczyć na stoliku.

Von Stamm nie zdawał się nic dorozumiewać, napisał najformalniejszy kwit, rozmowa potrwała jeszcze minut kilka, potem Szambelan począł się żegnać, a Władek także i razem z nim wyszli z niemieckiej kamieniczki w milczeniu.

W dziedzińcu czując się może szpiegowanym gdzieś z okienka, Dziadek ująwszy pod rękę Władka szedł rozmawiając tak swobodnie i spokojnie, jakby się nic nadzwyczajnego nie trafiło... Mówił o doskonałym gospodarstwie pana von Stamm.

— To mi gospodarstwo co się zowie! zrozumiano bowiem czego nie wszyscy się gdzieindziej dorozumiewają, że rolnictwo musi iść w parze z przemysłem, że one wspólnie się posiłkują, że rola bez fabryki a fabryka bez rolnictwa umiera. Tu widzisz połączone rozumnie oboje, odpadki fabryki używiają rolę, rola im dostarcza surowego materiału który od razu wychodzi ztąd pod formą jak najprzenośniejszą, a jak największą sumę pracy w sobie mieszczącą. My co sprzedajemy ziarno gołe... jesteśmy o sto lat zacofani.

Wychodzili właśnie za bramę, gdzie ich już dorzeć nie mogło oko ciekawych dworu mieszkańców.

— Czy Dziadunio się na mnie gniewa? zapytał Władek obces rzucając się na niebezpieczeństwo.

— Ja? za co? Czegożbym ja się miał na ciebie gniewać? Żeś sobie pojechał posłuchać muzyki i pogawędzić o literaturze do pięknej panny Stamm?

— Ale bo... już ciż ja sam się czuję trochę winnym — odparł Władek... bom nie dobrze zrobił, nic nie mówiąc ani matce ani Dziadkowi o tej znajomości.

— I w tem nie ma nic tak bardzo złego, rzekł Dziadek, to dowodzi tylko żeś do niej zbyt wielkiej nie przywiązywał wagi... I bardzo słusznie — dodał stary — nie ma o czem mówić — Mógłś przeczuć że Szymbor prędzej później się z tem wypaple umyślnie, aby ci psikusa wypłatać.

— Dziadunio mi więc nie ma za złe?

— Ale najmniejszej rzeczy! żywo dorzucił stary — stokroć wolę taką pannę rozumną przy której jeszcze sobie możesz nieco przypomnieć filozofii Hegla, jak przy dobrym korrepetytorze, niż — niż jakiego szurgota z garderoby, któremu byś przez próżniactwo i dla rozrywki swej życie zatruł...

Panna i ładna wcale i dobrze wychowana.

A po chwili począł znowu.

— Matce twej — no, to prawda, możeby było

przykro, możeby się nawet nastraszyła dowiedziawszy z boku o tych odwiedzinach (gdyby się zbyt często powtarzały) — ale ja — wierz mi, znam świat i ludzi, jestem wyrozumiały. Nie posądzam cię znowu o to abyś dla waryacyi na fortepianie i estetycznych rozpraw miał się zakochać i — ożenić.

Władek szedł chmurny.

— Ożenienie, mówił stary — nie jest i nie powinno być dogodzeniem fantazyi sercowej — ono jest kolebką rodziny, gniazdem przyszłości. — Ptaszyna może śpiewać ślicznie ale sobie nie dać rady z pisklętami — a bądź co bądź — o pisklętach myśleć trzeba... aby sokół nie urodził sowy, obracając na odwrót przysłowie... Cobyś powiedział gdyby wróbel ożenił się z kanarzą. Na chwilę bawiłby się jej żółtą sukienką... ale czem innym się karmią, inaczej żyją, a w końcu się muszą za dziobać...

— Dziadunio te rzeczy tak jakoś bierze? rzekł powoli Władek...

— Ale ja ich nie biorę wcale ani tak ani owak, at! plotę, nie przywiązując do tego więcej wagi niż warto... odparł stary. Gada się aby się gadało... panna piękna... o! bardzo piękna!

— Żeby Dziadzio posłuchał jak gra, jak śpiewa, zobaczył jak maluje a pozwolił się jej wygadać przed sobą... jakie zdrowe, energiczne pojęcie świata i ludzi.]

— Ja się już tego wszystkiego doskonale domyślam... rzekł Dziadek... Wszystkie panny świeżo z tego pieca, co się pensją nazywa, wyjęte, mają obfity zapas talentów i idei, cała rzecz w tem, na jak długo im go starczy i czy odnowić potrafią... Powtóre trafia się i pospolite jest bardzo optyczne złudzenie... Jak dla kobiet tak dla mężczyzn są pewne w życiu pory w których oni się sobie wzajemnie wydają bohaterami i geniuszami, ideałami i bóstwami... Spotyka to wszystkich, dziwna rzecz... Mało kto potem na tej wysokości utrzymać się potrafi. Gdy to wszystko postarzeje, posiwieje... z kąd taka mnogość pospolitych ludzi? Metamorfoza często pierwszych zmarszczek nie czeka i bóstwo... zmienia się w zrzedliwą kucharkę...

Władek zniecierpliwiony westchnął, Dziadek zdawał się na to nie zważać, był w jak najprzedziwniejszym humorze...

Doszli właśnie do Pruskiej Korony, gdzie zano-cować mieli.

— Czy ty tu myślisz jeszcze jaki dzień zostać?

zapytał Szambelan wnuka — mów mi otwarcie. — Czy miałeś projekt i zapowiedziałeś im dłuższą wizytę.

— Ale nie! pożegnałem się i jutro rano miałem powracać...

— Pewnie?

— Najpewniej.

— Gdyby bowiem inaczej było, okazałbyś się w ich oczach dzieciakiem, którego dyrektor zastawszy przy otrząsaniu gruszek od drzewa do kozy prowadzi... Tego ja nie chcę...

— Ale, powtarzam Dziaduniowi, że miałem jutro wyjeżdżać rano.

— Jak mnie kochasz?

— Jak kocham mego najdroższego Dziadka! zawołał Władek...

Stary uściśnął go serdeczniej może niż kiedy.

— No to się ślicznie składa... rzekł zacierając ręce. Ja moje barany wyprawiam ztąd zaraz do domu a jegomości zabieram z sobą do Kalisza... bo na Kalisz powracać muszę. Do matki napiszę i wyprawię posłańca.

— Czy ja tam Dziadkowi będę potrzebny?

— Może — inaczej bym cię nie brał... Mam różne w mieście interesa, między innymi jeden de-

likatny do Beniowskiego, który ty może mi przez Hannę załatwisz... Beniowski jest w potrzebie, to wiem z boku... namówisz ją aby od nas jako od krewnych przyjęła pożyczkę... To poczciwe dziewczę zabija się daniem lekcyi... ale o tem pomówimy w drodze...

Nie przez słabość dla naszego bohatera, (bo pomimo tytułu czuje każdy że Dziadunio nim być biedny nie może) — ale dla miłości prawdy wyznać musimy, że ze wszystkimi swemi słabostkami — a miał ich sporo — Władek był chłopakiem którego łatwo było pokochać. Do tej miłości łączyło się może i poczucie do jego niezmiernej dobroci przechodzącej aż w niedołęztwo... z początku żal go było, ale miał tak złote serce!! ale taki był śliczny, a gdy się do kogo zbliżył, mówił, uśmiechnął, przysiadzby mógł że nim był i całe życie będzie zajęty... To też, — prawda wyznać nam każe, iż piękna Iza była najszczerzej w nim zakochaną i marzyła już o przyszłości, a co gorzej biedne owo dziewczętko, wnuczka króla Madagaskaru, spędziwszy z nim jeden wieczór w Rajwoli, zajęła się

także, choć się do tego sama nawet przed sobą przyznać nie śmiała. Spojrzeli sobie w oczy, zamienili kilka słów sympatycznych a sierota której życie było ciężkie, obrała sobie za bóstwo opiekuńcze pięknego Władka.

Czekała go nawet pytając się w duszy siebie — czy on przyjedzie?

A gdyby przyjechał obiecywała sobie być tak miłą, tak słodką, żeby go koniecznie przywiązać. Nie trzeba tylko wyobrażać sobie aby jej projekta sięgały dalej. — Chciała kochać i być kochaną, nawet gdyby porzuconą i pogardzoną być miała. Wiedziała bardzo dobrze iż bogaty dziedzic, nadzieja rodziny, ożenić się z nią nie może... Mówiła sobie że nigdy za mąż nie pójdzie i wierną swemu Dziadowi pozostanie do śmierci... Biedne dziewczę pełne było prostoty i całe sercem.

Tymczasem gdy panna Hanna roiła sobie o Władku, Antek Siekierka zajął się nią, pokochał i marzył... że zostawszy doktorem medycyny z nią się ożeni. Nie wątpił na chwilę że go pokocha... Całe dziewicze swe serce oddał uroczej Hannie.

Nie daleko było z Zarebia do Kalisza, wypadały często narady z wysłańcami warszawskiego komitetu... składało się jakoś tak zawsze, że się one

najmniej obudzając podejrzeń u profesora odbywały. Beniowski dawał się odciągnąć od nich. Zbywano go to tem to owem, ale wiedział i on że się coś święci. Któż wówczas o tem nie wiedział?

W drodze do Kalisza jadąc, Dziadunio który wrazenie pięknej Izy chciał zatrzeć w umyśle wnu-ka, opowiedział mu że ma, przyjechawszy, udać się do dworku Beniowskiego, widzieć sam na sam z Hanną, skłonić ją do przyjęcia pożyczki... na wszelki wypadek.

Władzio zgodził się na to posłuszny, ale choć Hanna mu się była podobała, bardzo poważnie się przed sobą zaklął że będzie z nią zimny, że spełni tylko rozkaz Dziada i powróci. Już to samo że sobie tak z góry nie dowierzając, plan osnuwał, zdradzało iż nie był siebie pewnym. Znał to sam że go piękne oczki mogły zaprowadzić gdzie chciały. Hanna była inną — śmiałą równie jak Iza, poetyczną na inny sposób i w prostocie swej polskiego dziecięcia... w chwilach zapału zachwycającą. Co dziwnego że się tak uzbrajał?

Przybywszy do Kalisza, przebrał się nieco Władek i wzięwszy żydka który go miał do dworku zaprowadzić, udał się tam niezwłocznie. Żydek już po drodze mu powiedział:

— Jakto, żeby jasny pan nie znał dworku profesora? tam teraz wszyscy chodzą...

— Dla czego?

— Aj! jakby to pan nie wiedział, tam i z Warszawy jadą... naradzają się względem tego rewolucjów co jego mają zrobić na Moskala...

Władek ruszył ramionami.

— To i ty o tem wiesz! rzekł śmiejąc się.

— Co ja nie mam wiedzieć, odparł faktor, kiedy my teraz z panami idziemy ręka w rękę. Jak panowie zrobią rewolucjów, to i my do nich musimy należeć...

Władek się śmiał.

— No — a ja o tem nie wiem! odparł — mieszkałem w Berlinie... nic tego nie rozumiem... Ale stary Beniowski nasz krewny...

Żyd zaczął ręką machać.

— Na co to tego gadać! jak pan się boi... no... to *still* — i dość. A teraz widzi Jasny Pan ten dworek pod kasztanami? gdzie stara furtka...

— Widzę...

— No — to jest pałac króla... i kłaniam Jaśnie Panu... już pan trafi.

Odprawiwszy żydka, Władek powoli zbliżył się do dworku. Leżał on w oddalonej, cichej, spokojnej

za miastem ulicze... Obszerny ogród ze starymi drzewy go otaczał. Od ulicy dwa stare rozłożyste kasztany aż do zbytku ocieniały budowę tę drewnianą, niewykwintną, dawnym trybem wzniesioną z ganeczkiem i wystawką. Parkan drewniany zczerniał oddzielał ją od drogi, a w nim podobna furtka wiodła przez małą uliczkę do stojących otworem drzwi przez które na przestrzał widać było w głębi ogród z lipami.

Zaledwie Władek furtkę otworzył i zabierał się do wnijsia, gdy naprzeciwko niemu wielkim pędem wybiegł duży, kudłaty pies czarny, wcale nie do pogardzenia i szczeknął, a szczeknąwszy burcząc siadł na ścieżce. Władek sądząc że tego cerbera potrafi przekonać łagodnymi wyrazy o czystości swoich zamiarów, odezwał się do niego i próbował zbliżyć, ale psisko najeżywszy szerść, gwałtownie zaczęło szczekać i zawyło. Nie było sposobu kroku dalej postąpić. Oglądał się już Władek na wsze strony, gdy z dworku wybiegła Hanna, postrzegła go, nie kryjąc radości swej uderzyła w dłonie i zawołała Nerona, który posłuszny ale mruczając stanął w arjer-gardzie.

Obie ręce podało dziewczę Władkowi, z takim uczuciem, weselem, uprzejmością że biedny poczciwy

chłopiec od razu mocnych postanowień, czynionych w drodze, zapomniał.

Tuż za Hanną wysunął się i król z fajką na długim cybuchu i bardzo poważnie podać raczył rękę Władysławowi. Tym razem był w szlafroku ale na nim błyszczał order Gwiazdo-krzyża, na nogach miał wyszywane pantofle, na głowie haftowaną czapeczkę wedle własnego pomysłu. Do koła na aksamicie wyobrażało szycie niby koronę, a ogromny kutas złoty ją zakończył.

Uprzejmie powitał Władka i ujął go pod rękę, Hanna jeszcze się wpatrywała mu chwilę w oczy i znikła.

— Wiesz, rzekł do niego cicho — wszystkie projekta moje za nic, to jest odłożone... Przekonałem się, że w kraju się na coś zanosi ważnego, moje światło... i doświadczenie przydatnem im być może. Zresztą kto wie... dynastji będą potrzebowali, w takim razie Madagaskar bym przyłączył i zrobił kolonią polskiej Rzeczypospolitej. Ale o tem potem... chodź do środka...

Na lewo z sieni był ogromny całą tę stronę domu zajmujący salon... do którego król gościa wprowadził. Mimo ubóstwa jakie się czuć dawało, nie był on bez oryginalności urządzony... W jednym

z okien na podniebieniu obitem czerwonym suknem stał szeroki fotel... który *incognito* tron podobno miał przedstawiać. Na ścianie przeciwległej portret Beniowskiego przez kaliskiego Winterhaltera jakiegoś malowany przedstawiał go za stołem, wśród dyplomów i papierów. Na jednym z nich stało dosyć wyraźnie — *Magna Charta*.

W kącie był fortepianik Hanny na którym teraz rozłożony był śpiew brzmiały po kraju całym: *Boże coś Polskę...* Zresztą sprzęty skromne, ale kwiaty po wszystkich stołach, czysto, świeżo i wonno... Jakże się zdziwił a może i ucieszył Władek, gdy wchodząc po za Hanną dostrzegł stojącego Antka który na widok jego mocno się zarumienił.

Spadł mu jakiś ciężar z serca, pomyślał że Hanna się nim zajmie, a jemu umniejszy to pokusy... Ale oczy Hanny nie zwróciły się na Antka nawet, goniły za ideałem, a usta jeszcze się uśmiechały.

Professor zamysłony poszedł zająć swe krzesło. Nero położył się pod piecem, młodzież zebrała się do kupki.

— Antek tu dawno? spytał Władzio.

— Nie bardzo, odpowiedział Siekierka — ale

jakże się stało że ciebie tu widzę, nigdy mi po-
żądańszym być nie mógłś...

Odprowadził go na stronę:

— Przybyłem tu na wezwanie kilku znajomych
i nieznajomych z Warszawy którzy zjeżdżają się
dla narady... Naturalnie kiedy tu jesteś zapewne
zechcesz być przytomny... dowiesz się co się dzieje.

— Ale oni mnie nie znają?

— To nic, ja cię zapoznam...

— I Dziadek na mnie oczekuje w mieście.

— No, to będziesz póki zechcesz...

Wrócili do Hanny... jasnemi oczyma grożącej
za Władkiem i uśmiechającej się do niego.

— Kuzynko, szepnął przybyły, czy mi tego pro-
fessor za złe nie weźmie i wy jeśli was poproszę
na ustęp i poufną rozmowę? Mam do was polece-
nie od Dziadunia.

Hanna ucieszona widocznie, zwróciła się ku Sie-
kierce.

— Zabaw pan mego dziada... Pan Władysław
ma do mnie interes, wyjdziemy na chwilę ku li-
powej altanie i zaraz powrócimy...

Zazdrośnie spojrzął Antek na dosyć obojętnego
Władka i powoli zbliżył się do króla zatopionego
w czytaniu konstytucyi angielskiej.

Hanna z dziecinną prostotą podała rękę przybyłemu i wysunęła się z nim do sieni... od której ulica sadzona agrestem i porzeczkami prowadziła do altany krągłej ze starych lip, zajmującej środek sadu. Nero który już się zabierał do spoczynku, postrzegłszy iż pani jego wyszła, wstał choć nie z wielką ochotą i wyciągając się powłókł spełnić swój obowiązek lejbgwardyi.

— Patrzcie tylko... zawołała Hanna wprowadzając go do ogródka... jak to się wam po waszych ogrodach, parkach, murawach, alejach wyda biedne i ubogie i ciasne... A żebyście wiedzieli jakie to piękne i miłe w moich oczach! Ja tu prawie od dzieciństwa biegałam, znam każdy krzaczek, gałąź każdą, witam się z niemi jak ze starymi przyjaciółmi.

Spojrzała nań, Władek się uśmiechnął.

— Ale bo nie jest u nas brzydko? wiecie, to ja sama mam o ogródku staranie. Żebyście wiedzieli jakie tego roku śliczne białe lilie mi kwitły! jakie mam róże.

Władek któremu pilno było przyjść do słowa i do przedmiotu poselstwa, myślał tylko jak począć, ale to szczebiotanie miło dźwięczało mu w uszach...

spoglądał na Hannę, znajdował ją piękną nawet w świetle wspomnień o Izie... Ale jakże inną?

Ta zdawała się rosnać jak lilie o których wspomniiała, wprost z ziemi swej, prawie nie pielęgnowana, na tamtej doskonałość składały się czarownic dłonie, cały wyrefinowany artyzm teatru wielkiego świata... Czuł Władek że Iza mogła się namiętnie przywiązać, ale Hanny serce... oddawszy się raz, dałoby się na zawsze... Myśli młodzieńcze snuły się po głowie i milczał.

Doszli tak aż do ławki pod lipami.

— Lękam się żeby nam kto nie przeszkodził — odezwał się Władek, Dziadunio mi polecił prosić was...

Jakoś mu nie szło, zawahał się.

— Dziadunio wie że teraz czasy są ciężkie, że częste wycieczki profesora narażają was na niespodziane koszta, chce więc i prosi abyście na wszelki wypadek, pożyczyci u niego... dla zapasu... i przysła...

Władek powoli dobywał kopertę z kieszeni, Hanna zarumieniła się jak wiśnia i z lekka odtrąciła jego rękę.

— Umiem cenić, odpowiedziała głosem w którym się przebijała boleść — złote serce Dziadunia...

ale doprawdy ta jego troskliwość jest zbytęczną...
a tak upokarzająca rzecz...

Zwróciła nań oczy łzawe.

— Nie — nie! rzekła — ja się wam jako krew-
nemu, jako przyjacielowi wytłumaczę szęzerze...
Ja moją pracą wystarczam na wszystko... a mnie
ona nie cięży, jest miłą... czyni mnie dumną...
Teraz poczciwy dziadek będzie już siedział w domu...
myśli jego zwróciły się w inną stronę.

— Ale dla czegożbyście na wszelki wypadek...
nie mieli przyjąć?

— Dla tego, odpowiedziała Hanna, że wzięw-
szy nie mogłabym może oddać, a jałmużny... o!
nie zabijajcie nas jałmużną...

— Droga kuzynko — odezwał się Władek —
jesteśmy krewni, nie zwijcie tego jałmużną...

— Jakże chcecie bym nazwała? darem? pomo-
cą? dobrodziejstwem? Ale to wszystko ma jedno
znaczenie. Wam dać jest miło, ale odbierać jak bo-
leśnie... Z ubóstwem mojem ja czoło podnoszę u-
śmiechnięta... bo mi ono stąrczy... czuję się równą
każdemu... żebraczka... a! nie! nie! Wstała z ławki,
i odsunęła rękę Władka.

— Nie miałem myśli uczynić wam przykrości

— Dziadek mi kazał... odezwał się Władek, byłem mu posłusznym.

— Ale wierzcie mi że my tego nie potrzebujemy, tryb życia do któregośmy nawykli nie kosztuje wiele, mam lekcye w mieście... Profesor ma pensyjkę emerytalną... ogródek nas po trosze żywi i wiecie że tego roku wynajęłam jabłonie? a jak mi jeszcze braknie, wieczorami ręczne roboty, to rozrywka... Zawsze znajdę w mieście życzliwych co je kupią.

Wiesz kuzynku, dodała śmiejąc się, ja przy mojem skromnem ubóstwie od niejednego jestem bogatsza.

— Wierzę, podziwiam — rozumiem cię, droga panno Hanno, ale ja mam rozkaz od Dziadka, wyraźny, naglący, abym w ostatnim razie te pieniądze jako depozyt w waszych rękach zostawił. Gdy zechcecie oddacie jemu.

To mówiąc wysunął znowu kopertę. Hanna stanowczo rękę jego powstrzymała.

— Nie przyjmuję, rzekła — posłów nie ścinają ani wieszają... ale niechno Dziadunio przyjdzie sam, dopiero się z nim rozprawię...

Zamiast tego daru... dodała... ja was o co innego prosić będę.

— A! co każecie!

— Przyślecie mi książek... oddam je w całości, pożyczycie mi nut. Mylę się... przywieziecie mi sami nuty i książki... dacie mi jałmużną kilka godzin waszego życia — to przyjmę.

Podawała mu rękę wesoło, Władek pocałował ją... spojrzał mimowoli — mimo pracy była to ładna pulchniutka rączka z długimi paluszkami... różowa, młoda, ale mówiąca o szlachetnem sercu...

Któż nie wie że ręce tyle mówią!!

Władek byłby z chęcią przedłużył rozprawę... ale Hanna sama zwróciła się ku domowi a Nero rad z powrotu naszczekując ich poprzedzał.

W saloniku spotkało młodego człowieka dziwne, chmurne jakies wejrzenie Antka... który zazdrości swojej ukryć nie umiał.

Oprócz niego i profesora znowu zatopionego w konstytucyi, było jeszcze parę osób świeżo przybyłych... Jeden z nich w mundurze wojska moskiewskiego z twarzą bladą ale dziwnie energicznego wyrazu i oczyma przenikającemi... zmierzył wzrokiem niedowierzającym Władka, który mu znać może za arystokratycznie wyglądał. Dwaj jego towarzysze byli to młodzi chłopcy żywego temperamentu... Starszy nieco zmierzył wchodzącego Władka od stóp do głowy ciekawie... i zaraz się na bok

usunął... Antek który już był z nimi znajomy, skinąwszy na nich i na Władka wyprowadził razem wszystkich do ogródka — w sieniach prezentując ich sobie nazwiskami jak się zdawało przybranymi...

Zasiedli zapalając cygara w altanie.

Pierwszy to raz Władek był przytomnym rodzejowi narady tych, którzy obezwładnionym krajem miotali. Nie trudno mu było dostrzedz że z pewnym rodzajem nieufności wiedziono rozmowę, miłość własną jego to ubodło... wytrzymał krótko — potem wstał z ławki...

— Przebaczcie mi, rzekł, że nie w porę wtrączę wam moje wyznanie wiary. Nie mam szczęścia być wam bliżej znanym... Moja przytomność mimowolnie wiązać was będzie... nie chcę wam przeszkadzać... ale na odchodnem przyjmijcie odemnie zaręczenie, że gdy ojczyzna zawoła... dwa razy mi przypominać obowiązku nie będzie potrzeba... Do rady nie na wiele się przydam... rękę macie do rozporządzenia...

To mówiąc z kolei uściśnął dłoń trzech przybyłych i zwrócił się ku dworkowi. Antek chciał go powstrzymać, może i dla tego że wracał do Hanny, ale Władek przypomniawszy że nań Dziadek oczekuje, że nie jest panem siebie i odszedł...

— Ten mi coś wygląda na arystokratę! rzekł oficer.

— Ale ja za niego ręczę... odparł Antek... pójdzie.

— Choćby przyszło ze sztyletem iść? spytał najmłodszy.

— Nie, ani on ani ja się na to nie ofiaruję — rzekł Antek. — Będziemy się bić w polu...

Chłopcy spojrzeli na siebie ironicznie.

— Tak, wy jesteście wszyscy rewolucyoniści starej szkoły, co chcecie wodą różaną ojczyznę z le-targu otrzeźwić!

— Nie, odpowiedział Antek — na placu boju — ofiarujemy wam krew naszą...

To wystąpienie Siekierki na chwilę ostudziło przybyłych, ale wkrótce znowu żwawe się rozpoczęły rozprawy. Tymczasem Władek z Hanną siedział w kątku sali i sam się nie postrzegł jak mu na rozmowie z nią godzina długa ubiegła... Zrazu chłodny, trzymający się na wodzy, roztopniał pod wejrzeniem jej... zapomniał o Izie, zbliżył się do naiwnego dziewczęcia... Serce mu nie uderzyło, ale czuł się ku niemu pociągnionym... a — co gorzej — Hanna wyczytała w jego oczach, mowie, głosie... więcej niż była powinna.... a gdy się rozstawali

i podali sobie dłonie, Władek uczył jak jej ręka zadrżała i uścisnęła lekko dłoń kuzynka... Spojrzał na nią, rozłzawione jej oczy mówiły mu milczeniem — Będę twoją lub niczyją!

Jakkolwiek derywacyjna kuracya Dziadunia na chwilę poskutkowała i Władek zajął się nieco piękną Hanną, nie trwało to długo, trzeciego dnia zatęsknił do Izy, a czuł potrzebę tem większą stawienia się w Waldau że obowiązany był dowieść przed nią iż miał swą wolę, a ustraszyć się nie dał obawą nieprzyjemności od rodziny. I choć czuła matka, która z bólem postrzegała coraz większą, dla siebie niewytłumaczoną, w nim zmianę, starała się go powstrzymać, Władek pobiegł znowu... choć na chwilę widzieć Izę.

O wszystkich jego obrotach teraz równie Szymbor, który go z oka nie spuszczał, jak i Dziadunio był uwiadomiony. Pierwszy cieszył się wielce swem dziełem, bo wiedział że pobałamuciwszy Władka, wielką, bolesną Dziadkowi zadał przykrość, drugi napróżno szukał środków sparaliżowania podstępnych knozań Szymbora...

Zapewne aby się nacieszyć widokiem zemsty swej, Szymbor, który prawie nigdy nie bywał w Rajwoli sam, a z żoną rzadko, wybrał się nazajutrz po wyjeździe Władka do Szambelana. Stary siedział znowu przy siatce swej w cieniu, gdy z podziwieniem ujrzał przybywającego gościa. Wiedział dobrze że mu pewnie nic przyjemnego nie przywozi, ale nie chcąc się okazać przybitym i smutnym, przybrał minę jak najweselszą i powitał w ganku ochoczo.

— A cóż to za nadzwyczajna okoliczność sprowadza was tutaj! jakże wam dziękować! zawołał — toście się już chyba zanudzili śmiertelnie że niewiedzieć raczycie pustelnię starego Dziada.

— Od dawna się wybierałem, odparł Szymbor z tą uniżoną grzecznością zakrawającą na szyderstwo, którą miał zawsze na zawołanie dla Dziada; nie śmiałem tylko być natrętnym... Dziś... zatęskniwszy i za panem Szambelanem i za tym kochanym Władkiem, którego tu pewno zastanę...

— Władka u mnie nie ma! rzekł stary.

— Nie ma! z udanem podziwieniem przerwał Szymbor, nie ma go i tu! proszę! a gdzież to się chłopiec bałamuci! Byłem prawie pewien, wiedząc iż z Zarębia wyjechał, iż go tu złapię. A tak kocham tego poczciwego chłopca... dalipan jak Dziadunio.

- Tylko na inny sposób.
- Ano — każdy po swojemu kocha i nienawidzi, jak każdy kwiat inaczej pachnie...
- Lub śmierdzi! szepnął Dziad żartobliwie.
- To jednak dziwna rzecz, dokąd Władek tak lata?
- W Pan nie wiesz? zapytał Dziad z uśmiechem.
- Nie domyślałam się.
- A to ja ci powiem. Chłopak się zadurzył i pokochał we wnuczce Beniowskiego, jestem pewien, że poleciał znowu do Kalisza.
- Do Kalisza? spytał Szymbor... doprawdy? a cóż na to Dziadunio?
- Nic — jestem spektatorem, to moja rola, rzekł stary, czy tu czy tam bałamucić się będzie, od romansiku do ołtarza daleko... mamy czas zapobiedz. Władek chłopak słaby ale poczciwy, matkę kocha, mnie czasem słucha.
- Szymbor spojrział tylko, nie rad był że stary nic nie wiedział i taki się zdawał bezpieczny.
- Ale czy tylko to do Kalisza i do Hanny poleciał? zapytał... czy Szambelan tego pewny...
- Dla tego pewny jestem że nic innego i nic ważniejszego nie ma, boćby Władek matce lub

mnie się zwierzył, jeśli nie z całego głupstwa to choć z połowy przynajmniej.

Szymbor się dziwnie uśmiechnął.

— Zresztą, dodał stary nadrabiając wesołością której nie miał — nie tajno to wam, że się w kraju gotuje jak w kotle... warzy, a kipi. Władek choć mało ma do polityki pociągu ale młody... a spisek ma dla jego wieku swój smak i urok... może gdzie na naradzie.

— A pan Szambelan co na to?

— Cóż chcesz bym począł? reflektuję jak u-
miem, odciągać nie mogę...

— Bądź co bądź, dodał Szymbor, tego roku nam chłopiec więcej niż kiedy się emancypuje.

— Bo tego roku o rok starszy, mości dobro-
dzieju! rzekł Dziadunio.

Pomilczeli chwilę, stary zdawał się spokojny, kończył nawet kawalek roboty swej z krwią zimną, ale wewnątrz w nim kipiało. Nie dość było zdrady, jeszcze do niej łączyło się urągowisko!

Godzina była poobiednia, dzień dosyć skwarny, słońce jak zwykle ku zachodowi zaczynało się wkra-
dać na ganek... Nagle Dziadunio wstał, otarł pot z czoła... — Jak tu gorąco — zawołał — chodźmy do
mojego pokoju, tam jest chłodek bardzo przyjemny.

Nie można było tak wyraźnemu zaproszeniu odmówić, chociaż Szymbor pokoju tego jakoś nie lubił... nie wiedzieć dla czego... Gabinet Dziadunia, ten właśnie po którym zawsze rozmyślając przechadzać się lubił — był pracownią jego i zbiorem pamiątek całego życia. Tu na ścianach wisiały portrety żony nieboszczki, córki, naostatek wnuka Stanisława, którego nagły zgon najboleśniejszą ranę w sercu starca zostawił. Wizerunek Stasia kochanego wisiał w pośrodku... w miejscu widocznym jakby Dziadunio umyślnie go chciał mieć ciągle na oczach... Pod nim na małej czarnej konsolce hebanowej, dziwacznie przyozdobionej trupią główką z kości słoniowej, w pudełeczku z hebanu stała zachowana owa kula z rany wyjęta która go życia pozbawiła...

Wszedłszy do tego pokoju Szymbor mimowolnie rzucił okiem na portret i odwrócił od niego wzrok żywo... Stanisław zdawał się na niego poglądać z dziwnem jakimś szyderstwem... Usiadł unikając portretu i jego wzroku, ale z kądkolwiek nań patrzył... znajdował oczy wizerunku wlepione w siebie...

W pokoju było chłodno... ale Szymbor ocierał pot z czoła.

— Patrzysz widzę na tego nieszczęśliwego Sta-

sia, rzekł Dziadek po chwili... Co to za dziwna, tajemnicza historia!

— Tak! dziwna dosyć... ale już dziś po latach tylu tajemnicy tej dochodzić trudno...

— Myślisz? rzekł Dziad — tego rodzaju krwawe zagadki niekiedy się i po upływie długiego przeciągu czasu rozjaśniają nagle. Co do mnie... dodał, nigdy nie przestałem szperać, myśleć, dochodzić i poszukiwać śladów...

— Ale bezskutecznie, rzekł Szymbor.

— Może nie tak zupełnie bezskutecznie jakby się wam zdawało?

— Doprawdy? spytał nieco ironicznie Szymbor.

— W istocie... Jużem wam mówił, że doktor, którego mam świadectwo, kulę z rany dobył, zachowuję też jego strzelbę na dowód że ona z niej wyjść nie mogła. Kaliber jest wcale różny...

— I cóż z tego? spytał Szymbor...

— A oto teraz — rzekł patrząc w niego Dziadek, właśnie mi się udało... dostać inną strzelbę, która wedle wszystkiego prawdopodobieństwa na tem polowaniu była... i pasuje do kuli... doskonale... Chcesz się przekonać?

— Nie wierzę zupełnie — odparł obojętnie

Szymbor, ale cóż to dowodzi? Strzelb tego kalibru być może po świecie mnóstwo?

— Prawda, zawołał Dziad... ale ta... ta... ta... nie wiem tylko jeszcze dokładnie w czyjem ręku... była na owem polowaniu.

— Ma Dziadunio dowody?

— Znajdą się... rzekł z wolna stary...

— Ciekawa rzecz... zawołał Szymbor i urwał nagle, a po chwili dorzucił nabierając odwagi.

— Radbym tę strzelbę zobaczyć?

— Szambelan poszedł do kąta, wydobył dubeltówkę i milcząc podał ją Szymborowi... Ten wziął ją ręką drżącą i począł się przypatrywać pilno.

— To rzecz dziwna! zawołał... ale tak jest! tak jest! Ta strzelba była moją... oto znak... cyfra... Darowałem ją memu Kernerowi... a ten musiał sprzedać... Więc wie p. Szambelan na co by to wyjść mogło? oto na posądzenie że ja zabiłem Stasia...

Dziadek zdumiony zuchwalstwem Szymbora, który strzelbę w tej chwili dziwnie uśmiechając się stawiał, spojrział nań i czekał dalszego ciągu...

— Prawda, żeśmy się całe życie z tym poczciwym Stasiem żarli i kłócili... ale od tego do zabicia go na polowaniu... jeszcze daleko... Spodzie-

wam się że podobna myśl nawet Dziaduniowi przez głowę nie przeszła?

Dziad milczał.

— Ale przypuściwszy nawet — uniesienie, przypadek, słowem zbrodnią o którą by mnie szalony chyba mógł obwinić... cóż dalej? przecież Dziadek męża swej wnuczki i honoru domu po latach tyłu nie chciałby dla dziwacznej zemsty jakiejś poświęcić?

Szymbor był blady, uśmiechał się szydersko.

— W istocie podobnej zbrodni nie przypuściłbym... nie śmiałbym nawet pomyśleć — odezwał się stary... ale powiem ci szczerze, gdybym na ślad jej pewny, niewątpliwy trafił, gdybym miał przekonanie że popełnioną została... nie wstrzymałaby mnie ani chęć ocalenia honoru domu, ani miły spokój, ani żadne względy... Jestem z zasady przeciwnym tajeniu występku...

— Jakto? śmiejąc się przerwał Szymbor, poświęciłby Dziadunio Justysię?

— Nie byłoby to już dziś poświęceniem jej, ale może... trochę tylko bolesnem oswobodzeniem... rzekł Dziad. Nacieszyliście się sobą wzajemnie...

Szymbor siedział nieruchomy, chłodny, bawiąc się frendlami kanapki a niekiedy spoglądając na starca prawie wyzywająco.

— Dzięki Bogu, że to są wszystko żarty i że pan Szambelan nie możesz na chwilę nawet przypuścić... abym ja... ale mówić o tem nawet nie chcę.!!

— Przyznasz jednak, że to się dziwnie składa... rzekł stary powoli... ta strzelba która do was należała i którą mieliście na polowaniu?

— Nie miałem jej na polowaniu, odparł zimno Szymbor, była już wówczas darowana Kernerowi!

— A! zawołał Dziad odnosząc strzelbę do kąta powoli... to co innego... Popatrzyli na siebie milczący.

— Jest to zdziwienie zapewne pochodzące ze starości, odezwał się Dziad po chwili, a jak wy powiecie — przesąd... ale ja mam tę pewność że oczy moje ujrzą jeszcze wyjaśniającą się tę tajemnicę i karę nad występny. Jestem o tem przekonany! Są cuda w wypadkach podobnych...

— Po latach tylu... wszak się wszelkie ślady zatarty... obojętnie dodał Szymbor... Ale dobrze się Dziadkowi pocieszać choć tą nadzieją...

— Nie umrę dopóki tego nie dojdę...

— To dobrze, śmiejąc się zawołał Szymbor, będzie nam p. Szambelan żył długie lata...

Stary milczał.

— Waćpanowie tych rzeczy nie czytacie lub śmiejecie się z nich jak z bajek, ale ja w długim życiu i naczytałem się i napatrzyłem istnych cudów tego rodzaju... Zbrodniarz bezkarnie urąga się sprawiedliwości, mniema się bezpiecznym... głuszy w sobie sumienie... a w lat wiele jakieś niespodziane światło... tajemnicę odkrywa i... winnego wiedzie pod miecz sprawiedliwości...

— Tak! tak! czytałem i ja wiele podobnych historyjek w *Causes célèbres*, ale zwykle owe przypadki... prędzej przychodzą, a po latach kilkunastu...

— Nawet po kilkudziesięciu! dodał stary.

— Daj Boże! zawołał Szymbor... pragnę bardzo żeby się to raz przecie wyjaśniło... Chociaż trudno mi podzielać złudzenie pana Szambelana. Wedle wszelkiego podobieństwa krwawa ta scena odbyła się w lesie, w ostępie, bez świadków... Materjalne ślady zatarte, a gdyby wypadek tam spowodził kogoś cobyto był widział... nie czekałby pewnie lat kilkunastu z wyznaniem.

Dziad westchnął...

— Nie było nikogo... mówił Szymbor.

— Był Bóg — odparł starzec i zamilkł.

Na tem skończyła się rozmowa prowadzona z obu stron z wielkiem pomiarkowaniem... Szymbor spokojnie palił cygaro...

— Trzeba przyznać, odezwał się po chwili, że to nieszczęśliwa rodzina! Stanisławowi tak się marnie skończyło... a Władek najpocziwsze w świecie chłopię, trzpiot i także trudno go będzie poprowadzić...

— O Władka ja się tak znów bardzo nie lękam... dodał Szambelan...

— A ja, co go kocham... trwożę się nie po mału. Władek ma tę gorączkę życia, z którą długie lata mu się nie wróżą... wyczerpie się... Niech Bóg uchowa nieszczęścia... ale w takim razie... jak żeby smutno było Dziaduniowi... samemu jednemu na świecie, my dzieci nie mamy...

— Wiesz waćpan co? gorąco zawował stary, zabolala mnie ta wasza groźba! dotknęliście okrutnie starego... ale gdyby Bóg chciał mnie ukarać tak srodze... może, możeby się znalazła rodzina... o której wy nie wiecie nawet...

— Zawsze nie tak bliska...

— A no! kto wie! są po świecie tajemnice...

— W naszych szlacheckich rodzinach one się nie trafiają... I uśmiechnął się Szymbor...

W tem na szczęście stary Szczepan oznajmił kawę i frukta... i wyszli z tego pokoju... Szymbor mimo panowania nad sobą drżący, Dziad poruszony i blady, z czem się ukrywać nie myślał...

Jest zadaniem polemicznem, dotąd nierozstrzygniętem przez erotologów... czy w jednym sercu współcześnie dwie miłości pomieścić się mogą, mówimy miłości, gdyż miłostki potulne siedzą nieraz kupkami i niekoniecznie w sercu... Pomimo troskliwych studyów nad tym przedmiotem tak zajmującym, nie śmielibyśmy rozstrzygać... acz opinia powszechna z oburzeniem odrzuca przypuszczenie samo potworności tego rodzaju. A jednak... jeżeli natura obalamuca się do tego stopnia że wydaje czasem braci Sijamskich, czyby i uczucie wierne, dziecię matczyne, nie mogło też wydać takiego potworu?? *Lis est sub judice*, niech każdy zstąpi w ciemny ów loch w którym chowa stare życia pamiętki a przekona się że nieraz zbierało mu się przynajmniej na grzech tego rodzaju... A zawsze

prawie ilekroć człowiek stawał w tem przykrem położeniu (nie śmiemy go porównać do Burydanowego osiołka) — owe dwie miłości ciągnące go równie w prawo i lewo, były niezmiernie różnemi obudzone przedmiotami. Kochać się choćby we dwóch czarnobrewach razem nie ma ani podobieństwa; ale ginąć dla czarnobrewy rano, a umierać dla jasnowłosej wieczorem, należy do nieszczęśliwych defektów natury ludzkiej, której filozofowie przyznają jako piętno najwybitniejsze — słabość. — Wszystkie siły człowieka nader są problematyczne... niedołęztwo nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Do okoliczności łagodzących to potworne przestępstwo należy... młodość — wytrawnemu mężczyźnie, dojrzałszej niewieście nie uszłoby tego rodzaju bałamuctwo, młodość ma tak ogromne zasoby iż gotowa podołać temu szafunkowi — wyjść z niego cało.

Łatwo się domyśleć że ta obrona monstrialnej płochości stosuje się tu do tego najukochońszego jedynaczka, który wykradał się do Waldau, którego po lekarstwo na tę chorobę posyłał Dziadunio do Kalisza, a skutkiem tych podróży w dwa przeciwne krańce świata było że się w nim obie panny sza-

lenie pokochały, a on... nie śmiał ani jednej ani drugiej odebrać nadziei... Różnica jednak wielka zachodziła między temi dwoma bałamuctwami, z których pierwsze zdawało się groźne dla przyszłości Władka, drugie dla biednej Hanny. — Iza miała instynkt niewieści, doświadczenie, była artystką w miłości jak we wszystkim, trzymała młodego chłopca tysiącem sztuk niewinnych i komedyjek improwizowanych, gdy Hanna łzawemi tylko oczyma i ścisnieniem ręki trwożliwem kupić go sobie pragnęła.

Między sztuką i naturą... niestety!! człowiek jak ów Burydanowy osiołek stojąc... zawsze pierwszej przyzna zwycięstwo nad sobą.

Zaczynało się wszakże po kilku miesiącach nieco przykrzyć pięknej Izie że miłość nie wchodziła w żadne rachuby z rzeczywistością, prościej mówiąc, że Władek mówił o sercu a nie o kobiercu, że się przysięgał jako nieśmiertelnie kochać będzie a milczał czy się ożeni. Nie wypadało go zagadywać, a bądź co bądź, czas był wielki. Radzca von Stamm z każdym dniem stawał się sztywniej poważnym, a pani Lenora kwaśniejszą... Naglili na córkę aby poufale z nim będąc wymogła coś stanowczego. Iza wahała się, naostatek jednego wieczora... położywszy rączkę białą na ramieniu Władka, odezwała się:

— Mówmy z sobą szczerze... powiadasz mi że mnie kochasz... jesteśmy wolni oboje... czuję się ciebie godną... cóż nas rozdziela?

Władek zadrżał.

— Pozwalasz mi być szczerym, będę nim... dzieli nas... dzieli nas... uprzedzenie matki mojej i Dziada przeciwko narodowi waszemu... To ja wprzódki przełamać muszę, niżeli wyrzeknę słowo stanowcze... a gdy je powiem... nie cofnę. Dziś jestem wedle obyczaju i prawa pod władzą, za parę lat...

Iza porwała się z krzesła.

— Jakto? w tej niepewności każesz mi lat parę czekać na coś stanowczego... ale to być nie może?

— Izo... kochaszże mnie?

— Właśnie dla tego że cię Kocham...

— A jeśli innego nie ma środka...

— To twoja rzecz, tyś go znaleźć powinien...

Władek spuścił głowę... i cicho rzekł.

— Będę się starał.

Mówili długo. Iza złagodniała... łatwo jej było oczarować go, pociągnąć, pochwycić, namówić na co chciała. Ale gdy straciwszy ją z oczów, stanął potem naprzeciw matki, gdy pomyślał jaki cios zada jej to wyznanie, gdy wystawił sobie Dziada... tracił odwagę i odkładał do jutra.

Z Hanną nie mówili nigdy o miłości... nie było wyznań... nie żądała nic od niego... ale czuła że on ją rozumie i zdawało się jej że na niego rachować może... Każdy dzień ich zbliżał, spoufalał, przywiązywał więcej, Władek przywykł do niej, pokochał ją jak siostrę... Ona w tem czystem uczuciu czerpała szczęście, więcej nie pragnąc.

Tak upływały miesiące.

Stan kraju usprawiedliwiał poniekąd zmianę w planach Władysława, odkładając ostateczne egzamina do swobodniejszej chwili, pozostał w domu na wsi... Antek pojechał kończyć medycynę do Warszawy, ale i ten więcej czasu tracił na przejażdżkach do Kalisza i Rajwoli, niż w klinikach... Czynnym mając udział w początkowej organizacyi, poświęcił się jej cały...

Szymbor chwilową wycieczkę zrobiwszy do wód po żonę, wrócił z nią na wieś, czatując zawsze na Władka, na którego wpływ wywierał najrozmaitszemi sposoby starając się do niego przybliżyć, i stosunki jego z domem Stammów utrwalić.

Mineło kilka miesięcy.

W lutym wybuchło powstanie które z razu zdawało się tak słabem i niestworzonym do życia, iż mu je na tygodnie liczono... Tajemnicą jest jak w obec tych sił które stały już przeciwko niemu i co chwila przyływały, wśród tysiąca przeszkód, potrafiło wzmódz się, zorganizować, uzbroić. — W lutym kilka strzelb myśliwskich stanowiło cały jego arsenał, kilku gorących młodzianów całe wojsko... a cały skarb niedostatnia ich kieszeń; w kwietniu rosły już zbrojne oddziały, wybuchały coraz nowe powstańka prowincjonalne, wojna rozszerzała się, potężniała... trzymała i pokonana zmartwychwstawała istnym cudem... Jak w ulu na wiosnę roiło się w tajemniczych lasów głębiach... Moskwa zaczajona... stała z założonemi rękami.

Plan jej był osnuty... chciała by płomień się rozszerzyło, by mogła wielkością pokuszenia mierzyć swą zemstę i usprawiedliwiać okrucieństwo.

Jak sen dziwnej fantazy była ta pamiętna wiosna 1863 r. Słowiki śpiewały nadzieją, liście szeleściwały odrodzeniem, słońce pośpieszyło ogrzać chłodne powietrze dla rozpierzchłych dzieci tej ziemi... I po całej przestrzeni Polski starej przebiegało drzenie jak ono gdy człowiek z długiego się

snu przebudza... ludzie zobojętnieli, bez wiary, czuli je w sercach i szli sami nie wiedząc dla czego idą; człowiek zasypiał sceptykiem a wstawał gotowym na męczeństwo... Starcy, niewiasty, dzieci... czuli w sobie ten ogień święty choć wiedzieli że wielu w płomieniach jego śmierć znajdzie...

I gdy po miastach szczykały karabiny Moskwy piejących chwałę Cara, po rosie i liściach, z wiatrami i burzą brzmiało od Dniepru do Dźwiny... po Karpaty... po Odrę... *Boże coś Polskę...*

Cóż że jutro miała ta Polska stać się mogiłą? ażeby przeżyć chwilę pokusy tej... każdy chętnie stawiał życie.

Czołem przed ofiarą i ofiarnikami! a jestże wyraz na anathema dla tych co z zimną szatana rachubą... z tego pochodu męczeńskiego mieli uczynić sobie rzeźniczą stypę!!! co śmieli się hymnami nadziei, nabijając karabiny, ostrząc noże i pióra...

Odwróćmy oczy — jest Bóg!

Na granicy Prus do Królestwa w pośrodku ogromnych lasów ciągnących się pasem szerokim... na zieleniejącej łączce którą na wpół złociły kwitnące łotocie, przyparty do boru szumiącego... rozkładał się obóz powstańczy...

Gromadka przyszłych wojowników tu się w tej ciszy zbierała, dopiero organizowała, zbroiła... Za główną kwaterę służyła nędzna chatynka leśnika, o jednej izbie bez okien, drzwi i podłogi... do koła na prędcie sklecone szałas, dla koni płocienne żłoby i w głębi improwizowana kuźnia w której osadzano kosy na świeżo wycięte młode drzewka... Tu i owdzie na ziemi leżeli ludzie spoczywając, czyszcząc broń, gotując węzłki lub rozprawiając o przyszłym boju... do którego rwały się serca gorętsze...

Większa część tego oddziału składała się z zamóżnej szlachty, z młodzieży miejskiej, gdzieniegdzie siwy wąs napoleońskiego niedobitka, weterana z 1831 roku nadawał powagę i gderał na niesfornych... Ludzie dworscy pociągnięci przykładem panów, trochę wieśniaków dobrej woli ale zupełnej nieświadomości żołnierskiego zawodu, stanowili lik gromadki... Wszyscy mniej więcej rozumieli to że wieść regularnej wojny nie są w stanie, że ich zadaniem wpaść znienacka, niepokoić, urywać, unikać wstępnego boju... Teorią tej partyzantki rozumiał każdy, ale jak mało kto domyślał się czym ona jest bez zapasów, bez kwater, bez opatrzenia i bez świadomości

mości tego kąta w którym się miało obracać!! ile trzeba było wycierpieć... aby niewiele pomódz!!

W początku wojny wszakże, kiedy surowe próby jeszcze w myśli nawet nie powstały, kiedy nadziei tak wiele a doświadczenia tak mało... wygląda wszystko różowo...

Przyniesione z domów zapasy jeszcze nie dozwalały zaznać głodu, wesoło było i butnie na małeńkiem obozowisku...

Co chwila drobny z razu oddział powiększał się nowymi przybyszami, nadciągającymi dniami i nocą, najfantastyczniejsze stroje, godła, uzbrojenia nadawały mu oryginalną fizyonomię. Każdy sobie mundur swój stworzył... i uczynił takim, jakim wyglądać pragnął. Na czapczkach powiewały pióra, różnobarwne pasy i przepaski stroiły piersi. Żupany, kontusiki, buty, sznury odznaczały przybyszów powiększej części z pewnym wykwinem ubranych... Karność żołnierska jeszcze nie ścisłała ust które wesołym parskały śmiechem... Ten dzień i następny, oddział miał się dopiero formować.. Słano do wiosek sąsiednich... odbierano przesyłki i zasiłki... a najpiękniejszy czas w świecie sprzyjał tym pierwocinom wojny powstańczej.

W borze prócz dzięcioła, prócz uderzeń młota

w kuźni obozowej, prócz cicho nuconej piosenki, nie słychać nie było... Słowik w krzakach gardłował tylko jakby się chciał przed gośćmi popisać.

Chata leśnika, właściwiej buda, w którejby w innym razie pańskich ogarów nie zamknięto, urządzoną była na salon dla starszyny.

Siano i słoma po kątach, pokryte kołdrami i płaszczami służyły za siedzenia; na wbitych w ściany kołkach powieszano broń... okno jedno przysłoniono gałęzmi suszonymi... uszak od drzwi łączył szczupłą izdebkę z przedsieniem pod gołem niebem, w którym na kilku kłodach siedziało towarzystwo nie mogące się w środku pomieścić. Małeńki samowarek próbował starczyć na dość liczne towarzystwo... Obchodzono się kilku szklankami... a wielu wzgardziwszy herbatą, wódką i chlebem się zasilali...

Gwar obozowy i czynność dzienna ustawały powoli...

Ten którego pułkownikiem zwano, mężczyzna z siwym, podstrzyżonym wąsem, dowódca przyszłej wyprawy, siedział milczący i zamysłony. Twarz miał bladą, smutną i znać było że mu ciężyła przyszłość tej gromadki której on słabe siły znał już dostatecznie. Nawykły do karności i porządku

wzdychał dumając jak to się da nałamać do tego posłuszeństwa ślepego, bez którego nie ma wojska i wojny być nie może... Ale też on jeden był tak chmurny, reszta śmiała się i żartowała...

Wśród nieznanomych nam na uboczu znajdujemy Antka Siekierkę w sukmance wiejskiej z pałaszem u boku, pistoletami i z książką za pasem, a skrzyneczką narzędzi chirurgicznych u nóg.

Obok siedzi pan Władysław Zegrzda po myśliwsku ubrany z wykwintem, mała konfederatka z piórkim na głowie, cygareto w ustach... Mileżący oba i smutni czegoś...

Antek jakby przeczuwał przyszłość, Władek jakby żałował przeszłości.

Przez gałęzie drzew widać jaskrawo zachodzące słońce... Na małej drożynie wiodącej w głąb lasu słyhać ciężki tentent konia... niektórzy głowy podnieśli.

— Czyżby już Siwicki miał powracać? spytał jeden.

— Ale nie może być, to chyba nowy ochotnik...

W tej chwili z za gałęzi ukazała się postać podżyłego mężczyzny, na tęgiej szkapie, ale wcale nieuzbrojonego... Był to Szymbor...

Zobaczywszy obóz, zsiadł, przywiązał konia do drzewa i rozpatrując się w prawo i w lewo szukał kogoś wśród nieznanych twarzy.

Nareszcie dostrzegł Władka.

— O! jest zguba! zawołał — a ja za tobą gonię...

— Cóż to jest? czy...

— Nic, nic... interessa sercowe, którym wuj służy. Chodźno na stronę, dodał...

Kiedy wychodzicie?

— Jutro w nocy zapewne...

— A ta noc?

— Przesiedziemy w obozie, brak kos, nie dostaje amunicji...

— To się dobrze składa... Ztąd godzina drogi do Borkowic — trzeba ci pojechać pożegnać się z Izą...

Władek spojrział nań jakby wahając się...

— Ale ja właśnie, odezwał się powoli... nie miałem ochoty ani się zwierzać z wyprawą, ani ją zasmucać pożegnaniem... Da Pan Bóg że powrócę.

— I ja mam tę nadzieję — dodał Szymbor... ale panna wie o wszystkim, imaginacja jej bujna inaczej niż jest, tę wojnę przedstawia... gniewa się żeś nie miał w niej zaufania... Ja przez litość przybyłem cię zabrać...

— Ale ja już do siebie nie należę — zawołał Władek.

— Któż dowodzi?

Władek wskazał ręką pułkownika w progu chatki...

— A! pułkownik!! pułkownik! toż przecie stary, dobry mój znajomy, ja ci natychmiast urlop wyrobuję.

Władek chciał go wstrzymać — ale Szymbor już witał pułkownika i coś mu szeptał do ucha. Stary ręką tylko strzepnął słowa prawie nie mówiąc. — Miało to znaczyć — niech sobie jedzie.

Skłonili się, Władek poszedł po konia, dwa słowa rzucił w ucho zamysłonemu Antkowi... skoczył na siodło i dwaj jeźdźcy podążyli drożyną w głąb lasu.

Ledwie znikli z oczów, gdy ze strony przeciwnej na mniejszej ścieżynce po za łączką, ukazało się dwóch jeźdźców, ale tak oryginalnych że ci co ich ujrzeli nie wzięli ani na chwilę za powstańców, od razu w nich domyślili się gości. Antek, od którego widać ich było, zerwał się na nogi, ręce załamał i stanął osłupiały...

Na ciężkim, siwym, opasłym koniu jechał mały człowieczek, w czapeczce z daszkiem sowitym...

w palonych butach, szaraczkowym spencerze i hiszpańskim płaszczu...

Za nim na gniadym koniu rosłym opasły, krągły, niemłody jegomość, ubrany jak pierwszy, z tą różnicą, że zamiast płaszcza miał na sobie dostatnią ciepłą opończę.

Był to Dziadunio w towarzystwie starego Szczepana który narażającego się na niebezpieczeństwo opuścić nie chciał... Antek domyślił się że Dziadek gonił za jedynakiem... ale od lat dziesięciu nikt go prawie na koniu nie widział. Mimo to trzymał się krzepko, zsiadł o swej sile i z wcale dobrą miną poszedł szukać pułkownika.

Antek wyskoczył naprzeciw niego...

— A Władek? spytał stary...

— Władek... był... i... w tej chwili... wyprawiono go... ale... będzie jak sądzę za kilka godzin z powrotem.

A pułkownik gdzie?

— Oto na kłodce siedzi...

— Już go mam na oku, rzekł Dziadunio...

Siekierka dopiero teraz dostrzegł że Szambelan był uzbrojony w pistolety, przy pałaszu, a na ramionach Szczepana, w bardzo uczciwym pokrowcu sukiennym przewieszona była strzelba...

Dziadunio z pułkownikiem znali się oddawna i byli w przyjaźni. Któż zresztą na mil dwadzieścia dokoła nie znał Dziadunia?

Pułkownik zadziwił się niezmiernie ujrawszy przed sobą to niespodziane w obozie zjawisko, wytłumaczył je wszakże sobie zaciągnięciem się pana Władysława, którego stary Zegrzda przyjechał pożegnać.

— Pana Szambelana dobrodzieja! zawołał wstając... a to prawdziwe szczęście, więc nas tą ręką, co jeszcze konfederatów dłonie ścisłała, pobłogosławisz na wyprawę...

— Hm! hm! pułkowniku, rzekł Dziadek... tak! tak... Ale cobyś rzekł, gdyby ta dłoń stara przyszła ci się ofiarować... na szeregowca...

Pułkownik osłupiał...

— To żarty, szanowny panie...

— Otóż nie, kochany pułkowniku... nie... jak mnie żywego przed sobą widzisz przychodzę się zaciągnąć.

— Lepiej nam daj dwóch, trzech zbrojnych ludzi od siebie, ależ wam, w tym wieku... na niewygody, niebezpieczeństwo, na nieprzewidziane szanse partyzantki się ważyć, żartujecie.

Szambelan ujął go pod rękę i nieco na bok odwiódł.

— Że się ja wam na nic nie przydam to wiem, rzekł cicho — ale że mnie się zda być z wami, to też pewna. Zaklinam was, pułkowniku, choćbyście się dla miłości mojej narazić na śmiech mieli — przyjmijcie starego... Nie pomogę ale nie zaszkodzę... Bogiem a prawdą, nie mogę prawnuka wstrzymać od obowiązku, a czuwać nad nim muszę... Pozwólcie mi iść za nim... Umarłbym z niepokoju w domu.

Pułkownikowi żal się zrobiło starego, ścisnął jego rękę...

— Ja sam nad nim czuwać będę...

— A ja... ja? zapytał Dziad...

— Ale ja pana nie puszczę! pan z nami dwóch dni nie wytrzymasz.

— Zobaczycie — rzekł Dziadunio... Chyba mnie wypędzicie, inaczej ztąd się nie ruszę.

— Mój drogi Szambelanie...

Dziadek uścisnął pułkownika.

— Mój najdroższy pułkowniku, *quod dixi* — *dixi*, masz oto kamień u nogi... Jadę z wami...

Pułkownik był zmięszany, zakłopotany nad wyraz wszelki — nie wiedział co począć... nie stało mu argumentów. Dziadek tymczasem skinął

na Szczepana który z torby myśliwskiej dobył butelkę i kubek.

— Wypij za pomyślność wyprawy, pułkowniku...

Był to stary ów węgrzyn który choć się zmacił w drodze, na smaku nic nie stracił. Pułkownik i stary siedli razem na kłodzie, reszta otoczenia ciekawie na Dziadunia spoglądała... Szeptano sobie o nim na ucho, domyślając się że przybył dla Władka, ale nikt ani przypuszczał, żeby miał pozostać w obozie.

Z krótkiej rozmowy dowiedział się starzec że wnuka Szymbor zabrał przed chwilą i namarszczył brew; spojrzął z ukosa na Antka grożąc mu na nosie.

Domyślił się Siekierka o co chodziło — ale trudno było tłumaczyć.

Na usilne żądanie pułkownika staruszek przyjął garść siana w chatce, bo z razu chciał w szałasie z Antkiem się położyć... Mrok zaczął padać, rozstawiono strażę i obóz usypiał powoli. —

W Waldau już poniekąd uważano pana Władysława za przyszłego zięcia, jakkolwiek niechętny plemieniowi z którego pochodził Zegrzda, radzca Stamm, ulegając woli córki, oswajał się z tą myślą, że odda Iżę Polakowi rachując po trosze na to że

Władek mu się zdał łatwym do nawrócenia na cywilizacją niemiecką i zaparcia swej narodowości. Stamm nie wątpił iż w nowem otoczeniu, stosunkach, pod opieką ukochanej żony, uczeń berlińskiego uniwersytetu wyjdzie na jednego z tych licznych anektowanych Polaków, którym zaledwie przekrecone imię pozostało na pamiątkę przeszłości.

Z tych błogich marzeń wyrwało go rozpoczynające się powstanie, a potem piorunowa wiadomość, że Władek postanowił w niem wziąć udział jak inni. Wszyscy począwszy od Izy załamali ręce rozpaczliwie. — Co tu było począć aby go od tego kroku odciągnąć? Mógł być zabitym! rannym! uwięzionym... i straconym... Iza kochała go po swojemu, sercem i głową razem, oburzyła się na to, że nic jej nie mówiąc, mógł sobą w sposób tak zuchwały rozporządzić...

Posłaniec z listem już go w Zarębiu nie zastał, Stamm napisał do Szymbora zaklinając go aby im przywiózł choć na chwilę Władysława, nimby wyszedł do tego nieszczęsnego powstania.

Szymbor który najzdradliwiej w świecie pierwszy był do podżegania Władka, aby szedł się bić co najprędzej... nie mógł się wszakże oprzeć natarczywej prośbie Stamma. Rachował on że Władek już

zaciągnięty do oddziału, gdyby się odciągnąć dał Niemcom... takżeby było niezgorzej. Zabiłoby go to na sławie i zaplątało w nowe komplikacje z rodziną. Jemu szło tylko o to, aby się na jakikolwiek sposób chłopak moralnie lub fizycznie zmarnował..

Pojechał więc po niego sam do obozu i przywiózł go do Waldau.

Jakim tu okiem zapatrywano się na całą sprawę polską, wyjaśniać nie potrzebujemy; radzca Stamm pogardliwie ruszał ramionami, nie wdając się nawet w argumentacje które uważał za zbytuczne... Powtarzał jedno i ciągle — że to jest polskie szaleństwo...

Iza widziała to nieco inaczej, z kosmopolitycznego swego stanowiska i z fałszywych pojęć o feudalnej Polsce... i z uprzedzeń przeciwko katolicyzmowi, którego była nieprzyjaciółką jawną... wydawało się jej postępowanie Władka tem dziwniejszem, że w długich z nim rozmowach nigdy nie natrafiła na usposobienie fanatyczne... zawsze go bardzo postępowym znajdowała...

Zaledwie w swym ubiorze obozowym Władek ukazał się w progu, gdy Iza tragicznie ręce załamane spuściwszy skinęła nań, aby szedł za nią

na ganek... Posłuszny, przywitawszy ledwie radzcę, którego zostawił Szymborowi, młody chłopak poszedł za swą poprzedniczką...

Podał jej rękę z uśmiechem — ale Iza mierząc go wzrokiem grozy pełnym, stała w miejscu jak przykuta, przypatrywała mu się gniewna, milcząca... gotując do wymownego szturmu.

— Mamże oczom wierzyć? zawołała nareszcie — wy... wy!! w tym stroju... w obozie partyzantów mających niby bronić sprawy straconej... bez mojej wiedzy... nagle, nierozmyślnie... ale to rzecz niepojęta, niewytłumaczona, nie do wiary... mów pan! uniewinniaj się!! — Jest to zaparciem zuchwałem tego uczucia któreś mi pan po stokroć poprzysięgał?...

— Posłuchaj mnie pani cierpliwie, wejdz w moje położenie, rzekł Władek powoli — nad wszelkie przekonania osobiste... wyższe są wymagania honoru... Jesteśmy zrodzeni i wychowani w poczuciu solidarności narodowej takiej, że kto w chwili, choćby rozpaczliwego ruchu, uchyla się od niego, osądzonym jest i zdrajcą... Wszyscy młodzi ludzie idą, musiałem iść — idę...

— Czy pan wierzysz w to że kraj zbawisz? że garstka zapalanej młodzieży podoła sześćdziesięciu

milionowemu państwu popieranemu niemal całemi siły kilkadziesiąt milionowych Prus, i... obojętnością całej Europy?

— Ja następstw ani widzę, ani rozbieram — odparł Władek, idę gdzie mnie woła tradycya, głos powinności...

— Więc to wyrzeczenie się rozsądku, samostności... swobodnej woli...?

— Tak jest pani...

— Więc wy stoicie jeszcze na tem ciasnem stanowisku narodowem?

— Stojemy, pani... a kto zna Moskwę, ten sobie nas i szal nasz wytłumaczy!... Rozpacz usprawiedliwia Polskę... najbezsilniejszy broni się śmierci...

Iza zamyśliła się...

— Nie mówmy o tem, rzekła, to są kwestye, przyznaję, których ja nawet zrozumieć nie mogę... a przenieść się na stanowisko wasze nie jestem w stanie. Ale młodzieży jest tyle... a ty... a pan! Ja was nie puszcę... wy moim jesteście...

— Tak, pani, odpowiedział Władek, całując ją w rękę którą opuściła bezwładnie, jestem twoim i będę... ale nie możesz mi się dla siebie kazać rzec tego co mi jest świętem... Przypomnij sobie słowa Goethego... że gołębia sądzić należy jako

gołębia, a sokoła jako sokoła... Polskę trzeba też rozumieć w warunkach jej bytu, boleści i walki... Polaka w związku z nią... i tradycjami narodowymi. Mogłażbyś pani wyrzec się swojego charakteru córki Germanii? wdziać nową postać, nowe idee i pokochać inną ojczyznę?... Gdybyś nawet pragnęła to uczynić, powietrze i myśli któremi żyłaś od dzieciństwa... nie dopuściłyby nigdy dokonania tego samobójstwa... Jesteś pani nadto sprawiedliwą byś mogła wymagać odemnie czego ja nie śmiałbym żądać od ciebie.

Iza słuchała smutna i groźna...

— To szaleństwo, jak mój ojciec powiada! szepnęła.

— Szaleństwem krzyża nazywano też wiarę chrześcijańską — rzekł Włodek.

Ruszyła ramionami niecierpliwie..

— Nie rozumiem was... nie pojmuję... litujcie się.. Ale wy zlitujcie się też nademną! Ten ruch trwać nie może, zostanie zgnieciony... zatrzymajcie... zatrzymajcie się — cóż was zmusza iść teraz, natychmiast, możecie wyjść później... a później nie pójdziecie, bo ta tragedia się skończy prędko, bo ona trwać nie może!

— Pani, rzekł Włodek, trzeba szanować fakta

spełnione... ja już poszedłem, jużem się zaciągnął, a słowo musi być dotrzymane.

— Temi to dziwacznymi tradycjami waszemi ginęliście i giniecie... posłuszni idziecie pod jarzmo mrzonek... zamiast polityki piszecie krwią poemata... jesteście narodem poetów... a poetów narody nie żyją...

— Przebacz mi pani... przypomnij sobie Maurów w Hiszpanii.

— Przypomnij sobie zdobycie Grenady i ich upadek...

Władek milczał.

— Są konieczności, rzekł, którym się oprzeć nie można, źle czy dobrze uczyniłem, ale słowo dane i ja go nie cofnę...

— Nawet dla mnie?

— Dam ci życie, ale honoru! nie...

Spojrzała na niego ale tym razem z pewnym rodzajem mimowolnego uszanowania. Pierwszy to raz znajdowała go silnym, niezłomnym i wobec niego czuła się słabą...

Łza zakręciła się w jej oku, był to ostatni argument kobiety.

Władek uczuł się do głębi duszy wzruszonym... chwycił jej rękę i namiętnie zaczął całować.

— Bądź co bądź, zawołał, ja wrócę, ja powrócić muszę, ja będę twoim...

— Nie, odparła Iza chmurnie, ta łza, to była pożegnalna łza marzeniom młodości i przywiązania... Dopiero dziś czuję całą przestrzeń jaka nas dzieli. Ty moim nie będziesz, ani ja twoją.

— Co pani mówisz! chcesz mnie dobić, nie masz litości...

— Mówię wieszco... odpowiedziała mu Iza — uspokój się pan, ja nic nie zrywam, nic się nie zmienia, radabym wierzyć do końca i marzyć bez końca... ale widmo rzeczywistości stanęło przedemną jak owo... od którego król Francyi oszalał i mówi — Nie pójdziesz dalej... Jesteśmy dwie istoty z dwóch różnych stworzone pierwiastków, uczucie podniosło nas nad ziemię na chwilę, ale w obłokach żyć długo niepodobna... upadłam...

Rozmowa szła tak czuła i groźna na przemiany w ganku, a radzca tymczasem napadał na Szymbora, że młodemu chłopcu dozwolili udać się w tak niebezpieczną igraszkę...

Szymborowi równie trudno się było zrozumieć ze Stammem, jak Władziowi z jego córką.

Władek dostawszy na pamiątkę rękawiczkę, tom jeden Schillera, którym przyrzekł piersi jak pukle-

rzem osłonić, przypomniawszy sobie że historia trzydziestoletniej wojny ocaliła życie Dąbrowskiemu... a naostatek bukiet kwiatów... i dziewiczy pocałunek na białem czole złożony... jak błogosławieństwo, wyszedł wzruszony z tego posiedzenia, które się we łzy w końcu roztopiło. Stamm po córce ani myślał na nowo nawracać upartego, pożegnał go zimno; tak samo matka... Iza wyprowadziła do ganku i spłakana wróciła oparta na rękach pani Leonory...

— Wszyscy są waryaci! wiele ich jest! zakończył Stamm...

Noc już była, ale nocy wiosenne tak krótkie, Władek wyrwał się nazad do obozu, Szymbor go już przeprowadzać nie myślał... znużony chciał co najrychlej wrócić do domu, i pod pozorem jakimś uciec do Warszawy lub za granicę, gdyż powstanie było dlań wstrętliwe i niewygodne... Coś mu tylko mówiło że powinienby się wstrzymać... i że los Władka i jego partyi prędko się powinien rozwiązać.

Nad świtaniem młody chłopak stanął na powrót w lesie, a zbudzony przybyciem jego Antek, oznajmił mu o Szambelanie... Przyjazd ten nie był zresztą bardzo dziwnym, ale determinacya zaciąg-

nięcia się i służby w oddziale po prostu wydała się Władkowi śmieszna.

Wszystko jeszcze spało, prócz drzemiących straży gdy Władek wrócił, Dziadunio nawykły do rannego wstawania przebudził się na szelest daleki... wstał zaraz i domyśliwszy powrotu Władka, stanął przed szafasem już ubrany.

— A no! przecie wróciłeś dezérterze, zawołał — chodź no, chodź... musimy pogadać z sobą...

Chłopak trochę zmieszany pośpieszył uściskać Dziadunia...

— Gdybym mógł to bym się już gniewał na waszeci — począł stary... wyrwałeś mi się w sekrecie, bez opowiedzenia jak gdybym ja ci bronił iść! Jakież ty masz o mnie wyobrażenie! Żał mi ciebie tak że życie bym za twoje dał, moje się już na niewiele przydało... z twego jeszcze coś być może... No — ale mimo to nie wstrzymywałbym od tego porywu uczciwego. — Dziękuję ci owszem iż hańby imieniowi nie uczynisz... Idź... a dla wszelkiego bezpieczeństwa ja ze Szczepanem za tobą...

— Mój kochany Dziadunio... to po prostu niemożliwym jest... śmiesznem, jeżeli mi tak wolno powiedzieć.

— Wielka miłość nigdy śmieszna nie jest — odparł Dziad — pójdę.

— Nie pójdziesz — zawołał przyklękując Władek i ściskając go za nogi, nie pójdziesz bo ja cię zaklnę... bo ja cię ubłagam, a jeżeli mnie nie posłuchasz, to dla ocalenia ciebie zrobię to czego bym dla nikogo w świecie nie uczynił — wrócę i dam się ogłosić za tchórza i smarkacza...

Władek wyrzekł to tak energicznie iż stary tylko spojrzął nań mrużąc...

Nie odpowiedział już nic.

— Kiedy wychodzicie, spytał stary...

— Albo dziś w nocy lub jutro nad ranem, a Dziadunio jeżeli mnie kocha powróci zaraz do domu i na mnie tam czekać będzie...

— Aha! aha! rzekł stary który nagle zamilkł i zdawał się na wszystko przystawać... no! tak! dobrze... dobrze... Wrócę...

Władek zdziwiony był nagłą zmianą i złagodnieniem starego, ale cóż miał począć, pocałował go w ręce... Dziadek ściskał głowę jego i płakał...

Obóz się rozbudzał i pułkownik wstał, gdy pożegnawszy go w kilku słowach jakoś tajemniczo, Szambelan w swoim płaszczu hiszpańskim siadł na koń wraz ze Szczepanem i przeprowadzony przez Antka i Władzia powoli nie mówiąc pociągnął ku domowi.

W całym tem jego postępowaniu było coś wielce tajemniczego, tak że Antek i jego towarzysze zgodzili się na to oba iż Dziaduniowi całkiem dowierzać nie było podobna. Ale trudno też domyślać się było co miał począć...

Nocą udało się bardzo szczęśliwie oddziałowi przejść granicę; włościanie wielkopolscy przeprowadzili go znajomymi sobie drożynami, któremi dotąd może tylko podejrzane wchodziły towary... Tu dopiero zaczynało się trudne zadanie partyzanckiej walki w kraju mało znanym, przy zupełnej nieświadomości sił nieprzyjacielskich. Potrzeba było z ostrożnością przesuwać się od wsi do wsi, od dworu do dworu lasami, zaroślami czuwając, aby nie być zaskoczonym przez przeważne siły... Oddział składał się głównie z piechoty — strzelców, z kupki kosynierów dobrej woli ale nieobytej wcale z wojną i z niewielkiej liczby konnicy, która w położeniu tem w jakim walczyć miała zdała się tylko na podjazdy dla dostania języka, ale w utarczce mało być mogła pożyteczną...

Wszystkich wielki duch zagrzewał, choć czuł każdy że sprawa nie łatwa...

Przednie straże pierwszego dnia nie natrafiły nigdzie na Moskali, ani nawet na wiadomość o nich, spotykani ludzie albo nie wiedzieli o nich, lub mówić się obawiali. Pod wieczór dnia pierwszego trafił się na skraju lasu szlachecki dwór i wioska... Wyślano ochotników na zwiady... We dworze siedział stary szlachcic sam jeden z rodziną z kobiet i dzieci składającą się. Gdy zasłyszał o garstce Wielkopolanów przychodzących braciom w pomoc, łązy mu się potoczyły po wąsach — był to też żołnierz z 1831 r. gotów był śpichrze, spiżarnie i wszystko co miał otworem dla nich postawić... Spytano o Moskali... nie nie wiedział. Na wsi widziano wprawdzie przed kilku dniami kilku kozaków, którzy darmo się napiwszy, wydarłszy owsa i drobiu trochę, znikli potem bez śladu... Arendarz który świeżo powrócił z miasteczka powiadał że się ich dużo kręciło po drogach, że oddziały wysyłać miało, ale poblizu o żadnym nie wiedział. Śmiało więc na łączce pod dworem rozłożyli się ochotnicy... Szeregowcom dostarczono i strawy i piwa i wódki a paniczów co było gospodarz przyszedł sam ze staropolską gościnnością do stołu na dwór zaprosić. Wszystko się też tam prawie pociągnęło... Antek tylko pozostał... nie smakowały mu te wczasy, miał

już kilku na febrę chorych, było roboty dosyć... Do późna w noc przeciągnęła się gwarna zabawa, opowiadania, przypomnienia, i żwawe gawędy, tak swobodne jak gdyby groźba jutra nie wisiała nad głową tych ludzi... Poczciwy szlachcic piwnicę swą prawie do ostatniej butelczyny splądrował, a prosił a zaklinał aby pili... boć to drugi raz taka okazyja się nie nadarzy, chyba gdy do ostatniego Moskala wypędzą!!

Ale z północkska już i pułkownik gaduła dawał sygnał powrotu, bo nazajutrz potrzeba było wymaszerować o świcie... W ganku wypito strzemiennego, kobiety wyszły żegnać i błogosławić, a wojskowi zanuciwszy *Boże coś Polskę*... pociągnęli z sercem rozgrzanem do obozu.

— Gdyby tacy byli wszyscy! mówił pułkownik... o! stanęłaby Polska... ale dużo też i innych...

W obozie także po piwnych libacyach ochoczo było, nikt nie spał, rozlegały się piosenki. Może jeden ze wszystkich Antek siadłszy na kamieniu smutnie na to poglądał... instynktem wstrętliwą mu była ta radość przed bojem i zwycięstwem...

Nocy zostawało niewiele, ze dniem potrzeba było ruszać, więc i starszyczna i żołnierz nie myślał odpoczywać... Gwarzono... gdy naraz dwóch wie-

śniaków nadbiegło z wioski i żydek z drugiej strony na kobyłce przykłusował.

Ze trzech stron pokazywali się Moskale... Na tę wieść, acz jeszcze po pół mili i po mili oddalonego nieprzyjaciela, jakby iskra elektryczna przebiegła obóz...

— Do broni! na koń!!

Trzech natychmiast kózno ruszyli za wskazówką przybyłych, aby dotrzeć i języka dostać... Nie można było wyruszyć nie rozwieźdźawszy się dobrze w którą stronę iść wypadnie. Pułkownik naturalnie, jeśli oddziały Moskali były drobne i rozbite, na jeden z nich rzucić się zamierzał, jeśliby były znaczne, wysliznąć się im lasami zamyślał.

Tym czasem obóz zwijano i ustawiono się do pochodu; — na niebie lekkimi okrytem chmurkami, już dzień coraz jaśniejszy przeglądał...

Nim kolumna stanęła w gotowości, jeden z wysłanych wrócił i oznajmił że Moskali sam widział z lasu, obozujących koło sąsiedniej wioski, było mniej więcej parę rot piechoty, sotnia kozaków i jak się zdawało, jedno małe działko polowe... Pozycja którą zajmowali na wzgórku w miejscu odsłoniętem, przystęp do nich trudnym czyniła... Bokiem z cicha małemi drożynami wyminąć ich

było łatwo nim by dzień nadszedł. — Tak się przynajmniej zdawało.

Rozedniało dobrze nim jeden po drugim wrócili dwaj inni posłańcy... I oni także w dwóch różnych kierunkach trafili na małe oddziały Moskwy, z których jeden zwłaszcza zdał się tak słabym i tak nieopatrznie rozłożonym, że pułkownik bez namysłu postanowił ważyć się nań i spróbować swojego żołnierza.

Zabezpieczywszy więc tył i boki kolumny o ile się to dało z tak szczupłymi siłami, które z kosynerami razem kilkaset nie przechodziły głów... posunął się oddział w milczeniu ku dolinie na której przyparty do lasu obozował ów moskiewski kapitan...

Zamierzano z jednej strony obejść od lasu, z drugiej puścić się polem i spróbować szczęścia... Trzeci moskiewski oddziałek był dosyć daleko, tak że lękać się nie miano powodu, by na strzały w pomoc miał nadbieść... Dobra godzina upłynęła w cichym marszu... część kolumny wyprawiono w lewo dla zajęcia pozycyi w lesie, główna siła wytoczyła się na dolinę... i nim Moskale zaalarmowali się, poskoczyła do wsi... Sprawa zdawała się nader szczęśliwie rozpoczętą... Strzelcy poszli

do ataku z okrzykiem, sypnęły się strzały, ale tuż pierwsze szeregi Moskali formować się zaczęły i odstrzeliwać...

We wsi bito w bębny, słyhać było wrzaski komenderujących, popłoch był widoczny, zwycięstwo zdawało niezawodnem, podwoiło się mężstwo jego nadzieją.

Ale moskiewska piechota raz się opamiętawszy, uszykowawszy, stała murem. Chciano pchnąć na nią kosynierów... żołnierz nie ćwiczony, nie pewien siebie zawahał się... Parę szeregów wytrzymawszy strzał ledwie rozsypało się.

W tej chwili z lasu zachodzący wzięli Moskali z drugiego boku i walka rozpoczęła się na dobre...

Ale pierwotny stosunek co do liczby Moskali chybił, a co gorzej, że gdy się tu utarczka przeciągała, z przeciwnej strony ukazał się nadbiegający Moskałom świeży i znaczny posiłek... Chociaż dotąd oddział trzymał się bardzo dobrze i nie miał nad kilku rannych a dwu zabitych w szeregach, pułkownik musiał myśleć o odwrocie.

Szczyściem w prawo na trzęsawisku rzucona grobelka na której łatwo się było obronić, przedstawiała drogę do wycofania się.

Szło tylko o to czy część oddziału z lasu potrafi nadążyć za nim, i nie zostanie odciętą...

Pułkownik na wszelki wypadek chciał wysłać rozkaz do dowodzącego aby w razie niemożności cofał się lasami nie wystawiając ludzi na próżne niebezpieczeństwo.

Na widok przybywającego posiłku Moskale z napastowanych zmienili się nagle w napastujących... Część piechoty rzuciła się za cofającymi.

W tej chwili właśnie Władek który miał dzielnego swojego konia odkomenderowany z rozkazem rzucił się polem na oslep ku laskowi. Ledwie się od swoich paręset kroków oddalił, z za płotów wioski grad kul się za nim posypał... Świsnęły do koła... i koń się zwinął pod nim... padł. Władek nie czując się rannym wyskoczył z siodła, zagrzany walką chciał śpieszno dopełnić zlecenia, ale zrobiwszy kilka kroków chwycił się za nogę, jakby nagle zdrętwiała... Spojrzał na nią... krew lała się strugą... Pochwycił chustkę aby ranę zawiązać gdy w oczach mu się zaćmiło i upadł.

Ostatniem wrażeniem które pamiętał było pchnięcie w piersi bagnetu... przysuwającego go do ziemi... Zaszumiało... ziemia się zatrzęsała i ciemności go otoczyły...

Już kilku gorliwszych bohaterów zabierało się do obdzierania dogorywającego młodzieńca, gdy Antek i dwóch z nim poskoczyli z pałaszami a natarli tak rozpaczliwie na ciurów że ci cofając się za płoty, nawet karabiny poporzucali. Chwili nie było do stracenia, Antek chwycił skrwawionego towarzysza, wzięto go na dwa konie... i kłusem musieli się puścić z nim za oddziałem, który nie był jeszcze daleko...

Wóz pułkownika szedł w środku, tam co prędzej przyniesiono Władka niedającego prawie znaku życia i złożono go na wiązce słomy. Stawać nie było podobna, Antek uczepiwszy się wozu, dobył bandażów i jak mógł i umiał opatrzył dwie rany.

Na pierwszy rzut oka przebita bagnetem pierś z której krew buhała, zdawała się... najniebezpieczniejszą... rany w nodze ściślej zbadać nie było podobna... krew płynęła, życie choć słabe jeszcze nie uciekło... a z niem! z niem isierka nadziei...

Dosyć szczęśliwie powiodło się na ten raz oddziałowi podążyć do lasu paląc i niszcząc mostki na grobli za sobą... ale część pozostawiona w zarosłach odcięta została, siła uszczuplona i straty w ludziach w ostatniej chwili poniesione... znaczne...

Moskale spróbowali gonić zrazu, potem przystanęli i widząc mostki zniszczone, napowrót się do wsi cofnęli... Pułkownik nie zatrzymując się, uchwyciwszy przewodnika musiał gnać w gąszcze, aby w bezpiecznem obozowisku obmyśleć co czynić dalej...

Antek który niemal do wieczora badał tylko pierś towarzysza i bicie jego serca, jak skamieniały z bólu siedząc u nóg jego uczepony na furze, z głową w dłoniach... ze łzą w oku... odetchnął nareście gdy usłyszał rozkaz zatrzymania się.

W całym oddziale panowało milczenie ponure, żołnierz znużony, zniechęcony... padł na ziemię bez myśli i energii... Antek z pomocą kilku ludzi natychmiast rozbił namiotek, usłał łożę i zabrał się do opatrywania rannego... Władek żył ale życia oznaki były słabe, twarz bladości śmiertelnej, oddech prawie nieznaczny... ani mowy, ani przytomności... Młody lekarz niedoświadczony... rozpaczał iż umiał tak mało... a nie widział prawie nic... Gdy przyszło do opatrzenia nogi dobadał się strzaskanej kości i struchlał na myśl że amputacja może się stać potrzebną... Nie było po temu ani narzędzi, ani miejsca... ani nawet świadomości okolicy... i środków zaradzenia... Nadchodziła noc, upływał

czas drogi, dla rannego bezpowrotny, Antek łamał ręce i płakał i rwał się rozpaczliwie.

Trzeba się było puścić na awantury... Wieśniak który ich tu przeprowadził, wynagrodzony i ujęty litością, powiedział Antkowi że rannego może przewieźć do znanego sobie dworu, do bardzo poczciwych i dobrych ludzi, gdzie znajdzie przytułek i ratunek... Chwycić się należało tej słabej nadziei... Złożono Władka na wozie pułkownika i nocą puścili się leśną drożyną na losy ku temu dworkowi... w którym ani wiedzieli kto mieszkał, ani jak ich tam przyjmą... Przechowanie rannego było zbrodnią w obec Moskwy co ich dobijać zwykła — nie każdy więc się ważył ginąć z rodziną i mieniem dla spełnienia obowiązku miłosierdzia.

Po ciężkiej i długiej wędrówce... wyjechali na końcu z lasu, widać było dworek w drzewach zasypiający spokojnie... Było już po północy, gdy stanęli u bramy i włościanin poszedł dopytać stróża aby się tam kogo dobudzić.

Nie zwykły gwar u wrót wywołał wkrótce jakąś postać na ganek... był to czujny gospodarz... Nie widząc twarzy jego, nieusłyszawszy głosu, Antek pobiegł.

— Panie, zlituj się... przywozimy rannego... daj

mu choć chwilowo przytułek... biedny, młody chłopak — a! nie odmawiaj...

— Kto? co? zkąd? odrzekł głos zaspany...

Antek począł tłumaczyć, gdy i kobieta się zjawiła i światło... Spojrzał dopiero po twarzach i odetchnął, szczere współczucie z obawą zmieszane malowało się na nich... Szeptali między sobą... naradzając się.

— To niema co myśleć, rzekł średniego wieku mężczyzna będący gospodarzem — co będzie to będzie... przyjąć rannego musimy. Ale Moskaliska się włóczą, gdzie go umieścić, aby ocalić?

Kobieta podszeptała o pokoiku na górze, którego drzwi nie łatwo było otworzyć... Zabrano się znosić natychmiast rannego...

Spytany o jego nazwisko Antek nie miał potrzeby tacić...

— Władysław Zegrzda.

— Prawnuk Szambelana! załamując ręce zawołał mężczyzna... prawdziwe zrządzenie opatrności... toż to mój dobroczyńca...

Siekierka odetchnął... było to dla niego także opatrności zrządzeniem...

Na górze znalazło się łóżko, pościel, wszystko czego tylko można było dla chorego pożądać... od-

prawiono wóz z wieśniakiem do obozu, Antek został przy towarzyszu... dopóki by z Kalisza nie przywieziono lekarza do którego natychmiast w czwał wyprowadzono konnego...

Badano życia... Władek oddychał...

Złamany znużeniem... prawie bezprzytomny, biedny Antek usiadł w głowach łoża, zamyślił i sam nie wiedział jak go żelazny sen zmorzył...

Zdawało mu się, że się ledwie zdrzemnął, gdy otwierając oczy ujrzał biały dzień... a przy łóżku jak posąg bladego, z oczyma wlepionemi w twarz Władka poóółkłą i niemal trupią — Dziadunia.

Starzec nie miał siły ani płakać, ani wymówić wyrazu, ani się pytać wszedł znać i wryty, skostniały, odrętwiony bólem stanął...

Antek na widok jego zerwał się i zachwiał bo się na nogach utrzymać nie mógł... musiał się pochwycić za poręcz krzesła.

Dziad ani spojrział na niego... nie przemówił... śmiertelna bladość okrywała twarz zmarszczoną, tylko usta drżały konwulsyjnie.

Wiek trwało to okropne milczenie... wtem żywym krokiem wszedł stary lekarz... nie witając nikogo, zrzucił z siebie odzież, dobył skrzynkę z narzędziami.

Antek zbliżył się chcąc kilku słowy go objaśnić... ale nie było czasu na rozmowę...

Dziadunio usunął się nieco i padł w krzesło... teraz dopiero mógł się rozplakać, jęknął i z piersi buchnęła boleść tłumiona... zakrył oczy biedny...

Wyprowadzono go nieprzytomnego... Lekarz odsłonił rany... amputacya nogi była koniecznością...

W tydzień potem... w małym dworku p. Jana Nagurskiego tak jakoś umiano utaić chorego, że przyjmowani kozacy na dole cały dzień tam bawiąc, weale się go nie domyślili...

Władek choć z przebitą piersią i bez nogi, miał się lepiej, a od łoża jego na krok nie oddalał się Dziadunio... Przebywszy pierwszą chwilę która starca zabić mogła piorunową boleścią swoją, odzyskał przytomność, energią... zimną krew i wiarę w miłosierdzie Boże... Władek mógł być ocalony...

Pomimo najtroskliwszego tajenia i wypadku tego i miejsca jego pobytu, w Kaliszu zaraz nazajutrz wiedziano o nieszczęściu, które Zegrzdów spotkało...

Wieczorem nieświadomy stosunków które ich łączyły, zaniósł wieść o tem do dworku Beniowskiego

jeden ze znajomych. Hanna zerwała się z krzesła... blada, bez tchu... ani myślała ukrywać wrażenia... porwała za kapelusz, wybiegła w miasto, znalazła staruszkę której nieraz powierzała dziada, ucałowała ręce jego ze łzami, najęła wózek chłopski i sama jedna, nocą, manowcami pojechała do Nagurskich. Dopiero ochłonawszy w drodze z pierwszego wrażenia postrzegła że się rzuciła za śmiało za pierwszym serca głosem... ale nie mogła się już cofnąć...

Nazajutrz rano gdy Władek oczy otworzył u łoża swego postrzegł tę siostrę miłosierdzia, która zajęła miejsce swe po cichu... zakławszy się że go nieopuszczi... aż do końca... Dziaduni opocałował ją w rękę milczący... i było ich tak dwoje... na straży u tego łoża boleści...

Tymczasem Antek musiał powrócić do oddziału, dla opatrywania rannych i dzielenia dalszych jego losów... a Dziadek dowiedział się dopiero w dni dziesięć potym że go w niewolę zabrano i zawieziono do cytadeli warszawskiej.

Nazajutrz po odebraniu tej wiadomości która go przebiła... stary zostawił instrukcje swe Hannie, polecił jej chorego, przyrzekł powrót rychły, i... ruszył do Warszawy...

Szymbor już tam bawił z żoną od kilku tygodni, nie chcąc jak mówił narażać się na wypadki wojny wśród wsi, którą pogranicze niebezpieczniejszą od innych czyniło... Listy Kenera dały mu natychmiast wiedzieć o losie Władka i Antoniego... Nie mógł tylko dokładniejszej wiadomości udzielić o chorym, bo stan jego i miejsce pobytu jak najtroskliwiej tajono.

Nazajutrz po przybyciu do Warszawy, pierwszą twarzą znajomą którą ujrzał przed sobą ze wstętem Dziadunio, było uśmiechnięte, niemal tryumfujące oblicze Szymbora.

Pomimo tyłu ciosów, które z kolei padły na starca, jak odwieczny dąb potrzaskany, zieleniał on nadzieją i nie okazywał po sobie przynajmniej oczom obcym ile go rany bolały. Twarz miał zamysloną, ale pogodną, ruchy żywsze niż kiedy... Naprózno w jego postawie szukał Szymbor tego upadku ducha którego się spodziewał, — zdziwił się niemal widząc go tak krzepkim i panem siebie. Strwożył się tą niepożytą potęgą starego.

Zbliżenie węża nie było by odrażliwszem dla Dziadunia, ale się przemógł i grzecznie go przywitał.

— Cóż to za niespodzianka! zawołał Szym-

bor... nigdy w świecie przypuścić bym był nie mógł, że tu Dziadunia dobrodzieja zobaczę! ale cóż go tu sprowadza... może, może ja w czem będę mógł być użytecznym?

— Bardzo dziękuję, odrzekł chłodno zagadniony, nie mam tu żadnych tak dalece interesów, prócz trochy lekarstw i wygódek dla nieszczęśliwego Władka.

— A! słyszałem, zawołał Szymbor... ale jakże się ma? jestże jaka nadzieja?

— Będzie żył i będzie zdrów — rzekł Dziad krótko...

— I gdzież teraz się znajduje? bo go potrzeba skryć... ranny byłby niezawodnie pochwyconym... nie mają najmniejszej litości.

— O! w miejscu bezpiecznem.

— Ale nie w domu przecie!

— Nie — nie — odparł Dziad unikając szczegółów...

— I Antoś słyżę wzięty w niewolę...

— Tak, mówią że go pochwycono — ale — bliższych szczegółów nie znam...

Dziadunio tu zabawi długo?

— Nie wiem... najpewniej tylko dni kilka i na wieś powrócę — a wy?

— Ja... ja! rzekł Szymbor, przyznam się że

pod te czasy niespokojne na wsi bym siedzieć nie rad... W Warszawie też nie lepiej, chcielibyśmy zbiedz gdzieś z oczów choćby do Berlina...

— Bardzo dobrze zrobicie! rzekł Dziad lako-
nicznie.

Szymbor radby się był coś więcej dowiedzieć, ale stary trzymał się chłodno i zdaleka... Wedle rachuby wypadało Szymborowi teraz gdy Władek był w takim niebezpieczeństwie, zbliżyć się do staro-
rego i łaskę jego odzyskać... ale przystąpić doń nie widział sposobu...

— Choć mi na wsi niedogodnie być może, rzekł, gdybym Dziaduniowi w czemkolwiek mógł tam być pomocą, chętnie bym zjechał...

— Nie fatyguj się acan dobrodziej proszę, odparł stary grzecznie, ja nawykłem sam sobie starczyć we wszystkim, i z moim obyczajem zostanę do końca...

To mówiąc skłonił mu się i odszedł.

Zamyślony wrócił mąż pani Justyny do domu; cały dzień chodził pogrążony w rozstrząsaniu planów postępowania i ostatecznie uznał że należało mu być w miejscu... z bardzo wielu względów... Nic więc nie mówiąc, żonie pozwoliwszy zostać,

sam wyprzedzając nawet Szambelana, poleciał do Krymna...

Tymczasem Dziadek tajemniczo kręcił się po Warszawie... miał on tam dawne bardzo i rozliczne w sferach wyższych i niższych stosunki, postanowił ich użyć aby Antka uwolnić. Znał on nie od dzisiaj Moskali z którymi pieniędzmi jeżeli nie wszystko, to bardzo wiele dokazać można. Ufał więc że i tą razą z pod klucza i z za murów cytadeli wykradnie Siekierkę...

Kilka dni zeszło na daremnych staraniach, odwiedzinach schadzkach... błysła nadzieja... Na drugi tydzień Antek pod pozorem iż nie jako żołnierz ale jako lekarz był przy oddziale, prowizoryjnie na porękę uwolniony został. Dziadek ucałował go, uściskał, poszeptał z nim i odjechał...

Na trzeci tydzień Antka już w Warszawie i w kraju nie było...

Wszystko to odbyło się tak cicho, skrycie i zrećnie iż nawet o wypadku tym nie mówiono wiele.

A wszystko to było dziełem niezmożonego starszaka...

Powróciwszy do Rajwoli, gdy się dowiedział stary że Szymbor go uprzedził z powrotem, namar-

szczył brew... nagniewał się, długo ełodził po-
sępny, ale jak zawsze zwyciężył w sobie namięt-
ność, rozmyślił się, ostygł pozornie i przedsię-
wziawszy tylko pewne środki ostrożności... szedł
dalej.

Nazajutrz po powrocie uwiadomiony już o nim
mąż Justyny zjawił się z powitaniem...

— Rozmyśliłem się — rzekł po pierwszych
kilku słowach, postanowiłem pobyć w domu...
zawsze bezpieczniej gdy gospodarz na miejscu.

— A tak! tak, masz waćpan racyą! odparł
zażywając tabakę...

— Ale uwierzyłby też Dziadunio, dodał śmiejąc
się — pierwszym mojem staraniem przybywszy tu...
było dowiadywać się o tego biednego Władka...
pragnąłem go koniecznie zobaczyć i nikt mi powie-
dzieć nie umiał, tak dobrze dochowana tajemnica...

— A! a! proszę! zawołał Dziadek...

— Dziadunio wszakże go widział?

— Ja?

— Tak jest.

— Widziałem...

— I wie gdzie się znajduje?

— W tej chwili — nie...

Szymbor spojrział bystro... Rzecz była niepo-

dobną do prawdy, ale dla niego dobrze oznaczała jak się go lekano, jak nieufano mu — w istocie obrazić się było można. P. Apollinary zarumienił się... ale nie chciał pokazać gniewu, począł się śmiać.

— Prawdziwie, zawołał, możnaby sądzić, że to tylko tajemnicą jest dla mnie, chociaż trudno przypuścić abym ja źle życzył Władkowi.

— A któż by coś podobnego myślał! odparł Dziadek... Ale ja nie wiem teraz... bo... bo go przeniesiono... Daruj panie Apollinary — takie rzeczy i najbliższym się nie mówią.

Szymbor zaciął usta do krwi...

— Zapewne! zapewne! ale to jakby wyzwanie... żeby sobie człowiek sam radził i dowiadywał się...

— No — to dobrze...

W tej chwili już Szambelan z obawy może przesadzonej tego człowieka powiedział sobie, że bądź co bądź, Władka wynieść każe na noszach za granicę i w bezpieczniejszym ukryciu pomieścić.

Urwała się rozmowa, Szymbor nawykły do dysymulacji, nie taił swego gniewu i obrazy, zaczynał być ostrym...

Pożegnali się chłodno... odjechał.

Gdy w pokoiku na górze chory powolnie przychodził do sił i zdrowia, strzeżony przez wierną owę siostrę miłosierdzia, nie odstępującą jego łóża... z Waldau ani znaku życia nie dano...

W pierwszych dniach po odjeździe Władka, Iza chodziła tak zamyślona i mileżąca że matka lękając się o nią na krok jej nieopuszczała... Ojciec większy znawca ludzi, nie wszczynał z nią drażliwej rozmowy, czuł że przebywała kryzys stanowczą... i miał nadzieję że ją przejdzie zwycięzko.

O oddziale nic zrazu słychać nie było, później nieco ktoś z sąsiadów w miasteczku powiedział panu Stamm o losie Zegrzdy...

Rozmyślał on nieco czy natychmiast o tem ma córce oznajmić lub odłożyć i naradziwszy się z matką, postanowił na wyraźną walkę odbywającą się w duszy Izy, rzucić tę wiadomość w nadziei że ona choć boleśnie szaleń przeważy.

Bez ogródki więc, chłodno, dokładnie, opisał Izie potyczkę, wypadek, rany, odjęcie nogi i niebezpieczny stan Władysława. Na wszelki wypadek wezwany był lekarz...

Iza w pierwszej chwili oniemiała, pochwyciła się za głowę, poszła do swojego pokoju i zamknęła w nim na cały dzień. Jedną matkę tylko przy-

puszczała do siebie, ale nie mówiła nic, chodziła zapłakana, rozdrażniona, nie mogąc spocząć na chwilę... Nadedniem rzuciła się w fotel i zasnęła...

Rano przebudziła się nie rychło, matka znalazła ją bladą, ale z książką w ręku. Nie była to książka od nabożeństwa, ale nowella Pawła Heysego.

Traf zdarzył — któż wie czy to tylko było trafem? że tegoż dnia z nad Renu przybył siostrzan pani Leonory dawno obiecywany w Waldau, nie znany tu nikomu, prywat-docent w uniwersytecie Hejdelberskim, wykładający estetykę, dr. Leo-Franz Favius...

Sądzili rodzice iż Iza nie wyjdzie do obiadu, — ale się omylili, dobrowolnie bowiem zeszła ze swojego pokoju. Strój jej tylko oznaczał żałobny stan serca... wzięła na się czarną powłóczystą suknię, w której dziwnie jej było do twarzy. Błada, poważna, milcząca ukazała się zdziwionemu kuzynowi w całym blasku, jaki niewieście daje cierpienie.

Dr. L. F. Favius... professor uniwersytetu Hejdelberskiego, wcale był niepospolitym młodzieńcem... Germański, a raczej saski typ najczystszy, postać jego piętnował. Słuszny, silnie zbudowany, ramion szerokich, oczów niebieskich, włosów konopiato-jasnych, rąk potężnych, nóg płaskich i roz-

rosłych... dość pięknego czoła i inteligentnej fizygnomii. Dr. Favius nie był ani piękny, ani brzydki, nosił okulary, odrobineczkę się jąkał... ale widać w nim było człowieka myśli i pracy.

Brakło mu formy, ale naiwność ta nie była bez pewnego wdzięku... Z ust uśmiechniętych, ze spojrzenia, znać było dobroć i spokój duszy — słowem przyjemne to było zjawisko, do którego powoli można się było przywiązać... ale nagle zaentuzjazmować dlań niepodobna.

Iza spojrzawszy nań, zrozumiała go intuicyjnie od razu; był to typ dobrze jej znany, swojski... coś nakształt białego chleba miejskiego, którego smak odgadnąć łatwo.

Gość ten bardzo na rękę był rodzicom, przybywał w porę, już u obiadu rozmowa jego zajęła milczącą Izę i wywołała słów kilka. Było to dobrą wróżbą.

Ale po obiedzie Iza cofnęła się do swojego mieszkania na górę, i czując się słabą nieco, dnia tego nie wyszła. Radzca usilnie prosił profesora, aby kilka dni pozostał, wchodząc nawet w położenie prywat-docenta, dla którego mieszkanie w oberży mogło nie być dość... taniem zabrał go do własnego domu i postawił w jednym ze swoich pokoiów.

Na trzeci jeszcze dzień Iza była milcząca i w czarnej sukni, wzdychała często... matka nie rozpoczęła rozmowy. Czwartego dnia córka sama odezwała się do niej.

— Powiedźcie mi co ja mam począć! Ja tego człowieka tak kochałam, to był typ tak szlachetny, tak do wykształcenia zdolny... tak dla mnie sympatyczny... tak nawet plastycznie mi pojętny!!

Ale proszę mamy... bez nogi!!... mąż bez nogi! Pierś ma przebitą, i będzie całe życie słabowity... trzeba mu się na dyakoniszę poświęcić... Wprawdzie może go to czynić poetycznym... ale życie ma swe wymagania... trzeba rachować przyszłość... któż wie czy nie będzie zmuszony się ekspatryować... stracić pozycję socjalną!! wygnaniec! Nie! nie! ja sama widzę niemożliwość... a tak go kochałam!! On mnie tak dobrze rozumiał!

To znaczyło — on mnie tak uwielbiał!

Matka swoim zwyczajem milczała a wzdychała.

— Niech mi mama powie, co ja mam począć? Ja widzę konieczność wyrzeczenia się tych marzeń.

— Zapewne — odpowiedziała matka — zabiennemby to było...

— Walczę z sercem własnym...

Iza otarła łzy...

Tego dnia jednak już znacznie była więcej zrezygnowaną, przy poobiedniej kawie professor Favius wszczął rozmowę o Fauście Goethego i cały wieczór trwały rozprawy, szczególnie o symbolicznem znaczeniu postaci wywołanych w drugiej części.

Favius mówił nie jak się może w towarzystwie zwykło, raczej jak z katedry... ale i pięknie i żywo. Powtórzył prawie całą prelekcją Cuno Fischera z Jeny, którego był uczniem i zwolennikiem.

Iza widocznie była zajęta wykładem.

Nazajutrz rano całe spędzili na charakterystyce Ryszarda Wagnera i nowej szkoły muzykalnej... Po obiedzie zajęła ich ostatnia karta Kaulbacha, wspomniały obraz epoki reformacyi, tak żywo przypominający szkołę ateńską Rafaela...

Szóstego czy siódmego dnia, Iza była ubrana biało... a następnie włożyła przepaskę niebieską. Zaczęła grać na fortepianie...

Wyjeżdżając prywat-docent Favius był straszliwie rozkochany... Objawił się ten stan jego serca upartszem niż zwykle jąkaniem, obfitymi potami (które dla zdrowia były nader błogosławione) — i zmrużeniem oczów miłosnem, tak że z za okularów prawie ich dostrzedz nie było można.

Co o nim myślała Iza... nikt nie wiedział...

objawiła tylko matce, iż był prawdziwie uczonym, w którym wiedza nie wygasiała uczucia...

Trudniej by nam było stokroć wytłumaczyć co się w duszy Władka działo od tej chwili, gdy powrócił do życia cierpieniem, gdy poczuł strzaskaną przyszłość — wyrwaną siłę, zachwiane zdrowie... niepewność nawet godzin, które mu pozostawały.

Jeśli co podobny stan osłodzić może, to przyjazne oblicze wiernych nieszczęściu ludzi... Zapłakany Dziad i cicha żałobna Anny twarzyczka powitały go w progu nowego żywota...

Na takich próbach kto nie upada ten mężnieje i hartuje się... Władek ocknął się z surowszem pojęciem przyszłości...

W pierwszych zaraz dniach ogarnął go niepokój o Izę... chciał jej dać znać o sobie, wiedzieć co ona czuje i myśli, ale przytomność nieodstępnego Dziada, przed którym się długo taił z serdecznym stosunkiem, czyniła to niepodobnem... Widziano niepokój, nikt nie mógł dobrać przyczyny...

Po odjeździe Dziada... stary tylko Nagurski, doktor i Hanna byli przy nim, stan przebitej piersi ruszyć się ani pisać nie dozwalał... Dość długi więc czas upłynął i dr. Favius odjechał był już

z Waldau, gdy naostatek po długiej walce z sobą postanowił prosić o pomoc Hanny... Kochał ją jak siostrę, nie domyślał się w niej dla siebie tkliwszego uczucia, nie wiedział że zada jej cios śmiertelny...

Jednego dnia, gdy byli sam na sam, gdy dziewczę biedne może czulszego spodziewało się słowa, chory uśmiechnął się do niej...

— Hanno, siostró moja, rzekł — ja ci się chcę zwierzyć wielkiej, wielkiej tajemnicy...

Zaczerwieniła się Hanna i zbliżyła do niego, serce jej uderzyło... ale instynktowy strach jakiś ją ogarnął.

— Chcecie bym był spokojnym... dajcie mi duszy spokój... ty jedna to możesz sprawić.

Dwuznaczne wyrazy zwiększyły przestрах dziewczęcia, czuła że się jej w głowie zawraca.

— O! mój panie Władysławie — odezwała się łamiąc ręce — czyż pan nie wiesz, żem ja dla ciebie gotowa... do największych poświęceń!

— Możeż być większe nad to, które dla mnie uczyniłaś, opuszczając dziada... pielęgnując mnie? Ale droga panno Hanno... ja ci mam zwierzyć tajemnicę. Ja błagam twej pomocy... Ja ci jednej powiem... Ja się kocham!!

Hanna zbladła jak trup, drżała, w głowie jej zaszumiało, ale się uśmiechnęła milcząca.

— Tak, ja się kocham... ona mnie... kochała...
Ja chcę jej kilka słów posłać, ty się ulitujesz nademną, ty nie powiesz nikomu...

Hanna bełkotała niezrozumiale, w tej chwili musiała zrzec się nadziei którą żyła, zmienić serce na inne, myśl złamać, siebie zwyciężyć... Władek nie dostrzegł ani jej wzruszenia, ani bledości.

— Ja pisać sam nie mogę... ja ci kilka słów tych podyktuję!!

Można sobie wystawić położenie męczeńskie nie-szczęśliwego dziewczęcia zmuszonego uchwycić pióro, aby własny wyrok podpisać.

Drżąca, nie wiedząc co się z nią dzieje, poszła do stolika ze łzami w oczach, posłuszna, siadła nie mówiąc nic... i wypła kielich ten do dna...

Ale boleść, która na nią jak grom spadła nieprzygotowany całym ciężarem... była tak wielką, iż po tej chwili nie pozostało dla niej nic już coby ją zwiększyć mogło. Zdrętwiała pod ciosem... czekała nocy, by się wypłakać i wymodlić, złożyła swą ofiarę na ołtarzu życia i powiedziała sobie... ja go w ciszy kochać będę do końca...

List Władka trafił do Waldau po burzach, po

rozmyślach, po ostygnienu z pierwszych wzruszeń... Iza wprawdzie uczuła wznowiony ból, wspomnienia, miłość — ale tyle myśli przeszło już przez głowę jej, tyle rozumowań okataplazmowało serce... walczyła z sobą tyle... iż w odpowiedzi mogła z najzimniejszą krwią... popisać się ze stylem, z talentem, z artyzmem, tylko nie z uczuciem. Odpowiedź była jakby wycięta z drukowanej powieści w listach... trzy razy zacytowała Heinego, raz Göthego i Schillera... Ostatecznie był to pięknie wystylizowany kawałek, który nie mówił nic i obrachowanym był tak, aby nie powiedział wyraźnie z czem jechał...

W chwili kiedy go Władek odebrał... przeczytała i zrazu nim się uszczęśliwił, nadjechał Dziadek i doktor zgadzający się na to, ażeby chorego przeniesiono ostrożnie w umyślnie zrobionej lektyce za granicę...

Wiadomość ta dobiła Hannę... kończyło się jej miłosierne posłannictwo, ostatnie marzenie... nie tała się przed sobą, iż musiała z nim rozstać się na wieki, że go już nie ujrzy więcej. Wracała z obrazem tych dni i nocy przebytych u łóżka chorego... na rozpamiętywanie ich przez życie całe...

Złamana bolem, musiała jednak pamiętać na

godność niewiasty — na obowiązek ukazania przy pożegnaniu twarzy wesołej... Nikt nie powinien był wiedzieć jej tajemnicy... odkryć stanu serca...

Nadeszła ta chwila straszna... z bijącym sercem, ale siłą wywołaną wolą szlachetną, Hanna ostatni raz stanęła u łoża jego i podała mu rękę... głosu jej brakło...

— Bądź zdrow — rzekła drżąca — niech Bóg błogosławi cię i czuwa nad tobą... Dzięki ci za te chwile, którem spędziła tu... będą mi one pamiątką na — życie... bądź zdrow, bądź szczęśliwy! Nie zapomnij o mnie.

— Dobra siostró moja — zawołał rozczulony Władek — uczynźe mi tę pamiątkę... i jak siostra... Hanno czystym pocałunkiem pożegnaj brata.

Oczy Władka zwróciły się ku niej — Hanna czytała w nich taką czułość, taką miłość świętą, spokojną, że ją to także na chwilę uczyniło nad wyraz szczęśliwą...

Jak piorunem spadło na nią zwątpienie, tak błyskawicą zlatywała niespodziana szczęścia chwila.

Zarumieniona schyliła się ku niemu, mimowoli wstyd zamknął jej oczy i drżącymi ustami dotknęła twarzy Władka. Uczuła gorący pocałunek jego na licu... W tej chwili jakieś niepojęte wrażenie ob-

jęło ją, złąkla się aby nie upaść na chorego, cofnęła się i chwytając za krzesło, potoczyła omdlała na podłogę...

Nadchodzący Dziad i doktor podnieśli ją... zrozumiawszy jaki piorun obalił biedną istotę... Powoli sprowadzili na dół do Nagurskich i trzeba było położyć, gdyż nagle siły ją opuściły zupełnie... Dziad milczał, ale przyspieszyło to tylko chwilę wyjazdu, a raczej wynosin Władka...

Środki wszelkie bezpieczeństwa tak trudne wówczas do obmyślenia na granicy, wcześniej wielkim kosztem i staraniem najzabieglejszem zostały przedsięwzięte... Całą drogę niemal aż do miejsca, w którym granicę przebyć miano, ostawiono czatami, strażę pograniczną upojone, zapłacone, ujęte zostały... z drugiej strony od Prus czekał wóz ambulansowy umyślnie sprowadzony z Berlina, dokąd wprost małemi etapami miał udać się Władek.

Przygotowania te w części sam ów niezmordowany Dziadunio poczynił; a z drugiej strony lekarz Niemiec z Berlina wezwany, który się podjął doprowadzić na miejsce ranego. Temu to przypisać należy, iż pierwszy nocleg w Prusiechznaczony został w Waldau, w oberży pod Pruską Koroną.

Dziad który w kilka dni później miał się udać

do Berlina, odprowadził Władka do granicy, matka na niego czekała w niemieckiej stolicy. Biednej kobiecie oszczędzając straszego widoku, kłamano z początku, fałszywe oddawano listy chcąc jej zdrowia oszczędzić. O całej prawdzie miała się dopiero dowiedzieć w uścisku ocalonego prawie cudem dziecięcia. Tak był Dziadunio obmyślił, który wszystkim umiał się zająć razem, przewidzieć wszystko i dla każdego przywdziać twarz inną: dla Haliny, dla Szymbora, przy Władku stając się coraz prawie nowym człowiekiem.

Zdawało się, że ta czynność nieustanna nowe w nim wywołała siły i władze... Ci co go najbliżej znali nawet, wydziwić się temu trudowi nie mogli i pogodnemu umysłowi, który mu ciągle towarzyszył.

Gdy lekarz dodany od granicy Władkowi na nocleg wstrzymać się kazał, a chorego do gospody znoszono z wozu, rzucił on roztargnionem okiem na okolicę i z podziwieniem postrzegł się w znajomych sobie Borkowcach. Uczyniło to na nim niepojęte wrażenie, niemógł przypuszczać, aby go tu zatrzymano umyślnie, a zrządzenie wypadku uważał za coś opatrnościowego... Radość i przestrasz zarazem ogarnęły go, baczny lekarz dostrzegł zaraz

na fizyognomii, w pulsie chorego stan niezwycajny, którego przyczyny nie mógł się dobać.

Przypisał on to z razu znużeniu podróży i nakazał zupełny spoczynek.

Był to człowiek łagodny, dobry i doświadczony, ale mimo sympatyj dlań wahał się Władek z wyznaniem przed nim niepokoju gorączkowego...

Doktor usiadł przy łóżku.

— Powiedz mi pan — rzekł — co panu jest? przed kilku godzinami zdawałeś mi się spokojnym... czy się gorzej czujesz? czy cię podróż znużyła?

— Nie — nie, jest mi dobrze — odparł Władek, ale łacno pan pojmujesz... mam widzieć matkę... opuszczam kraj... mimowolnie przyszłość moja nasuwa mi się na myśl... a przytem samo to miejsce...

— A cóż ma za wpływ miejsce? zapytał zdziwiony lekarz.

— Mieszkają tu dawni, dobrzy moi znajomi, z którymi mnie ściśle, bardzo ściśle łączyły stosunki...

Władek nie śmiał powiedzieć więcej, ale po rumieńcu, po milczeniu lekarz się wiele domyślił.

Znał on radcę von Stamm i jego córkę, odgadł prawie przyczynę pomieszania chorego.

— Wątpię bardzo — rzekł — czy rodzina pp. Stammów, którą znam z dawna, znajduje się w domu. Zdaje mi się żem coś słyszał, jakoby wyjechali za granicę. Ale pójdę do dworu, to ztąd trzy kroki, dowiem się... Jeśli są, pewnie się widzieć z panem zechcą.

Władek tak żywo, z takim wyrazem wdzięczności pochwycił go za rękę, iż lekarz nie miał już najmniejszej wątpliwości, że sprawa sercowa niepotrzebnie mu miała kuracją skomplikować. Nie był on za tem, aby chorego narażać na najprzyjemniejsze, ale silne wzruszenie... Wszakże postanowił raczej zapobiedz zbytniemu rozczeniu, niż całkiem odmówić przystępu Stammom, jeżeliby oni sobie tego życzyli...

— Leż mi pan spokojnie, odezwał się biorąc za kapelusz — odpoczywaj, a ja pójdę do dworu przekonam się tam na miejscu czy dziedzice w domu...

Lekarz wychodząc na wszelki wypadek zostawił felczerowi instrukcją, aby bez niego nie wpuszczano nikogo i wywiadywać się niedozwolono; sam zaś pospieszył do dworu...

Państwo Stamm nie byli wcale wyjechali za granicę i radzca ze zdziwieniem powitał dawną swą berlińską znajomość.

— Co ty tu robisz? zapytał.

Lekarz w kilku słowach opowiedział mu swą przygodę. Radzca jakkolwiek człek zimny i wytrawny, nie mógł ukryć wrażenia, jakie ta wiadomość na nim uczyniła... Widocznie wahał się co począć.

— Mój chory, dodał doktor, zdaje się bardzo pożądać widzieć was... na wszelki jednak wypadek nie wiedząc jakie są wasze w tej mierze usposobienia, przygotowałem go do tego, że was nie ma w domu, iż słyszałem coś o wyjeździe za granicę.

Radzca uścisnął rękę lekarza, podał mu cygaro i spiesznie wyszedł do córki.

Piękna Iza siedziała w swoim pokoju zajęta rysunkiem, gdy ojciec wszedł żywo, poznała po twarzy jego zmienionej, że się coś niezwyčajnego stać musiało. Wahał się jeszcze radzca od czego począć, gdy Iza go spytała.

— Ojczy... tobie coś jest? mów, bądź ze mną otwartym... Nieszczęście jakieś? taką się twarzą pomyślności nie wita.

— Nie jest to nieszczęście, ale co najmniej

kłopot — zawołał radzca ręką trąc czoło... Wystaw sobie że tego kalekę Władysława wypadkiem wiozą tędy do Berlina i doktor nie wiedząc o niczem, zatrzymał się z nim na noc w Waldau...

Iza zbladła, głowa jej opadła na piersi, sparła się na stole, zadumała.

— Zdaje się, że chory kogoś by z nas widzieć pragnął...

— Ale ja nie mogę! ja nie chcę go widzieć teraz, wybuchnęło dziewczę... ja mam wstręt do rannych, do chorób, ja znieść nie mogę widoku cierpienia... to nad siły moje... Ojciec wiesz, że starożytni w sztuce nie śmieli nigdy tknąć boleści, która szpeci i poniża naturę ludzką... z wyjątkiem Niobidów, Laokoonu i Kapitolińskiego Gładyatora.

Ale nie! — przerwała — to by mnie zabiło! Kaleka!! o! nie! nie! nie żądajcie tego po mnie! Na samą myśl... Bez nogi! to coś okropnego... to już nie człowiek, ale drgająca resztką życia...

Zakryła sobie oczy...

— Nic mniej estetycznego nad te obrazy... Boleść, boleść moralna! ale fizyczne urągawisko materji nad duchem... Nie! nie!

Ojciec stał, — prawie go ten wybuch ucieszył.

— Ja cię wcale nie namawiam, rzekł.

— Tak jest... ja go kochałam — zawołała jakby sama do siebie Iza — ale dla tego właśnie chcę obraz jego opromieniony młodością, wdziękiem zachować na zawsze w mej duszy... jako najdroższą pamiątkę.

Z tragicznym gestem dłonie złamane przycisnęła do piersi.

— Ja tę całą noc... póki on tu jest, przepędzę w gorączce... a! ta sama myśl...

— Uspokójże się... powiemy przez doktora Hermanna, że nas nie ma w domu, żeśmy wyjechali... Byłoby mu pewnie nadto boleśnie, gdyby wiedział, że ty nie chciałaś ani go odwiedzić, ani mu przynieść pociechy.

— Ja nie mogę, bo nie chcę kłamać — zawołała Iza — kochałam w nim może więcej nad wszystko jego młodość, świeżość, wdzięk... nie chcę stracić wrażenia... Mój ideał zostanie na wieki ze mną...

Ojciec położył jej rękę na ramieniu z uśmiechem.

— Tyś prawdziwie wyższą istotą! — rzekł — zostaw mi resztę... nie potrzebujesz nawet myśleć o tem... Doktor mu powie że nas niema...

Iza zawahała się wszakże, chwyciła za głowę, dumiała.

— Możeby to było okrutnem..... żeby nikt z nas tam nie poszedł... idź ty mój ojczcie... idź sam... Kiedyś mi powiesz, jakie to na tobie uczyniło wrażenie. Tyś panem siebie, tyś mężczyzna, i widok ten znieść potrafisz...

Radzca skłonił głowę i wyszedł.

— Wiesz — rzekł do doktora powróciwszy — córka nasza osłabiona jest, podrażniona, widok chorego uczyniłby na niej zbyt przykre wrażenie, żona widzieć się z nim nie może — powiemy mu, że ich nie ma w domu. Ja pójdę z tobą na chwilę do niego — żal mi biednego chłopca. Ci Polacy... oni nigdy rozumu mieć nie będą!!

Lekarz, który był dosyć przyjaźny Polsce i Polakom, spojrział na radzcę z pewnem podziwieniem ale rad był dla chorego, że się to obejdzie bez tragicznych scen i rozczuleń.

— Ze wszech względów tak będzie lepiej — rzekł — chory potrzebuje spokoju jak największej. Chodźmy...

Nie zastanowił się nad tem ani radzca, ani Iza która mu sama doradziła, by szedł do Władka, że ów znając dom i obyczaje, domyśli się od razu

z obecności ojca, iż córka musi być w domu. — Iza bowiem ani sama ani z matką nigdy nie wyjeżdżała, ojciec zwykł był jej towarzyszyć wszędzie.

Władek czekał pełen zaufania — nie przypuszczał on nawet, ażeby Iza odmówić mu mogła jałmużny kilku słów, wejrzenia... rachował na jej serce... bo go nie znał. Pełna zapału i egzaltacji artystka zdawała mu się pełną uczucia niewiastą!!

Rozjaśniła mu się twarz, gdy ujrzał wchodzącego radzcę, był bowiem pewny, że on córkę poprzędza... Jakże ścisnęło się serce, gdy chłodno, ceremonialnie, Stamm oświadczył, że panie — wyjechały...

Zbladł i zamikł biedny chory... przez głowę przeszło mu, iż Izie nie powiedziano może o nim, aby jej przykrego widoku oszczędzić, i to go tylko pocieszyło. Ale w tem doktor się oddalił i Władek wyciągnął rękę ku panu Stamm.

— Mów mi pan prawdę, odezwał się, wiem dobrze, iż kiedy pan jesteś w domu, Iza być musi także. — Zapewne nie chcieliście jej tylko mówić o mnie...

— Nie, panie Władysławie — odparł radzca — ponieważ wyzywasz mnie na szczerłość, taić ci nie będę, że w istocie Iza jest w domu... że wie

o was... ale sama, dobrowolnie unikała przykrego spotkania. Wysłała mnie tylko... Wnieście z tego co się wam podoba, ale lepiej jest, ażebyście się nie łudzili nadziejami. Iza miała czas rozmyśleć się nad niemożliwością tych stosunków... Wiecie, że ma wolą własną, że my nie zmuszamy jej do niczego... to jej przekonanie.

Władek choć uderzony tem boleśnie, zniósł cios stoicko.

— Tak, panna Izabella ma słuszość, odparł, w istocie dziś szczególnie z jej strony byłaby ofiara, a ja nikczemnym bym się okazał, gdybym jej śmiało żądać, spodziewać się i przyjąć. Chciałem tylko was pożegnać i za uprzejmość podziękować waszę.

Radzca nieco się skłonił, myśląc w duchu — roztropniejszy jest niż sądziłem.

Młodemu chłopcu szło o to aby bolu nie pokazał, aby się nie wystawił na politowanie, z gorączką mówił dalej uśmiechając się.

— Mam nadzieję że panna Iza znajdzie kogoś godniejszego siebie... właściwszy uczyni wybór i będzie szczęśliwą. Czego z serca życzę... Dobra noc, panie radzco... droga mnie znużyła... dziękuję wam za łaskawe odwiedziny.

Tak zbywszy się jak najrychlej pana von Stamm...
Władek w milczącą wpadł rozpacz...

Nie straszniej nie boli nad omyłkę serca, nad zawód w miłości na którą rachowało się jak na niebiańskie szczęście, znaleźć w miejscu uczucia chłód, trzpiotowstwo, zmyślenie, często na całe życie rozczarowuje człowieka.

Stan zdrowia Władka niebezpieczniejsem jeszcze czynił to strapienie, które na złamanego padało człowieka co go odeprzeć nie umiał.

Lekarz zastał go bladym, z oddechem krótkim i silną gorączką. Chory mu się uśmiechał, upewniał że mu nic nie jest... ale starego oszukać nie było można. Opatrzywszy rany, zalecił spoczynek, a sam niespokojny został w drugim pokoju na czatach... Nocą gorączka się wzmogła do nieprzytomności, stan dziwnie pogorszył, niepodobna go było czemu innemu jak moralnemu wrażeniu przypisać, lekarz mocno był niespokojny, a po części odgadłszy powody, mimo że chory mógł na miejscu potrzebować wypoczynku... postanowił wieść go dalej... aby wpływ wspomnień zniweczyć...

Nad ranem znużony Władek usnął, zbudził się słabym bardzo, mimo to natychmiast zaprzężono wóz i w dalszą puścili się drogę.

Dziadunio miał pospieszyć za swym jedynakiem, wszystko było w gotowości do podróży, wydawał tylko ostatnie polecenia swoim zaufanym starym sługom. Z dziwną przytomnością umysłu nie zapomniał on najmniejszego szczegółu, najdrobniejszej ostrożności, nie spuścił się na nikogo... Po obiedzie też z kolei wszedł do jego pokoiku ze zwykłym pozdrowieniem — Niech będzie pochwalony — stary Daniel Rembak, który od dawnych czasów pełnił u niego obowiązki leśniczego.

Był to sześćdziesięcioletni może starzec, suchy, chudy, nieco przygarbiony, ale zdrow jeszcze i silny. We wsi przewali go byli Milczkiem, bo mówić nie lubił, przeżywszy znaczniejszą część lat swych w lesie, tak nawykł do ciszy i milczenia, że i z ludźmi rozmowy unikał, a nawet towarzystwa bardzo nie lubił.

Daniel w sukmanie, w torbie borsuczej, pokłoniwszy się do kolan Dziadowi, stanął u progu i czekał jego rozkazów.

— Cóż ja ci powiem, mój stary przyjacielu, odezwał się do niego Dziadunio — na terażniejsze czasy, rób co się da zrobić, aby choć lasu nie dać

niszczyć, o zwierzu mowy nie ma. Rozprzężenie takie, jak tam sarny upilnować, gdzie człowiek życia nie pewny?

Cieężkoż nam na świecie, mój stary — dodał — a człowiek się tem tylko pociesza, że chyba to długo potrwać nie może... nam czas już spocząć...

Daniel otarł łzę i mruknął coś niezrozumiale.

— Gdybyż było komu zostawić tę ziemię, około której utrzymania człek pracował!!

Spojrzał na wizerunek Stanisława i wskazał go leśniczemu, który ręce podniósł i westchnął...

— Gdyby człowiek choć zchodząc z tego świata... wykrył tę tajemnicę jego śmierci...

Daniel drgnął i pobladł, starego oka to nie uszło.

— Wszakże to i ty byłeś na tem polowaniu? rzekł.

— A byłem → słabym głosem rzekł Daniel.

— Tyś stary myśliwy... patrzajżeno..., wyniósł strzelbę z kąta...

— Oto kula wyjęta z jego ciała... a oto strzelba... ale nie z jego rąk wyjęta! kto inny miał ją na polowaniu tem, kto inny!... patrz... jak kaliber do lufy przypada...

Daniel patrzył, ale Dziad, którego oko nań padło, powtóre już uderzony został nadzwyczajnem wrażeniem, jakie te wspomnienia na nim czyniły... Daniel zakrył sobie oczy, począł płakać, drzeć... obejrzał się w koło... i nagle padł na kolana.

Dziad odskoczył.

— Co ci jest?

— Panie, uderzając się obu rękami w piersi — zawołał stary leśniczy — nie winujcie mnie, nie zabijajcie mnie, jam nic nie winien... Bogiem się świadczę... ja powiem wam wszystko jak było.

Szambelan przyskoczył doń, jak gdyby skarb znalazł, pochwycił drżący.

— Człowiecze, [tyś widział! i milczałeś... lat tyle!...

— Panie — łkając mówił leśniczy — jam się obawiał — ja mam dzieci, ja wiem co może zemsta nad biednym człowiekiem... ja musiałem milczeć, ale sumienie pali i gryzie — dłużej nie mogę.

Pomimo wstrząśnienia, jakiego doznał, Dziad zatrzymawszy Daniela, poszedł Szczepanowi nakażać, aby nikt nie przeszkadzał rozmowie, w tej chwili wyprawił do sędziego i urzędu wezwanie... i zamknąwszy drzwi na klucz przyszedł do leśniczego z powrotem.

Biedny człek stał oparty o uszak drzwi, pół martwy, pogrążony w myślach, spłakany, trwożył się o siebie... śmierć niemal widząc przed sobą i zgubę całej rodziny.

— Nie lękaj się — rzekł Szambelan, mów całą prawdę, znasz mnie i możesz ufać słowu... włos ci nie spadnie z głowy.

Daniel się do nóg mu pokłonił...

— Mów, niech raz prawda na wierzch wypły-
nie, Bóg jest wielki, nie przerywaj sobie, a staraj
się najmniejszy szczegół przypomnieć.

— O! panie — odezwał się dalej — ten dzień
mi tak w oczach stoi jakbym go ledwie wczoraj
przeżył, pamiętam porę, widzę przed sobą las...
słyszę psów granie...

Ja z początku polowania nie miałem wyznaczo-
nego miejsca, łowczy pana Stanisława kazał mi na-
glądać na psy w tej stronie, żeby nie poszły i nie
zagnały się na cudze, wzięwszy więc strzelbę cho-
dziłem po linii, gdy się polowanie na dobre za-
częło i strzały tu i owdzie rozlegały po lesie...
Nawet nie zdjąłem z ramienia fuzyi, bo na ten
dzień człek tam był nie dla siebie ino z obowiąz-
sku...

Już po całej linii huknęło i zwierz wychodził

na strzelców, kiedy zdala patrzy, jak to pan zawsze był gorączka, że niewytrzymał żeby przeciwko psom się nie wyrwał, jeżeli na niego nic nie wyszło, tak i wówczas, podniósł strzelbę... leci. Był czegoś gniewny i zapalony bardzo, usta miał zaciśnięte... biegł szybko... Stałem za starym dębem i krzakami, inom go przez liście widzieć mógł a on mnie wcale nie. Nie miałem się po co na gniew nastęrczać, bo wiedziałem że gdy mu się nie powiodło, to się do lada czego przyczepił, przyczepiłem się za pnem...

Z drugiej strony z boku, w małą chwilę potem... wyszedł z zarośli Szymbor, spojrzeli na się zdala, panicz się zczerwienił, a tamten pobladł.

W lesie było cicho ino zdala gon psów się czasami odzywał, słyszę jak dziś, pan Stanisław woła.

— Po kiego licha z linii schodzisz?

— No! a ty? odpowiedział Szymbor.

Pan Stanisław jak nogą tupnie i strzelbą o ziemię.

— Jam tu gospodarz! na swoje miejsce... kulą w łeb weźmiesz jak nie...

— No! to i ciebie spotkać może...

— Zleż że mi z oczów, zawołał znowu nasz panicz... bom zły.

— I jam nie dobry...

— Idź, mówię ci na miejsce... nie drażń mnie! Widzisz że się trzęsę ze złości... a wiesz jak cię kocham...!

— Wiem i powinienes też wierzyć że ci płacę równem uczuciem... Nie od dzisiejszego dnia w nas kipi panie Stanisławie...

— Panie Boże! krzyknął nasz, a broń że mnie od passyi i pokusy...

— Ja bym gotów do starego djabła się pomodlić, krzyknął Szymbor, nie o to żeby mnie od pokusy wybawił, ale by cię sobie wziął... żeby na cię nie patrzył...

— Z szatanem się znasz, jesteście w komitywie, nie odmówi ci...

— O! ty, ty, jezuito, nabożnisiu jakiś, ryknął Szymbor... znam ja ciebie i twe sprawy lepiej niż myślisz... Mamy z sobą na pieńku i zobaczymy... czyja będzie na wierzchu. Wszystkoś mi pokrzyżował, psułeś mi coś tylko mógł, życieś mi struł, nienawidzę cię jak — psa!

Jak on to krzyknął... *psa!* Patrzę na pana Stanisława, pobladł gdyby trup, bez namysłu pochwyił strzelbę i miał ją przyłożyć do twarzy wprost wymierzywszy do Szybora, gdy ten jak piorun żywo porwał dubeltówkę i dał ognia...

Dym... zasłonił... We mnie serca zabrakło i pad-
 łem na ziemię z trwogi, tylko słyszałem jęk i jedno
 słowo — Jezus... Gdym oczy ośmielił się podnieść
 ujrzałem jak Szymbor przypadł do trupa, bo już
 pan Stanisław nie żył i wystrzeliwszy na wiatr du-
 beltówkę począł ją rychtować koło niego... Zwijał
 się jak w gorączce... i porwawszy za swoją broń,
 w oka mgnieniu w krzaki poleciał...

Z przestachu, z żalu, nie wiedząc co począć,
 długo nie mogłem się podnieść, potem gdy mi na
 myśl przyszło, że uchowaj Boże, na mnie biednego
 człowieka zrzucić wszystko mogą, jakem począł le-
 cieć, nie wiem gdzie się oparłem.

Dziad słuchał tego opowiadania z gorączką pra-
 wie... ale widać było po nim iż domyślając się wy-
 padku inaczej go sobie wystawiał... Tu wina była
 prawie z obu stron równa... chociaż wedle zezna-
 nia Daniela, Stanisław zapewne nie myślał strzelać
 ino nastraszyć i odpędzić. — Następstwa wypadku,
 zatajenie jego, ciążyły na Szymborze... Wszystko
 to potrzebowało rozmysłu... a Dziad zatrzymując
 leśniczego poszedł na rozmowę z samym sobą,
 wahając się czy sprawę ma poddać sądom, lub ją
 prywatnie własnym wyrokiem rozstrzygnąć...

Wypadek ten po tylu innych, w chwili gdy się

już starzec najmniej mógł spodziewać wykrycia prawdy, poruszył go jak by palec opatrności rozwiązujący dlań wątpliwość ostatnią, aby spokojniejszy zstąpić mógł do grobu.

Sam na sam z sobą, do późnej nocy Dziad chodził, jęczał, modlił się, ale nad ranem po tej walce dusznej, wiedział już co miał czynić. Zatrzymał Daniela, odwołał wezwanie urzędu (znalazłszy łatwy pozór do tego) i umyślnego wysłał po Szymbora...

Nie pisał doń nigdy, kazał mu powiedzieć że natychmiast widzieć się potrzebuje, gdyż na dłuższy czas wyjeżdża z domu.

Wieczór już był gdy niepomału zdziwiony tak nagłym wezwaniem Szymbora się do Rajwoli przystawił. Na twarzy jego malowało się to uczucie zadowolenia źle ukrywane, [które cechuje niepożycznych gdy się z cudzej cieszą niedoli. Grom po gromie spadający na Dziada... dawał mu nadzieję że Szambelan upokorzony, 'znękaný wreście zbliży się doń nie mając nikogo i da się zawojować.

Przybywał więc z tą dobrą miną, i lisią pokorą, które najbardziej starca drażniły. Na pierwszy

jednak rzut oka postrzegł zaraz że Dziad przybitym nie był — owszem zdawał się rozgorączkowanym i gniewnym.

— Jużciż nie na mnie, powiedział sobie w duchu, bom mu żadnego nowego figla niespłatał...

Powitanie zimniejsze było niż kiedykolwiek.

— Co mu to jest? myślał przybyły.

— No, rzekł głośno — chwała Bogu, pan Władysław lepiej się ma, Dziadek by powinien być w lepszym też humorze...

— A tak! ma się lepiej i jest już w Berlinie, więc bezpieczny, pociesz się i Asindziej — odezwał się szydersko Szambelan...

— Cieszę się — odezwał się Szymbor.

— Mamy z sobą na osobności do pomówienia, rzekł Dziad, proszę do mnie...

Samo to uroczyste zawezwanie tchnęło Szymbora, który zwykle poufnych rozmów z Dziadem nie miewał...

Wpuściwszy do gabinetu p. Apollinarego, stary nie dał mu drzwi zamknąć.

Niech stoją otworem, mógłby nas kto podsłuchać, a interesem jest waszym więcej niż moim, ażeby ta rozmowa nasza progu domu nie przeszła.

— Na coś straszego się zanosi — odparł niemal szydersko przybyły.

Dziad stanął naprzeciw obrazu Stanisława, wlepił w niego oczy i ponuro ozwał się do Szymbora.

— Kainie! coś zrobił z Ablem bratem swoim?

— Co to jest? przerwał blednąc Apollinary — nie pierwszy to już raz spotyka mnie ta obelga... Jakkolwiek szanuję i wiek i węzły które nas łączą... przecież z zimną krwią takiej potwarzy nie mogę znieść.

Dziad jakby nie słyszał, mówił dalej.

— Nękałeś go całe życie, zatruełeś mu je... Naostatek zabiłeś go... Uwziąłeś się wszedłszy w rodzinę naszą aby do niej wnieść wszystko złe którem cię życie napoiło... Nie dość ci było tego trupa i rzuconego nań samobójstwa, prześladowałeś dziecko, znęcałeś się nademną... ale mówiłem ci niegdyś — że jest Bóg — że zbrodnia nie pozostanie na wieki zakrytą a dziś z pomocą Opatrzności wyrzec mogę tak jakbym sam patrzył na morderstwo — Ty go zabiłeś, ty!

Szymbor zmięszął się, drgnął, zdawało się że przerażony myśli uciekać, obejrzał się w około..... Była długa chwila milczenia..... Krew mu uderzyła do głowy i zawołał zuchwale.

— Ale to dowieś mi musisz jeszcze! Dziadunio zapewne radził się jasno-widzącej, czy gadającego stolika?

— Milcz morderco... mam świadka żywego który na to patrzył... Mogę ci powtórzyć słowa któreście do siebie mówili... całą kłótnią waszą, w której śmiałeś tego anioła dobroci, nazwać obelżywym wyrazem — *psa*...

Tak! on podniósł broń aby cię odegnąć — a ty...

Aż do tej chwili Apollinary miał minę niedowierzającą, szyderską acz niespokojną, usłyszawszy ostatnie wyrazy, dowodzące że Dziad się na pewnej wiadomości wypadku opierał, — Szymbor zachwiał się, zbladł, zczerwieniał, zgrzytnął zębami — i trzęsąc się cały padł na sofkę... Ale chwila strachu prędko w gniew się zmieniła.

— Stary szalbierzu — zawołał — doszedłeś więc nareście do tego czegoś pragnął? Idź, spiesz, oddaj męża wnuczki swej w ręce sprawiedliwości, na szubienicę... Może już sprowadziłeś pachołków? napij się krwi mojej i ukój zemstę!...

Nagle błysk jakiś trwogi dźwignął go, rzucił się rozpaczliwie ku oknu, jakby chciał uciekać.

— Stój i słuchaj, niekzemny, zawołał Dziad,

ucieczką byś mnie zmusił do tego czego niechęć...
Wracaj do Zarebia... weź co ci się podoba... i zejdź
mi z oczów a nie powracaj. Jestem dosyć po-
mszczonym upokorzeniem twojem... sumienie za mnie
ci zapłaci...

Szymbor zdawał się namyślać.

— Więc jeśli wiesz wszystko, zawołał, wiesz
i to że on wprzódy zmierzył do mnie?

— Wiem, odparł stary — ale nie podniósł
kurków, nie myślał o strzale, odpędzał cię tylko.

— Któż wie? strzeliłem w obronie życia włas-
nego...

— I utaiłeś występki... układając trupa tak
abyś go samobójcą uczynił??

Szymbor głowę spuścił.

— Ale któż to widział? krzyknął unosząc się
gniewem... szatan?

— Bóg — rzekł stary.

— Więc jest ktoś co wie o tem, co mógłby
świadczyć?

— Jest i mam go w ręku...

— Dla czegoż milczał lat tyle?

— Bo znał ciebie!... bo wiedział że byłbyś i je-
mu życie wydrzeć potrafił...

Apollinary zamilkł, stał jak rażony piorunem.

— Mniejsza o to — rzekł, i mnie z wami nie tak było słodkiem życie abym go do zbytku żałował...!

Postąpił krokiem do progu...

— Skończone wszystko między nami — odezwał się śmiejąc, skończone... słuchajże stary, nie myliłeś się, nienawidziłem ciebie, twójgo rodu!... robiłem com mógł aby ci odebrać pociechę, nadzieję, aby cię osierocić... Jak rdza wpiłem się wam i żarłem... zostaną po mnie ślady! Zemściłeś się... Któż wie? może ja jeszcze mścić się potrafię?¹

Nie mówmy sobie — na wieki... ale do miłego widzenia!

Szedł już i odwrócił się jeszcze...

— Zostawuję ci wnuczkę... bez żalu... wziąłem ją czystą i pocziwą, oddaję taką że jej nie poprawi i nie oczyści. Dałem się jej napić życia z tej kałuży, jak ty nazywasz, z której ja piłem... Weź ją teraz... weź... to łachman kobiety... który ci mnie przypominać będzie... to moje dzieło...

Rozśmiał się znowu. Szambelan stał milczący; a usta mu drżały jakby cichą, wewnętrzną modlitwą...

— Do zobaczenia stary!

Plunął na podłogę...

— Dobrze mi tak! wlażłem w nizeczemną dorobkiewiczów rodzinę... wynoszę z niej pocom sięgnął — żal i wstyd...

Niech was pioruny spalą...

Cisnął gwałtownie drzwiami, przebiegł pokój pierwszy i rzucił się na bryczkę, bijąc woźnicę po szyi.

— Trutniu! w czwał do domu! słyszysz... niech konie popadają, — ruszaj na złamanie karku... I jak burza wyleciał z dziedzińca...

W jednej z tych zielenią otoczonych, wyświeżonych i uśmiechających się willi które rzędem opasują Thiergarten berliński i tak dziwny kontrast z miastem koszarowem a zimnem, w kwadraty pokrajanem stanowią... w salce, której okna wychodziły ku małemu ogródkowi obwieszonemu bluszczami i winem dzikiem... wśród posępnej ciszy grobowej, poruszało się o zmierzchu wieczornym, kilka osób martwych, smutnych... z twarzami bladymi i łąą na oku...

Z nać było po nich że czekały wyroku, że stra-

ciły nadzieję a jeszcze pragnęły cudu... i w nieszczęście swe uwierzyć nie chciały...

Zebrani razem nie śmieli się odezwać, słów im brakło... poruszali się jak cienie... cisza łotaczająca łoże boleści panowała w małym domku, rzadko przerywana turkotem posuwającego się opodal powozu.

A była znowu wiosna, ale wiosna bez nadziei, urągająca się boleści narodu i ludzi co padali ofiarą.

Na przeciw okna siedziała spłakana matka, wpatrzona w świat którego nie widziała... oczy jej osłupiałe, nieruchome... malowały stan duszy nad wszelki wyraz zbolełej. Życia w niej było już tylko tyle ile potrzeba ażeby czuć cierpienie.

Cichemi kroki po salce, utopiony w zadumie, chodził starzec, wywiedły, zeschły, z gorączką w oczach, fałdami na czole, widocznie walczący z sobą aby się nie poddać nieszczęściu, które go zdawało się dobijać. Niekiedy stawał, zamyslał się, zdreptwiały jak posąg zapominał o sobie... aż go coś zbudziło znowu...

W kątku oparta o okno płakała Justyna... a łzy splukawszy twarz zmęczoną, zoraną cierpieniem,

czyniły ją do niepoznania straszna... Lice miała trupie.

Z założonemi na piersi rękami, z głową spuszczoną, siedział w kącie Antek Siekierka... Zmieniony także, spoważniały — surowy... zdając się pytać losów o zagadkę wszystkich kłesk i ciosów... Niekiedy westchnął i z czoła ścierał z wątpienie rozpaczliwe, niewiarę.

W drugim pokoju obok, którego okna były przyślonięte, leżał Władek którego lekarze opuścili, zawyrokowawszy że żyć nie może...

Aż do wysłania go za granicę a raczej do nie-szczęsnego noclegu w Waldau, siły młodzieńca dozwalały się spodziewać ozdrowienia, stan nogi był zadowalniający, piersi prawie zgojone... płuca zdały nie nadwreżone... Od tej chwili poszło wszystko ku gorszemu, gorączka go trawiła, rany niepokoiły lekarzy, stan ogólny był coraz groźniejszy. Władek milczał, uśmiechał się, na pozór był spokojny, łagodny, ale życie w nim gasło, nie skarżył się na nic... posłuszny robił co kazano, ale ochoty nie miał do życia i siły opuszczały go. Nawet przybycie Antka nie potrafiło ożywić — uściskali się ze łzami, Siekierka usiłował zająć

opisem swych przygód, nadziei. Władek mu się uśmiechał, ale go nic nie obchodziło.

Gdy ani matki, ani Dziada nie było w pokoju, zostawszy sam na sam Władek ściskając rękę przyjaciela szeptał mu.

— Ja umrę!...

— Nie możesz i nie powinienes umierać, odpowiedział Siekierka, jesteś potrzebny matce, Dziadowi, rodzinie, mnie, krajowi... wszystkim.

— Nie mam ochoty ani smaku do życia, przyznawał się Władek.

— Dla czego? pytał Siekierka — dla tego żeś się na jednym sercu oszukał, że los nie dał ci tej ładnej zabawki której zapragnąłeś? Godziż się być takim pieśczołkiem i skazywać się na śmierć dla tego że się na swój sposób nie może być szczęśliwym?

— Masz słusność — mówił Władek, czuję że nie mam się czem przed sobą wytłumaczyć, ale daj że mi do życia ochotę? ochotę do pracy, wiare w to że się na coś przydać mogę... Napróžno...

Takie rozmowy powtarzały się po tysiąc razy, i kończyły zawsze jednakowo, a Władek którego utrzymywano przy życiu... długo, długo, nikł im

w oczach... na ostatek lekarze uznali iż nie mu poradzić nie mogą.

Każdą niemal z rozmów tych Antek musiał powtarzać Dziadowi... stary myślał, płakał, łamał ręce i poradzić nie umiał.

Raz w największej tajemnicy pojechał do Stambów, widział się z samym radcą, wyprosił posłuchanie u panny, pokłękł przed nią prosząc o litość... o ratowanie życia Władka, które ona tylko wrócić mu mogła.

Iza przyjęła go zimno... nader wymownie dowiodła mu że kaleki estetyczne uczucie kochać jej nie dozwala, a kłamać przywiązania nie może... Była wymowną i nielitościwą, świetną i jak miecz kata nieubłaganą... Dziad przestraszył się tej niewiasty sztuką utworzonej do miary wieku.

Nikt naówczas nie przypomniał sobie, nie pomyślał że była druga istota która rozstając się z Władkiem padła jak martwa a miłością wielką mogła w nim obudzić życia pragnienie... Dopiero gdy stan Władka tak się pogorszył że nadzieja znikła prawie, przypadkowo odebrany list z domu o śmierci Beniowskiego, jak błyskawicą olśnił Dziadunia myślą, by Hannę powołać znowu na siostrę miłośierdzia... do Władka. Dziadek myślał sobie... ko-

chał ją jak brat... któż wie, obudzi go może do życia!

Ale szczęśliwy ten pomysł przyszedł zapóźno, Hanna wyjechała do Warszawy z postanowieniem wstąpienia do Felicjanek... wiele czasu potrzeba było, aby ją ztamtąd wydobyć... aby wyprosić żeby ją na świat boży wypuszczono...

Właśnie w tej chwili gorączkowo oczekiwano przybycia Hanny, a żadnej o niej wiadomości dotąd nie było. Dziad powątpiewał czy przyjechać zechce. Wysłana po nią pani Nagurska nie powracała. Władkowi nie wspomniano nawet o niej... Lekarz zgodził się na to że przyczyną pogorszenia było cierpienie moralne, że uczucie mogło by... może, wyrzucić wpływ i sprawić cud...

Mało wszakże było nadziei.

Każda dorożka przejeżdżająca około willi wywoływała starca do okna... spodziewał się owego wysłańca pokoju i nadziei... co godzina — co chwila.

On jeden miał jeszcze siłę, wolę i nie odpoczął na chwilę...

Dziwną jego energią musiał młody Antek podziwiać, sam na podobną zdobyć się nie mogąc,

przypatrywał się temu starcowi jak fenomenalnej organizacji jakiejś godnej studyów, a w naszym wieku nie spotykanej...

Wieczór już był późny i służący wniósł lampę do pokoju, gdy w chwili najmniej spodziewanej, kobieta w żałobie zjawiała się w progu... Dziad poskoczył ku niej.

Była to Hanna a raczej cień i widmo pięknego dziewczęcia... blade, wyschłe, strwożone, pół żywe. Matka, ciotka... Antek który ją w ciszy serca kochał... otoczyli przybyłą, nie śmiejącą się odezwać nawet, drżącą ze wzruszenia dziewczeczkę. Stała jak posąg wylekła i zapłakana, dziękując im a mówić nie mogąc... Dziad całował ją po rękach...

— Siadaj — spocznij! rzekł do niej... ja zaraz powracam...

Na palcach wszedł do Władka pokoju...

Chory pół drzemiąc na pół czuwając leżał usnąć nie mogąc...

Stary usiadł przy nim. Władek podał mu rękę...

— Jak ty się czujesz? spytał Dziad.

— Nic gorzej... ale mi życia brak...

— Gdyby cię tak lada co nie poruszało to bym ci mógł miłą uczynić niespodziankę!

— Miłą? cóżby to być mogło? obojętnie zapytał młody chłopak uśmiechając się niedowierzająco. — Miłą?

— Wystaw sobie, że przypadek, istny przypadek przyprowadził tu Hannę... ona się tak z tobą widzieć pragnie...

— Hannę? zapytał Władek podnosząc się i rumieniąc... ale to może być? Cóż by ona tu robiła?

— A gdyby tylko asindzieja zobaczyć pragnęła? cóżby to tak było dziwnego?

— Byłoby dziwne, Dziaduniu, bo któż by mógł do takiego niedobitka człowieka choć trochę się przywiązać...

— Są serca — rzekł Dziad.

— Czyż są serca?

— Ale tylko u nas, dodał stary z przyciskiem...

— Więc gdzież Hanna? zapytał niespokojnie Władek.

— Może jest i tu? ale czyż byś czuł się na siłach ją widzieć?

— A! bardzo bym pragnął!

Dziad wstał i wyszedł do salonu, ujął Hannę

za rękę i wszedł z nią do pokoju Władka; pierwszy raz od dawna powstał on na łóżku, wyciągnął do niej ręce obie, uśmiechnął się... Hanna podbiegła, milcząco spojrzeli na siebie... i przeczytali na swych twarzach co na nich wypisało cierpienie.

— Bądź pozdrowiona, moja ty siostrzo miłosierdzia! bądź pozdrowiona... Jakżem ci wdzięczny żeś chciała widzieć mnie jeszcze... nim...

Hanna mu przerwała.

— Panie Władysławie... ja przybyłam być świadkiem i podporą pierwszych kroków waszych... wstaniecie przecież i musimy chodzić?

— Chodzić? ja? jeszcze chodzić? spytał uśmiechając się Władek — po świecie?

— Ja tak mówić nie pozwalam...

— Moja panno, czyś się nauczyła rozkazywać?

— Czasem.

Władek widocznie się rozweselił... rozmowa z Hanną ożywiła go... ale weszła matka z lekarzem, matka... trochę zazdrośna a trochę przełęczniona i resztę odłożono na jutro...

Spostrzeżono że chory spał tej nocy lepiej a nazajutrz rano zbudził się z twarzą weselszą, ubrał staranniej i niecierpliwie czekał przyjścia Hanny...

Dziadek zacierając ręce tryumfował... ale chmura

wisiała nad czołem. Po raz pierwszy tej wiosny, czując się swobodniejszym, zapragnął wyjść na przechadzkę i wyciągnął z sobą Antka do Thiergartenu. . . Matka i Hanna przy chorym zostały...

Mówili o rzeczach obojętnych... nareszcie Antek wpadł na to co często powtarzał — podziwiając energią, czynność, wytrwałość Dziadunia...

— Wy się temu dziwować musicie w istocie, odezwał się Szambelan, ja — ja należę do innej epoki i nie do jednej z najlepszych w dziejach naszych, a przecież wyniosłem z niej ten hart który widzisz...

Dla was składało się wszystko, nieszczęścia narodu, rodziny, czasu... aby was na niewieściuchów, fantastycznych i rozbujających bohaterów wychować, ale nie na ludzi powszedniej pracy i surowego obowiązku...

Patrzę ja na to, jak na palec Boży który zwiastuje albo przeobrażenie narodu — albo jego ostateczny upadek. Mężczyźni jesteście gorzej od niewiast słabi, lękliwi... i zrażający się. Pójdziecie na ogień w chwili egzaltacyi, a nie wytrzymacie najłżejszej przykrości, gdy się ona po cichu powtarzać będzie... Niedola was rozpieściła... wyszłicie z kolebek w czasach w których splakane matki nie mogły

silnym dzieciom dać żywota. W was odbija się świat nasz znękanym... czepiający się zabawek, bo do pracy nie zdolny... Nie mówię tego do ciebie, Antosiu... ale cóż zabiło Władka... własne serce... miękkość własna...

— Władka też serce uleczyć może.

— Daj Boże, zawołał stary... Cóż to za świat, gdzie jeden zawód doznany łamie i gruchocze...

— Pan jesteś wyjątkową istotą?

— Nie — jam jest szczątkiem tego społeczeństwa co niegdyś całe prawie z takich się ludzi składało... panował mu obowiązek... nie pragnęliśmy szczęścia... wiedzieliśmy że go mieć nie będziemy... a wy...

— Nie rozpaczaj pan o przyszłych pokoleniach... wygnanie, ubóstwo, praca — uczą wiele...

Domawiali tych słów, gdy Dziadek stanął jak wryty, nie wierząc oczom swoim, chwycił silnie za rękę Antka... a ten mimowolnie zwrócił oczy ku miejscu, w które się patrzył stary...

Ulicą Thiergartenu dla jezdnych przeznaczoną, posuwał się żywo dosyć powóz świeżutki, nadzwyczaj wykwintnie zbudowany, który ciągnęły cztery konie rasowe zaprzężone *à la Daumont*.

Dwóch lokajów w liberyi niebieskiej ze złotem, wygalonowanych siedziało z tyłu...

W powozie pochylona nieco, zbyt rażąco ubrana, młodziuchna kobieta i... obok niej prawie nie do poznania odmłodzony Szymbor... Towarzyszka jego — należała zapewne nie do arystokratycznego świata... nie miała ani jego rysów, ani dystynkcji, ani smaku w ubraniu, ale była młodziuchna i ładna. Szambelan stał osłupiały nad drogą; gdy wzrok przejeżdżającego zatrzymał się na nim, Szymbor zdjął kapelusz, szepnął coś kobiecie, odpowiadającej mu niechętnie i kazawszy wstrzymać poskoczył do starego, nim ten miał czas umknąć przed nim — z szyderską miną powitał Szambelana...

— Szanowny ex-Dziadunio zapewne podziwiał mój ekwipaż, twarzyczkę mej przyjaciółki, a nadewszystko kredyt jaki mam w Berlinie! cha! cha! Szczęściem mogę waćpana dobrodzieja wywieść z błędu co do ostatniego. Szymbor nie potrzebuje kredytu... Szymbor jest bogaty, ma kamienicę w Berlinie i kilka kroć sto tysięcy talarów w biletach bankowych.

Staremu krew uderzyła do głowy.

— Czy by J. M. Pan Szymbor, rzekł, trafił na

tak szczęśliwą wenę a na tak nieszczęśliwych młokosów przy karcianym stole? boć nie zapracował.

— Nie zapracował! nie — rzekł dumnie pan Apollinary — ale wziął prawem spadku... po starym bogatym wujaszku... Czasem kiedy się komu chce źle zrobić, uczyni mu się przysługę. Wszak ci to ja acanu dobrodziejowi zawdzięczam... Któż wie, gdybym niebył tu na miejscu i nie dopilnował tego starowiny, spadek by mi się był wysliznął może. Gotów był zapisać na szpital dla kanarków... Wsrubowałem mu się do domu... staruszek chorował, pilnowałem go w słabości... byłem jedynym spadkobiercą, i oto znowu płynę...

Nie wątpię że to wielką panu sprawić musi przyjemność.

— Tym większą, przerwał Dziad niezmięszany, że nie sądzę iżbyś waćpan dobrodziej długo i daleko zapłynął... Dobra noc...

— Dobra noc... A propos... Jeśliby Justysia życzyła rozvodu? jestem skłonny zadość uczynić jej żądaniu.

— Jest ono mojem także — odparł Dziad, a sama nadzieja zerwania ostatnich węzłów nas łączących mimo woli — wielce mnie raduje...

Szymbor się skłonił i z uśmiechem siadł do powozu... ale go oczekująca niewiasta zburczała za to, że ją na chwilę opuścił. Była to jedna z najznakomitszych amazonek cyrku Renza, która w tej chwili starego łotra ujeżdżała niezałując mu podobno szpicruty...

Kilka dni po przybyciu Hanny Władek miał się znacznie lepiej, lekarz uznawał to, wszakże żadnej jeszcze nie czynił nadziei. Przed jej przybyciem mówili nieraz z Antosiem; chory z tą nerwową drażliwością, która daje jasnowidzenie, dostrzegł łatwo z wyrazów przyjaciela, z pochwał jego, że się w niej kochał...

Przybycie Hanny nastęrczyło mu myśl zbliżenia ich ku sobie... zajął się tem gorączkowo... Czuł że żyć nie może, szczęścia dla siebie nie spodziewał się i nie pragnął, chciał by ostatni jego uczynek przyniósł je dwom ukochanym istotom.

Nie wydając się wcale z tym zamiarem, potrafił dosyć zręcznie starać się o jego wykonanie. Gdy Hanna przychodziła do niego, po chwili znajdował jakiś powód wezwania Antosia, wprowadza-

dzał ich w rozmowę, a sam jakby osłabły udawał że drzemie. — Hanna nie postrzegła nawet tej zdrady która by ją zabolala... a Antek się nie domyślił Władka... Ale Siekierka był tak dumny i skryty w sobie, tak przekonany że Hanna go kochać nie może, iż ta nieustannie podawana zřecznořć zblizenia się do niej, wcale go nie spoufalala. Gniewał się nawet w duchu na towarzysza iż go na twarde próby wystawiał. Hanna odkwitła znowu... wierzyla w przyszłość czy nie — zawsze to dla niej byla zyskana chwila... zapas pamiatek na tęskne dni klasztorne.

To uczucie jakie dla niej miał Władek, braterskie, spokojne, ona dla Antosia od pierwszego powięzła widzenia... Siekierka kochał ją namiętnie, ona go serdecznie lubila, a czula cala wartość moralną poczciwego chłopca... Ale od takiej przyjaźni czulej, do owego umiłowania istoty, które przychodzi mimo woli i wiedzy — przestrzeń ogromna nie zapełnia się wolą człowieka. U łozą Władka zblizyli się oni, zrozumieli, Hanna myslala że mogła by być z nim szczęśliwą nawet... choć inaczej. — Antek powięzł gorętsze tylko dla niej przywiązanie, ale ono uszło oczów wszystkich prawie. Hanna nie śmiała się go domyślać, jinni nie

widzieli, Dziadek tylko którego oko nie przepuszczało niczemu — odgadł tajemnicę. Co więcej zrozumiał Władka i całą jego pełną delikatności i poświęcenia energią.

Tym czasem stan chorego który w pierwszych dniach pozornie się był polepszył — wrócił do pierwszego, a nawet zdawał się szybki koniec zwiastować... Władek tracił siły znowu, — lekarz który przed Dziadem nic nie taił, powiedział mu że już wszelką stracił nadzieję. — Było to gaśnięcie lampy powolne, której płomienie błysnęły żywiej czasami, ale po wysileniu coraz bledszem światłem jaśniały. Władek mówił coraz mniej, myślenie i sama mowa go męczyły, lubił słuchać rozmowy, czasem prosił o muzykę... a gdy słyszał wybraną melodyą... owo *Andante con moto tranquillo*, które matka z Hanną mu grały, płakał... Nie śmiano mu odmówić a to odżywianie wspomnień dobijało go. Nie było już wątpliwości że umrze... ale kiedy przyjsć miała straszna godzina?

Tym czasem wszystko rozkwitało, wiosna była w całym blasku, ogródki willi przejęte wonią bzów, czeremch i jaśminów zdawały się wyzywać do życia... Władek kazał czasem łóżko przysuwać do okna z którego widać było po za ogródkiem ulicę

i ciemne drzewa parku, przypatrywał się wsparty na poduszkach przejeżdżającym przechodniom, całemu kalejdoskopowi życia ruchawej stolicy, do którego nie należał, patrzył nań jakby z drugiego świata.

Jednego z ciepłych wieczorów majowych, o zachodzie słońca... siedział tak na łóżku, twarzą zwrócony ku ulicy... w saloniku matka z Hanną grały mu, ale nie tę pieśń wspomnień — coś łagodniejszego Schuberta... Antoś z książką siedział u nóg łoża, ulicą płynął żwawo tłum do parku i rozsianych w nim miejsc zabawy... Oczy Władka obojętne szklisko patrzyły na przesuujące się maryonетки... dziwnem mu się wydawało to gorączkowe miotanie się robaczków, z których część jutra nie dożyć miała... patrzył na te fizyognomie jakby w nich szukał słowa wielkiej zagadki...

Nagle siedzący naprzeciw niego Antoś ujrzał na to lice żółtkłe, marmurowe, wypływający rumieniec, chory pochwycił się za pierś... poruszył gwałtownie... oczy jego poleciały błyskiem ognistym w ulicę...

Ulicą powoli... szło osób kilka... W pośrodku rozkwitła jak róża *thea*, prześliczna Iza... rozprawiąca zapewne na temat wiosny i życia... koło niej kilku młodzieńców o niebieskich oczach i dłu-

gich artystycznych kędziorach... a wśród nich poważny radzca Stamm...

Oczy Izy które szukały oklasków wybiegły ku oknom pięknej willi i w oprawie otwartego okna jak w ramach obrazu, ujrzała bladą piękną twarz Władka, której dogorywające płomień życia nadawało wyraz idealny. Któż kiedy nie widział jak zbliżając się do grobu oblicze człowieka promienieje, wypięknia się i jak śmierć pieczęć nadziemskiego spokoju nań kładzie?

Iza poznała go... zadrżała, oczy jej jakby magnetyczną siłą wejrzenia wstrzymały się długo na twarzy jego... w ustach zamaryły wymowne wyrazy... Za jej wejrzeniem zwróciły się wszystkich oczy w tę stronę — jeden Stamm go poznał, inni widzowie uznali tylko że dla malarza byłby to śliczny przedmiot do obrazka... Iza nie dała znaku życia temu widmu przeszłości, spuściła głowę, szła dalej i gałęzie bzów zakryły ją przed oczyma Władka...

To widzenie dobiło biednego, nie przyznał się on przed nikim, ale gdy łoże odsunięto na zwykłe miejsce zapragnął lekarza i księdza, czuł się gorzej...

Przybyły doktor — ścisnął milcząco rękę Dziada — Dzisiejszej nocy... skończy, rzekł cicho...

Gorączka się wzmogła i z egzaltacji niepostrzeżenie przeprowadziła go do tego stanu nieprzytomności a raczej podniecenia, w którym chorego zdrowi już myślą dognać ani zrozumieć nie mogą...

Wyrazy wychodziły mu z ust niepowiązane, jak te strumienie gór co nikną w ziemi głębiach, płyną gdzieś zakrytą przepaścią i wracają tryskając nagle nad powierzchnią. Mówił o sobie, o niej, śmiał się, płakał, bolał, żegnał, a co dziwniej, teraz gdy stał u progu śmierci... budziło się dziwaczne życia pragnienie...

Około północy wszakże uspokoił się nieco, przytomność mu wracać zaczęła... czuł że kona...

Żegnał matkę i jak syna polecał jej Antosia, całował Dziada i powtarzał mu: — on mnie lepiej wam zastąpi... on silniejszy jest nademnie na to ciężkie życia zadanie... Potem dziękował Hannie i nic nie mówiąc dłoń jej włożył w rękę Antosia... spojrział błagająco na nią... Bądź mu więcej niż siostrą — wyszepnął, jam tego szczęścia wart nie był, on jest godnym...

Znużony potem zapragnął usnąć... wszyscy wyszli, jedna matka i Hanna o podał zostały...

Gdy ranek nadszedł... zbliżyła się ku niemu Halina, badając oddechu — ale go już w piersi nie

było. Z głową pochyloną, uśmiechem na ustach, błogo, spokojnie... we śnie przeleciał na świat lepszy... Czoło było ostygłe a piękną tę twarz powlokła trupia białość sinawa...

Klękli wszyscy u łoża... i Dziad także... jedna Iza nie wypłynęła mu z oczów, wszystkie popłynęły do serca... drżał... ale wśród rozpaczonych, bezprzytomnych, on jeden zachował siłę i pamięć na wszystko... Wziął drogie zwłoki na ręce, aby je ustroić do grobu... ubrał je płacząc wewnątrz... krzyż mu dał w dłonie skostniałe, a na piersi położył bukiet kwiatów rozwitych, które tak zwiędnąć miały jak owa młodość biednego chłopca zwiędła na wieki...

Tegoż dnia piękna Iza w towarzystwie ojca, profesora Faviusa i malarza Brunnera, wybrała się do Szwecyi.



EPILOG.

Gdyby nie Dziadunio, jużby się na tem opowiadanie nasze skończyć mogło i byłoby dość nauczajacem, a smutnem jak rzeczywistość. — Na zgliszczach i ruinach nieszczęśliwej rodziny pozostał stary ten jej filar potrzaskany od piorunu, ale nie obalony... Po śmierci Władka chodził długo milczący, zubożniały, nie mogąc się zmusić do życia i pracy; nałóg wręście przemógł to obozwładnienie... Miał obowiązki, powinien był czuwać nad Haliną, zabezpieczyć los Justyny, naostatek zająć się wychowaniem, którego mu umierający Władek powierzył... Z Haliną pojechała do Zarębia Hanna, nie mogąc nawet płakać... Wszyscy się potem skupili około starca w Rajwoli, ale to było kółko żałobne ludzi co dźwigali życie z obowiązku. Nikt nieśmiał wywołać wspomnienia tego o którym myśleli wszyscy... Każde słowo, miejsce... przypominały go mimowolnie.

Dziadunio przeżył tyle że nawykł był i dla drugich i dla siebie na wszechmocność czasu rachować. Nikogo on ze straconych nie zapomniał, ale lży krystalizowały się w tęsknotę spokojną a niepożyłą.

W pół roku nie się tu nie zmieniło, nie ubył nikt, ale za wspólną naradą i skutkiem żądania Dziada, Antek Siekierka został przybrany jako dziecie domu i Hanna posłuszna woli umarłego przyrzekła mu rękę swoje.

Stworzył sobie starzec przyszłość i nadzieję, truchlejąc prawie aby znowu mu jej los nie odebrał.

Dotąd wytrwał na stanowisku... ale dopiero po skończeniu wojny, gdy się rzucono na nieszczęśliwą Polskę — starzec jak osłupiały, niedowierzający chwiać się począł i o sobie samym powątpiewać. — To co zwano reformami, systematyczne niszczenie kraju, odjęcie mu praw, swobód, idei własności, języka nawet i imienia polskiego... ostateczny cios mu zadało... Sądził zrazu że to są groźby tylko — ale powoli przychodziła w ślad za pogłoskami rzeczywistość.

Stary patrzył i w oczach schnąc i ginąc im począł...

Zwykle nie mówił o tem z nikim, unikał skarg i uzaleń, ale sam na sam z Antosiem — dobywał z piersi głosu, a wówczas były to prawdziwe treny Jeremiaszowe... Zniósł wszystko — klęski kraju znieść nie chciał i nie mógł.

— Nie trzymajcie mnie przy życiu — mówił — pozwólcie mi umrzeć i nie patrzeć na tę próbę, która będzie ostatnią, która być może zwyciężką, ale dla człowieka co od lat stu przeżył ich tyle — jest oszalającą i nad siły. Gdybym u was widział pokolenie zbrojne do wytrwania i walki — spokojne a twarde i niepożyte, bez gorączki ale bez ostygnięcia, bez miotań się szalonych ale bez rozpacz... gdybym nie patrzył na bezsilność naszą, na spotęgowanie wad a wyginienie cnót... żyć bym potrafił może... Ale zrodzone w kajdanach dzieci... sparaliżowane w kolebce... łaknicie szczęścia i spokoju łatwego, życie marzeniami... a o razowym chlebie i pocie czoła ze skutemi usta czekać nie potraficie!!

Jam stary i niemocem duchem, a stokroć czuję się silniejszy od was. Co znaczą porywy wasze jak ostatni — jeśli nie zwątpienie? Na co tyle słów... tyle planów, tyle narad gdy najprostszym zadaniem dziś jest żyć i trwać...

Wy wolicie się bawić i szaleć... lub marzyć i wyglądać burzy nowej... sądząc że się rozstąpią obłoki i zstąpi z nich archaniół z mieczem ognistym.

Zbawcą waszym... to praca uboga milcząca przy domowem ognisku... nie mówcie im nawet że Polakami jesteście a bądźcie nimi...

Rozlewa się dziś naród w napróżnem skwierczeniu nad tem co się stało... Stało się! zabierzcie trupy, pogrzebcie je i idźcie na pole... pot lać nie łązy... Łzy w duszę niech płyną.

Sto razy powtarzał to stary, aż niemal szął spokojny jakiś nim owładnął... Mruczał sam do siebie te słowa... szeptał je Antosiowi... ale gdy obcy przyszedł, nie odezwał się słowem... Tylko po twarzy, po oczach jego znać było że gorączka go paliła. Myśl śmierci nie opuszczała go na chwilę, ale nie niosła z sobą trwogi, była tylko zagrzaniem do pracy ostatniej. Zaczął się krzątać pilno aby wszystko po sobie w jak największym zostawić porządku. Ułożył papiery, napisał testament, obliczył fundusze, rozdał pamiątki, Szczepanowi kazał w Kaliszu zamówić trumnę, zadysponował nawet konie które do wozu żałobnego zaprządz miano.

Antosiowi ustnie codziennie przynosił instrukcyce co do zarządu majątku, utrzymania tego co lubił,

pomocy biednym którym chciał po sobie zostawić pamiętkę... Na ostatek aż do dzieciństwa posuwając tę pamięć szczegółów kończył mozolnie siatkę, aby niewód całą ręką jego był zrobiony.

Napróżno starano się go rozerwać, przychodziły dzienniki, ukryć ich przed nim nie było podobna, a każdy z nich uderzał w serce Dziadunia... Jednego dnia zabrano kościoły, wypędzono księży, drugiego odebrano prawa zastępując je samowolą, targano się na własność, wywożono niesądzonych... Każda nikczemna napaść gazeciarska sztyletowała starca. Uśmiechał się ironicznie.

— Tak! tak, mówił, tego jeszcze brakło! naturalnie! to logicznie... Niema Polaki... *finis Poloniae*. Zdaje się Tatarom że to dosyć powiedzieć, że wszechmocni są jak Bóg a może nad niego silniejsi, bo przeszłości On nie może zetrzeć z karty dziejowej — oni i to potrafią...

Tak powoli dopełniała się miara i Dziadek, który nigdy dawniej godziny na miejscu usiedzieć nie umiał, zdawszy już na Antka wszystko, nie ruszał się z fotelu. Ze spuszczoną na piersi głową siedział bezmowny, a gdy go o co najpowszedniejszego spytał, odpowiadał zamyślony.

— Tak! tak! niema Polski! niema Polski...
Więc po cóż żyć?

Zwłoki biednego Władka postarał się przewieść do parafialnego kościołka... grób dla niego był ostatnią myślą co go od rozpaczliwego zdrętwienia na chwilę odwieść mogła... Stawił go, zajmował się, osadzał, upiększał, gdy wśród tego zatrudnienia przyszło mu dziwne przecucie.

— Po cośmy te zwłoki biedaka tu sprowadzili? Wszak oni cmentarze poorzą i groby powywracają! Gdy żywych do prześladowania nie stanie, rzucają się na umarłych... oni coś niszczyć muszą... to ich posłannictwo dziejowe, aż ten tułów obżarty pęknie...

Od tego dnia gdy go obawa o grób opanowała Dziadek już się o niego nie spytał...

Na ostatek nadszedł ten dzień ostatni, wielki, uroczysty... zgonu... Dziad miał przecucie jego, prawie jasnowidzenie, ciężko mu było oddychać... posłał po proboszcza zamiast po lekarza. W istocie było to jakby oznajmienie paraliżu płucnego... Ale gdy stary przyjaciel z wiatykiem przybył, Dziad miał jeszcze mowę i przytomność...

Obrząd pożegnania ze światem odbył poważnie, spokojnie, z czołem pogodnym i wiarą głęboką w przyszłość.

Nie dozwolił się położyć w łóżku, siedział w fotelu, bo mu tak oddychać lżej było... przed nocą oddał klucze Antosiowi, pogadał ze Szczepanem, napił się rosółu i drzemać począł... Cicho i niepostrzeżenie lampa co tyle lat świeciła przykładem energii i pracy, niezłomnego umysłu, niezmordowanego trudu bez rozgłosu... zagasła...

Para starych koni które lubił, którymi jeździł, odwiozła go na wieczny spoczynek... kazał się przyodziać tak jak chodził codziennie, koszta pogrzebu wystawnego oddać ubogim... a pochować skromnie i cicho. Stało się dosyć jego woli, ale co żyło z sąsiedztwa i okolicy zbiegło się odprowadzić ukochanego do mogiły... I połowa przynajmniej zapłaciła kontrybucją za ten zjazd tłumny, bo naczelnik powiatu potrzebował pieniędzy na wydanie wieczorka kolegom...

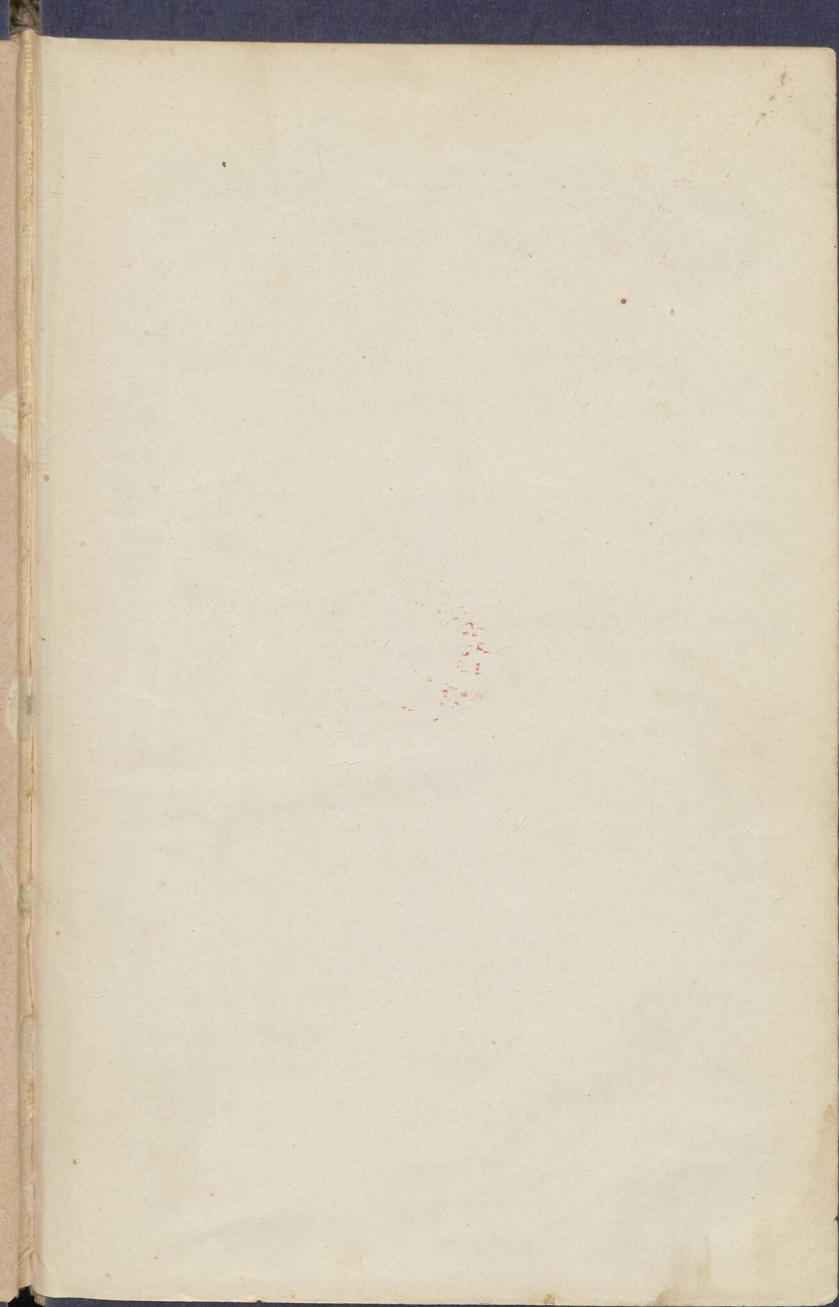
Losu pozostałych domyśleć się łatwo. Szymbor rozwiódłszy się z Justyną, ożenił z niemłodą już różowaną wdową, która umiała rozciągnąć nad nim panowanie środkami całemu światu niezrozumiałymi. Mianowany szambellanem dworu, zamieszkał stale w Berlinie.

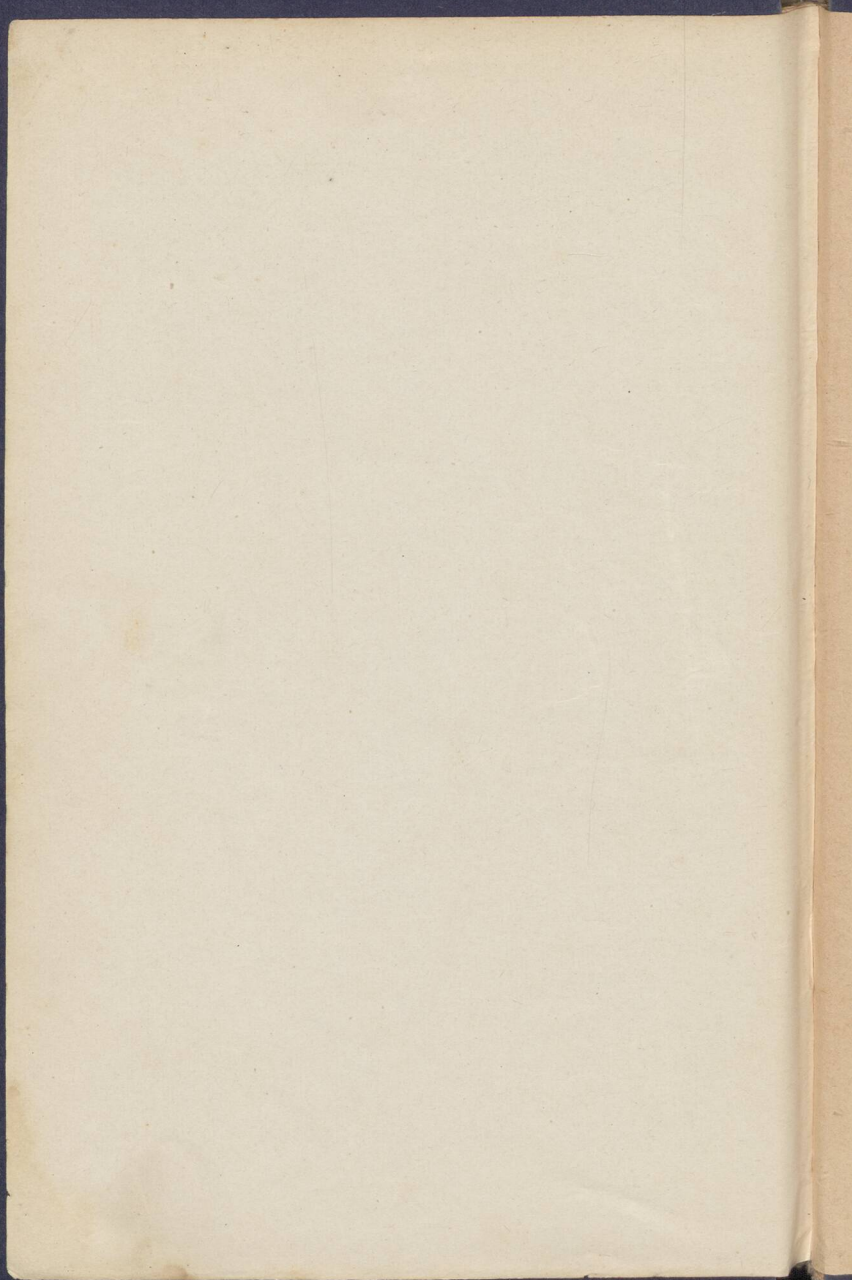
Pani Justyna pojechała w tymże roku do wód i wróciła oddawszy rękę młodemu Belgowi, który

jak się okazało, miał *van* przed nazwiskiem, ale był skromnym *commis voyageur* pracującym około win i pasztetów...

Pani Halina tylko została sama jedna w Zarebiu, przybrawszy za syna Antka i Hannę za córkę... a Bóg obdarzył ją nie zapomnieniem strat poniesionych, ale spokojem nadziei i oczekiwaniem połączenia z cieniami ukochanych...





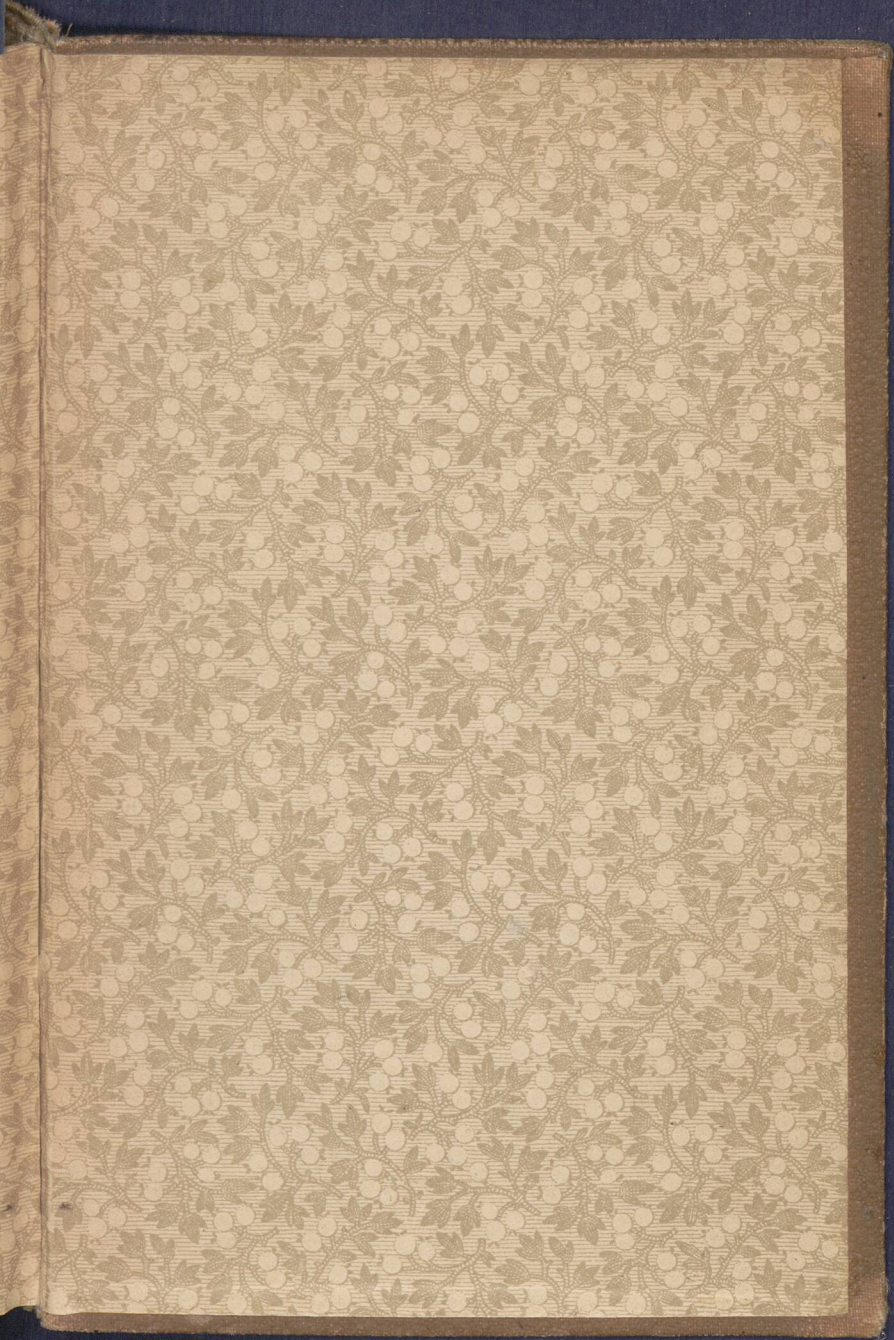


4606/1/87

7001-

2101





BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIwersYTETU A.M. w POZNANIU



1191677



BG0893234